

**Agatha Christie**

**Tajemnica gwiazdkowego puddingu**

**przełożyła Krystyna Bockenheim**

**Tytuł oryginału: The Adventure of the Christmas Pudding**

## Przedmowa Agathy Christie

*Tę książkę o bożonarodzeniowej uczcie można określić jako „Wybór szefa”. Szefem jestem ja!*

*Są tu dwa główne dania: „Tajemnica gwiazdkowego puddingu” i „Zagadka hiszpańskiej skrzyni” oraz wybór przystawek: „Szaleństwo Greenshawa”, „Sen”, „Popychadło”, i sorbet: „Dwadzieścia cztery kosy”.*

*„Zagadka hiszpańskiej skrzyni” to ulubiona sprawa Herkulesa Poirota. Uważa, że pokazał w niej najwyższą klasę! Z kolei panna Marple była zawsze zadowolona z przenikliwości, jaką wykazała się w „Szaleństwie Greenshawa”.*

*Moją słabostką jest „Tajemnica gwiazdkowego puddingu”, ponieważ przywołuje w pamięci bardzo przyjemne święta mojej młodości. Po śmierci ojca matka i ja spędzałyśmy zawsze Boże Narodzenie z rodziną mego szwagra na północy Anglii. Dla dziecka były to wspaniałe święta! W Abney Halli nie brakło niczego. Ogród szczycił się kaskadą, strumieniem i tunelem pod drogą dojazdową. Świąteczny posiłek bywał gargantuiczny. Byłam chudym dzieckiem, z wyglądu mizernym, ale naprawdę krzepkim, zdrowym i nieustannie głodnym. Chłopcy z naszej rodziny i ja rywalizowaliśmy o to, kto z nas w świąteczny dzień zje więcej. Zupa z ostryg i turbot nie wzbudzały nadmiernego entuzjazmu, ale potem zjawiał się indyk, pieczony i gotowany, oraz olbrzymia polędwica wołowa. Chłopcy i ja jedliśmy wszystkie trzy dania! Potem rzucaliśmy się na pudding, babeczki, trifle\* i wszelkie desery.*

*Po południu opychaliśmy się czekoladkami. Nigdy nie było nam niedobrze ani nie chorowaliśmy. Cudownie jest mieć jedenaście lat i być łakomczuchem!*

*Był to dzień radości ze względu na znajduwane rano w łóżku „pończochy”, kolędy, świąteczny obiad, prezenty i wyczekiwany finałowy moment zapalania świeczek na choince!*

*Jakże głęboką wdzięczność żywię dla miłych i gościnnych gospodarzy, którzy musieli ciężko pracować, by Boże Narodzenie było cudownym wspomnieniem nawet jeszcze na starość.*

*Pozwólcie mi więc zadedykować tę książkę pamięci Abney Hall - jego życzliwości i gościnności.*

*Wszystkim Czytelnikom tej książki życzę wesołych świąt.*

# Tajemnica gwiazdkowego puddingu

## I

Niezmiernie żałuję - powiedział Herkules Poirot.

Przerwano mu. Wcale nie niegrzecznie. Łagodnie, zręcznie, raczej przekonując niż zaprzeczając.

- Proszę nie odmawiać bez namysłu, panie Poirot. To są poważne kwestie państwowe. Pańska współpraca zostanie wysoko oceniona w najwyższych sferach.

- Jest pan zbyt uprzejmy - skinął dłonią Poirot - ale naprawdę nie mogę podjąć się tego, o co pan prosi. O tej porze roku...

Pan Jesmond przerwał ponownie.

- Okres świąteczny - przekonywał - staroświeckie Boże Narodzenie na angielskiej prowincji...

Herkules Poirot wzdrygnął się. Myśl o angielskiej prowincji o tej porze roku nie pociągała go.

- Prawdziwa, staroświecka Gwiazdka! - podkreślił pan Jesmond.

- Nie jestem Anglikiem. W moim kraju Boże Narodzenie urządza się dla dzieci. Uroczyście obchodzimy Nowy Rok.

- Ach - odparł Jesmond. - Boże Narodzenie w Anglii jest wspaniałą imprezą i zapewniam pana, że w Kings Lacey zobaczyćby je pan w najlepszym wydaniu. To cudowny, stary dom. Jedno skrzydło pochodzi z czternastego wieku.

Poirot znowu się wzdrygnął. Myśl o czternastowiecznym angielskim dworzyszczu nappełniała go lękiem. Zbyt często cierpiał w historycznych rezydencjach angielskich. Popatrzył z zadowoleniem na swoje wygodne nowoczesne mieszkanie z kaloryferami, tak zaprojektowane, by wykluczyć wszelkie przeciągi.

- W zimie - oświadczył stanowczo - nie opuszczam Londynu.

- Sądzę, że nie zdaje pan sobie w pełni sprawy z powagi sytuacji - rzekł pan Jesmond i rzuciwszy okiem na swego towarzysza, zwrócił się ponownie do Poirota.

Drugi gość Poirota nie powiedział dotąd nic, oprócz oficjalnego powitania. Siedział teraz, wpatrując się w czubki swoich nienagannie wyczyszczonych butów z wyrazem krańcowego przygnębienia na śniadej twarzy. Był młodym człowiekiem, liczącym nie więcej niż dwadzieścia trzy lata i bardzo nieszczęśliwym.

- Tak, tak - odparł Poirot. - Oczywiście sprawa jest poważna. Rozumiem to w pełni. Mam wiele sympatii dla jego wysokości.

- Sytuacja jest niezmiernie delikatna - zapewnił Jesmond.

Poirot przeniósł swoje spojrzenie z młodego człowieka na jego starszego towarzysza. Gdyby ktoś chciał określić pana Jesmonda jednym słowem, brzmiałoby ono - dyskrecja. Wszystko wokół niego było dyskretne. Jego dobrze skrojone, ale nie rzucające się w oczy ubranie, miły głos dobrze wychowanego człowieka, rzadko wznoszący się ponad sympatyczną monotonię, jasnobrązowe przerzedzone na skroniach włosy, blada, poważna twarz. Herkulesowi Poirotowi wydało się, że znał już tuzin panów Jesmondów, a wszyscy wcześniej czy później używali tego samego zwrotu: „sytuacja jest niezmiernie delikatna”.

- Policja potrafi być bardzo dyskretna, jak pan wie.

Pan Jesmond potrząsnął głową stanowczo.

- Tylko nie policja. Aby odzyskać to, co chcemy, konieczne byłoby podjęcie postępowania w sądzie, a wiemy tak niewiele. Podejrzewamy, ale nie wiemy.

- Współczuję panom.

Mylił się, jeżeli sądził, że jego współczucie znaczy cokolwiek dla jego gości. Nie pragnęli współczucia, chcieli konkretnej pomocy. Pan Jesmond znowu zaczął mówić o urokach angielskiej Gwiazdki.

- Wie pan, prawdziwe, staroświeckie Boże Narodzenie zanika. Ludzie spędzają dziś święta w hotelach. Jednak prawdziwa angielska Gwiazdka, gromadząca całą rodzinę, z pończochami na prezenty, z choinką, indykiem, zimnymi ogniami. Bałwan za oknem...

W imię ścisłości Poirot przerwał.

- Żeby zrobić bałwana, potrzeba śniegu - stwierdził poważnie. - Nie można zamówić śniegu, nawet na angielskie święta.

- Rozmawiałem nie dalej niż dzisiaj z przyjacielem z instytutu meteorologicznego - rzekł pan Jesmond - i on powiada, że na te święta prawdopodobnie spadnie śnieg.

Powiedział coś niewłaściwego. Herkules Poirot wstrząsnął się jeszcze mocniej niż poprzednio.

- Śnieg na wsi! To byłoby jeszcze gorsze. Wielki, lodowaty, kamienny dwór.

- Wcale nie - odparł Jesmond. - W ciągu ostatnich dziesięciu lat wiele się zmieniło. Założono olejowe centralne ogrzewanie.

- W Kings Lacey jest centralne ogrzewanie? - spytał Poirot. Pierwszy raz objawił wahanie.

Pan Jesmond chwycił okazję.

- Oczywiście. Jest także ciepła woda. Kaloryfery w każdej sypialni. Zapewniam pana, drogi

panie Poirot, że Kings Lacey jest zimą bardzo komfortowe. Mógłby pan nawet uznać, że jest tam za ciepło.

- To praktycznie niemożliwe.

Z długoletnią wprawą pan Jesmond badał delikatnie grunt.

- Mógłby pan ocenić okropny dylemat, przed którym stoimy.

Herkules Poirot skinął głową. Istotnie, problem był nie najłatwiejszy. Młody przyszły potentat, jedyny syn władcy bogatego i ważnego państewka, przybył do Anglii przed paroma tygodniami. Jego kraj przechodził właśnie okres niepokoju. Opinia publiczna, lojalna wobec ojca, którego sposób życia był stale tradycyjnie wschodni, miała wątpliwości co do młodszej generacji. Kaprysy księcia były zachodnie i budziły dezaprobatę.

Ostatnio jednak zapowiedziano jego zaręczyny. Miał poślubić kuzynkę, młodą kobietę, która choć wykształcona w Cambridge, starała się nie demonstrować we własnym kraju wpływów Zachodu. Ustalono datę ślubu i młody książę przyjechał do Anglii, przywożąc kilka znanych klejnotów rodzinnych, które miały zostać na nowo oprawione u Cartiera. Wśród nich był wyjęty ze staroświeckiego, ciężkiego naszyjnika bezcenny rubin, któremu słynni jubilerzy nadali modny szlif. Początkowo wszystko szło dobrze, ale zjawiała się przeszkoda. Należało się spodziewać, że młody człowiek, mający taki majątek i towarzyskie usposobienie, popełni kilka wesołych szaleństw. Na razie nikt go nie strofował. Uważano, że młodzi książęta muszą się zabawić. Zabranie aktualnej przyjaciółki na spacer na Bond Street i obdarowanie jej szmaragdową bransoletą lub diamentową broszką w nagrodę za przyjemność, jakiej mu dostarczyła, wydawało się księciu rzeczą naturalną i stosowną, podobnie jak fakt, że jego ojciec ofiarowywał cadillaki ulubionym tancerkom.

Książę jednak okazał się znacznie bardziej nieostrożny. Połechtany zainteresowaniem damy, pokazał jej rubin w nowej oprawie, a w końcu był tak niemądry, że uległ jej prośbom i zgodził się, by go włożyła, tylko na jeden wieczór!

Dalszy ciąg był krótki i smutny. Dama odeszła od stolika, żeby przypudrować nos. Czas mijał. Nie wróciła. Opuściła lokal innymi drzwiami i znikła. Najgorsze było to, że rubin w nowej oprawie znikł razem z nią.

Tak przedstawiały się fakty, których ujawnienie miałyby fatalne konsekwencje. Rubin był czymś więcej niż tylko klejnotem, miał wielką wartość historyczną, a okoliczności jego zniknięcia sprawiły, że nadmierny rozgłos mógłby spowodować bardzo poważne konsekwencje polityczne.

Pan Jesmond nie należał do ludzi, którzy przedstawiliby te fakty prostym językiem. Zasypał je lawiną słów. Poirot nie wiedział, kim właściwie był pan Jesmond. Spotykał już takich Jesmondów w swojej karierze. Nie było jasne, czy jest powiązany z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, Spraw Zagranicznych czy z jakąś tajną służbą. Działał w interesie wspólnoty. Rubin musiał zostać odnaleziony.

A pan Poirot, jak utrzymywał delikatnie pan Jesmond, był właśnie tym człowiekiem, który miał

to zrobić.

- Tak, to możliwe - przyznał Poirot. - Jednak niewiele może mi pan powiedzieć. Sugestia, podejrzenia... wszystko to za mało, żeby zacząć.

- Chwileczkę, panie Poirot, na pewno nie przekracza to pana możliwości.

- Nie zawsze odnoszę sukcesy.

Była to tylko fałszywa skromność. W głosie Poirota można było usłyszeć, że podjęcie przez niego misji jest synonimem powodzenia.

- Jego wysokość jest bardzo młody. Byłoby smutne, gdyby całe jego życie legło w gruzach z powodu młodzieńczej nieostrożności.

Detektyw spojrział życzliwie na przygnębionego młodzieńca.

- Młodość ma swoje prawa - dodał mu odwagi. - Dla zwykłego człowieka takie sprawy nie mają większego znaczenia. Dobry papa płaci za wszystko, rodzinny prawnik pomaga wywikłać się z kłopotów, a młody człowiek zdobywa doświadczenie i wszystko kończy się jak najlepiej. W takiej sytuacji jak pańska to naprawdę trudne. Zbliżające się małżeństwo...

- Właśnie. O to chodzi. - Młodzieniec odezwał się po raz pierwszy. - Widzi pan, ona jest bardzo, bardzo poważna. Bierze życie bardzo poważnie. Poznała w Cambridge wiele wzniosłych idei. Chce szerzyć oświatę w moim kraju. Tworzyć szkoły i wiele innych rzeczy. Wszystko w imię postępu, rozumie pan, w imię demokracji. Mówi, że nie będzie tak jak za czasów mego ojca. Naturalnie spodziewa się, że będę miał w Londynie rozrywki, ale nie dopuszczę do skandalu, gdyż tego nie zniesie. Widzi pan, ten rubin jest bardzo, bardzo znany. Ma za sobą długą historię. Wiele rozlanej krwi - niejedna śmierć!

- Śmierć - powiedział Poirot, patrząc w zamyśleniu na pana Jesmonda. - Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie?

Pan Jesmond wydał szczególny dźwięk, jak kura zamierzająca znieść jajko, a potem zastanowił się.

- Ależ nie - powiedział dosyć sztywno. - Jestem pewny, że nic podobnego nie wchodzi w rachubę.

- Tego nie może być pan pewny. Niezależnie od tego, kto ma teraz kamień, jest wiele innych osób, które go pożądają i nie zawahają się przed niczym.

- Nie sędzę - odparł pan Jesmond jeszcze bardziej sztywno - żebyśmy musieli uciekać się do takich spekulacji. To zupełnie bezcelowe.

- Ja - oświadczył Herkules Poirot, nagle stając się bardzo cudzoziemski - ja osobiście badam wszystkie możliwości, podobnie jak politycy.

Pan Jesmond przyjrzał mu się z powątpiewaniem. Zebrawszy się w sobie, powiedział:

- Cóż, mogę przyjąć, że ustaliliśmy wszystko? Pojedzie pan do Kings Lacey?

- A jak uzasadnię swój przyjazd?

Pan Jesmond uśmiechnął się z głębokim przekonaniem.

- To będzie bardzo łatwe do zaaranżowania. Mogę pana zapewnić, że wszystkim wyda się to zupełnie naturalne. - I dodał: - Przekona się pan, że Laceyowie to przemili ludzie.

- A nie oszukał mnie pan, mówiąc o tym olejowym centralnym ogrzewaniu?

- Nie, naprawdę nie - wydawało się, że Poirot zranił uczucia pana Jesmonda. - Zapewniam pana, że znajdzie pan tam wszelkie wygody.

- *Tout confort moderne* - mruknął Poirot do siebie. - *Eh bien* - powiedział. - Zgadza się.

W czasie gdy Poirot rozmawiał z panią Lacey przy wielkim gotyckim oknie, przyjemna temperatura w długiej bawialni wynosiła dwadzieścia stopni. Pani Lacey trzymała w rękach robótkę. Tym razem nie był to jednak haft krzyżykowy ani wyszywane na jedwabiu kwiaty. Zamiast tego mozoliła się nad obrębianiem ścierek. Szyjąc, mówiła cichym, pełnym zadumy głosem, który Poirot uznał za bardzo uroczy.

- Mam nadzieję, że spodoba się panu nasze świąteczne przyjęcie, panie Poirot. Zebrała się tylko rodzina. Moja wnuczka i wnuk z przyjacielem, i Bridget, która jest moją cioteczną wnuczką, i kuzynka Diana, i David Welwyn, nasz bardzo stary przyjaciel. Po prostu rodzina. Ale Edwina Morecombe twierdziła, że o to właśnie panu chodzi. Staroświeckie Boże Narodzenie. Nic nie mogłoby być bardziej staroświeckie niż my! Mój mąż żyje wyłącznie przeszłością. Lubi, żeby wszystko było dokładnie tak, jak w czasach, kiedy był dwunastoletnim chłopcem i przyjeżdżał tu na wakacje.

Uśmiechnęła się do siebie.

- Wciąż jest tak samo: choinka i porozwieszane pończochy, zupa z ostryg i indyk - dwa indyki, gotowany i pieczony - i pudding z pierścionkiem i guzikiem starego kawalera, i tak dalej. Nie wrzuca się już do puddingu sześciopensówek, ponieważ nie są z czystego srebra. Ale są wszystkie tradycyjne desery, różne rodzaje suszonych śliwek, migdały i rodzyunki, kandyzowane owoce w imbirze. Och, to brzmi jak katalog Fortnuma i Masona!

- Pobudza pani moje soki trawienne, *madame*.

- Przypuszczam, że do jutrzejszego wieczoru wszyscy będziemy mieli okropną niestrawność. Dziś nie ma zwyczaju jadać tak dużo, prawda?

Przerwały jej głośne okrzyki i wybuchy śmiechu, dobiegające zza okna. Wyjrzała na zewnątrz.

- Nie wiem, co oni tam robią. Przypuszczam, że bawią się w jakąś grę. Zawsze obawiałam się, że nasze Boże Narodzenie będzie nudzić tych młodych ludzi. Tak jednak nie jest. Wręcz przeciwnie. Wprawdzie mój syn i córka, i ich przyjaciele wymądrzają się trochę na temat świąt. Mówią, że to wszystko bzdury, za wiele zamieszania i że byłoby znacznie lepiej pojechać gdzieś do hotelu i potańczyć. Ale młodsze pokolenie uważa święta za bardzo przyjemne. Poza tym chłopcy i dziewczęta w wieku szkolnym są zawsze głodni, prawda? Uważam, że w tych szkołach muszą ich głodzić. Ostatecznie wiadomo, że dziecko w tym wieku je tyle, ile trzech silnych mężczyzn.

Poirot zaśmiał się.

- To niezwykle uprzejme ze strony pani i jej męża włączyć mnie w ten sposób do rodzinnego grona.

- Och, oboje jesteśmy zachwyceni. A jeśli stwierdzi pan, że Horace jest trochę szorstki, proszę



nie zwracać uwagi. Ma już taki sposób bycia.

To, co jej mąż powiedział naprawdę, brzmiało: „Nie rozumiem, dlaczego chcesz, by jeden z tych przeklętych cudzoziemców plątał się tu w czasie świąt. Czemu nie może przyjechać kiedy indziej? Nie mogę znieść cudzoziemców! Dobrze, dobrze, wiem, że wcisnęła go nam Edwina Morecombe. Chciałbym wiedzieć, co ona ma z nim wspólnego? Dlaczego sama nie spędza z nim świąt?

- Ponieważ, jak dobrze wiesz, Edwina zawsze jedzie do Claridge'a - odparła pani Lacey.

Mąż popatrzył na nią przenikliwie.

- A może jesteś niespokojna, Em?

- Niespokojna? - pani Lacey szeroko otworzyła niebieskie oczy. - Ależ nie. Dlaczego miałabym się niepokoić?

Stary pułkownik Lacey zaśmiał się gromko.

- Nie dałbym za to trzech groszy, Em - powiedział. - Kiedy wyglądasz bardzo niewinnie, masz coś na myśli.

Rozpamiętując te sprawy, pani Lacey ciągnęła:

- Edwina mówi, że może potrafiłby pan nam pomóc... Zupełnie nie wiem jak, ale według niej poratował pan kiedyś jej przyjaciół w podobnej sytuacji. Ja... a może nie wie pan, o czym mówię?

Poirot patrzył na nią zachęcająco. Pani Lacey dobiegała siedemdziesiątki, była prosta jak struna, miała śnieżne włosy, różowe policzki, błękitne oczy, zabawny nosek i stanowczy podbródek.

- Jeśli mogę coś zrobić, będę naprawdę ogromnie szczęśliwy. Chodzi, o ile rozumiem, o niefortunne zaślepienie młodej dziewczyny.

Pani Lacey przytaknęła.

- Tak. To niezwykle, muszę... a właściwie chcę mówić z panem na ten temat. Mimo wszystko jest pan kimś obcym...

- I do tego cudzoziemcem - wtrącił Poirot ze zrozumieniem.

- To prawda, ale może to ułatwia sprawę. W każdym razie Edwina sądzi, że może pan wiedzieć coś - jak to wyrazić - coś użytecznego o młodym Desmondzie Lee-Wortleyu.

Poirot zatrzymał się na chwilę, podziwiając pomysłowość pana Jesmonda i łatwość, z jaką wykorzystał lady Morecombe dla osiągnięcia własnych celów.

- Rozumiem, że ten młody człowiek nie ma zbyt dobrej reputacji? - zaczął delikatnie.

- Doprawdy nie! Ma bardzo złą reputację! Ale to nie ma znaczenia, jeżeli Sarah jest nim zainteresowana. Mówienie dziewczętom, że mężczyzna ma złą opinię, nie przynosi żadnego pożytku, prawda? To... to je tylko zachęca!

- Ma pani rację w stu procentach.

- Za moich czasów - ciągnęła pani Lacey - (o Boże, to już tak dawno!) ostrzegano nas przed młodymi ludźmi pewnego typu i, oczywiście, to wzmagало nasze zainteresowanie i chęć zatańczenia z nimi albo znalezienia się sam na sam w ciemnej oranżerii - zaśmiała się. - Dlatego nie pozwoliłam Horace'owi zrobić niczego, na co miał ochotę.

- Proszę mi powiedzieć - rzekł Poirot - co panią naprawdę niepokoi.

- Nasz syn zginął na wojnie - odparła. - Synowa zmarła przy urodzeniu Sarah, więc dziewczynka była zawsze z nami i wychowywaliśmy ją sami. Może wychowywaliśmy ją niemądrze - nie wiem. Uważaliśmy jednak, że trzeba zostawić jej maksymalnie dużo swobody.

- Sądzę, że to rozsądnie. Nie można sprzeciwiać się postępowi.

- Nie można - potwierdziła pani Lacey. - Tak to właśnie rozumiałam. A dzisiejsze dziewczęta robią takie rzeczy.

Poirot spojrział pytająco.

- Można powiedzieć, że Sarah zaprzyjaźniła się z paczką złotej młodzieży. Nie chodzi na tańce, nie pokazuje się tam gdzie trzeba, nie chce bywać w towarzystwie. Zamiast tego ma dwa paskudne pokoje w Chelsea, gdzieś nad rzeką, nosi takie dziwne rzeczy, jak to oni lubią, czarne pończochy albo jaskrawozielone. Bardzo grube pończochy. (Zawsze uważałam, że muszą drapać!) Chodzi nie umyta i nie uczesana.

- *Ça, c'est toutfait naturelle\** - powiedział Poirot. - Taka jest teraz moda. Wyrastają z tego.

- Tak, wiem. To mnie nie martwi. Ale widzi pan, ona jest zajęta tym Desmondem Lee-Wortleyem, a on ma naprawdę bardzo złą opinię. W większym czy mniejszym stopniu utrzymuje się z zamożnych dziewcząt. Najwyraźniej szaleją za nim. Był bliski poślubienia panny Hope, ale jej rodzina oddała ją pod sądową kuratelę czy coś w tym rodzaju. Naturalnie to właśnie chce zrobić Horace. Powiada, że musi ją chronić. Ale ten pomysł mi się nie podoba. Przecież mogą uciec razem do Szkocji, Irlandii czy Argentyny, czy gdzie indziej i tam pobrać się albo żyć bez ślubu. Nie będą się przejmować postanowieniem sądu. A przecież nie o to nam chodzi, prawda? Szczególnie kiedy rodzi się dziecko. Wtedy trzeba ustąpić i pozwolić im na ślub. A potem prawie zawsze, jak mi się wydaje, po roku lub dwóch następuje rozwód. Dziewczyna wraca do domu i zwykle po paru latach wychodzi za mąż za kogoś tak miłego, że aż nudnego, i stabilizuje się. Gorzej, gdy w grę wchodzi dziecko, ponieważ nie jest obojętne, czy wychowuje je ojczym, choćby nawet był miłym człowiekiem. Nie, uważam, że lepiej załatwić to tak jak za moich młodych lat, kiedy pierwszy ukochany dziewczyny był kimś nieodpowiednim. Pamiętam, że przeżywałam wielką miłość do młodego człowieka, który nazywał się... zaraz, jak brzmiało jego imię? - To dziwne, że zupełnie nie pamiętam, jak się nazywał!

Nazwisko chyba było Tibbitt. Młody Tibbitt. Oczywiście mój ojciec wymówił mu dom, on jednak zapraszał mnie na zabawy i chodziliśmy razem tańczyć. A czasem wymykaliśmy się i siedzieliśmy na dworze lub jeździliśmy z przyjaciółmi na pikniki. Oczywiście to było bardzo podniecające, miało smak zakazanego owocu i cieszyło nas ogromnie. Ale żadna z nas nie posuwała się tak daleko jak dzisiejsze dziewczęta. A potem, po jakimś czasie, pan Tibbitt zbladł i zniknął z moich uczuć. I wie pan, kiedy zobaczyłam go po czterech latach, byłam zdziwiona, co mogłam w nim widzieć! Wydał mi się taki nieciekawym. Niby błyskotliwym, ale nie umiał prowadzić ciekawej konwersacji.

- Zawsze wydaje się, że w młodości wszystko było lepsze - zauważył sentencjonalnie Poirot,

- Wiem. To nieznośne, prawda? Nie powinnam pana nudzić. Mimo to nie chcę, żeby Sarah, która jest kochaną dziewczyną, poślubiła Desmonda Lee-Wortleya. Ona i David Welwyn, który jest teraz u nas, byli zawsze przyjaciółmi, bardzo się lubili i mieliśmy z Horace'em nadzieję, że pobiorą się, kiedy dorosną. Ale oczywiście ona uważa go teraz za nudnego i jest zupełnie zafascynowana Desmondem.

- Nie bardzo rozumiem, *madame*. Ten Desmond Lee-Wortley mieszka teraz tu, u państwa?

- To moja robota - odparła pani Lacey. - Horace był zdania, że trzeba zakazać jej widywania go. Oczywiście, w czasach Horace'a ojciec czy opiekun mógł pójść do mieszkania młodego człowieka z pejczem. Horace chciał zabronić mu wstępu do domu i zakazać dziewczynie spotykać się z nim. Wy tłumaczyłam mu, że to zupełnie niewłaściwa postawa. „Nie - powiedziałam - zaprosz go tutaj. Będziemy go mieli na święta w rodzinnym gronie”. Oczywiście mąż oświadczył, że zwariowałam! „W każdym razie spróbujmy, kochanie - powiedziałam. - Niech zobaczy go w naszym gronie i w naszym domu, bądźmy dla niego uprzejmi i mili, a może wyda się jej mniej interesujący!”

- Uważam, że coś w tym jest, *madame*. Pani punkt widzenia jest bardzo mądry. Bardziej niż pani męża.

- Cóż, mam nadzieję, że tak jest - powiedziała pani Lacey z powątpiewaniem. - Na razie nie bardzo to wychodzi. Ale też jest tu dopiero parę dni.

Na jej pomarszczonych policzkach nagle pokazały się dołeczki.

- Muszę się panu z czegoś zwierzyć. Nie mogę oprzeć się uczuciu sympatii dla niego. Nie sądzę, żebym naprawdę go lubiła, ale wyczuwam jego urok. Tak, rozumiem, co Sarah w nim widzi. Jestem jednak starą kobietą i mam wystarczająco dużo doświadczenia, żeby zdawać sobie sprawę, że to zupełny nicpoń. Nawet jeśli lubię jego towarzystwo. Choć sądzę - dodała pani Lacey z zadumą - że chłopiec ma parę zalet. Zapytał, czy mógłby sprowadzić tu siostrę. Przeszła operację i była w szpitalu. Powiedział, że przykro jej byłoby zostać w lecznicy przez święta i chciał wiedzieć, czy nie sprawiłoby kłopotu, gdyby zabrał ją do nas. Oświadczył, że będzie jej nosił posiłki i zajmował się nią. To chyba dosyć miłe z jego strony, prawda, panie Poirot?

- Wskazuje to na rozwagę, która wyraźnie nie pasuje do jego charakteru.

- Och, nie wiem. Można przejawiać uczucia rodzinne, a jednocześnie polować na bogatą

dziewczynę. Sarah będzie bardzo zamożna, nie tylko dzięki temu, co jej zostawimy - tego oczywiście nie będzie tak wiele, ponieważ większość pieniędzy przejdzie wraz z posiadłością na mego wnuka, Colina. Jej matka była jednak bardzo majątną kobietą i Sarah odziedziczy wszystkie pieniądze po niej, kiedy skończy dwadzieścia jeden lat. Teraz ma dopiero dwadzieścia. Nie, jednak uważam za miłe ze strony Desmonda, że troszczy się o siostrę. I wcale nie stwarza pozorów, że ona jest kimś nadzwyczajnym. Dziewczyna jest stenotypistką. Zdaje się, że pracuje jako sekretarka gdzieś w Londynie. Dotrzymał słowa i nosi jej posiłki. Oczywiście nie zawsze, ale często. Myślę więc, że ma także zalety. Mimo wszystko jednak - oświadczyła pani Lacey z determinacją - nie chcę, żeby Sarah za niego wyszła.

- Z tego, co słyszałem i co mi powiedziano, wynika, że byłaby to katastrofa.

- Sądzi pan, że byłby w stanie jakoś nam pomóc?

- Uważam to za możliwe - odparł Poirot - ale nie chciałbym obiecywać zbyt wiele. Tacy mężczyźni bywają sprytni, *madame*. Proszę jednak nie rozpaczać. Coś da się zrobić. W każdym razie podejmę wszelkie wysiłki, choćby tylko w podziękę za to, że pani zaprosiła mnie na te święta.

Rozejrzał się.

- A to wcale niełatwa rzecz urządzić dziś Gwiazdkę.

- Rzeczywiście nie - westchnęła pani Lacey. Pochyliła się ku niemu. - Wie pan, o czym naprawdę marzę - co chciałabym mieć za wszelką cenę?

- Proszę mi powiedzieć, *madame*.

- Tęsknię po prostu do małego, nowoczesnego bungalowu. Może nie dosłownie bungalowu. Chciałabym mieszkać w małym, nowoczesnym, łatwym do prowadzenia domku, postawionym gdzieś tu w parku, ze współcześnie urządzoną kuchnią, bez długich korytarzy. Wszystko byłoby łatwe i proste.

- To bardzo realny pomysł.

- Nie dla mnie. Mój mąż uwielbia ten dom. Żyje mu się tu wspaniale. Mniejsza o to, że trochę niewygodnie, mniejsza o kłopoty, on po prostu nie zniósłby mieszkania w małym, nowoczesnym domku w parku!

- A pani poświęca się dla jego zachcianek?

Pani Lacey wyprostowała się.

- Nie uważam tego za poświęcenie, panie Poirot. Poślubiając Horace'a pragnęłam uczynić go szczęśliwym. Był dla mnie dobrym mężem i sprawił, że przez tyle lat byłam bardzo szczęśliwa, i chcę mu dać to samo.

- Więc będzie pani nadal tu mieszkać.

- Naprawdę nie jest tak bardzo niewygodnie.

- Ależ nie - potwierdził spieszenie Poirot. - Przeciwnie, jest bardzo wygodnie. Centralne ogrzewanie i łazienki są znakomite.

- Wydaliśmy masę pieniędzy, żeby przystosować ten dom do obecnych standardów. Mieliśmy do sprzedania trochę ziemi, gotowej pod zabudowę, jak to nazywają. Na szczęście nie widać jej z domu, leży po drugiej stronie parku. Dostyc paskudny kawałek gruntu, ale wzięliśmy za niego kawał grosza. Dlatego mogliśmy pozwolić sobie na te wszystkie udogodnienia.

- A co ze służbą?

- Z tym mieliśmy mniej trudności, niż mógłby pan przypuszczać. Oczywiście nie można liczyć na taką obsługę jak dawniej. Trochę ludzi przychodzi z wioski. Dwie kobiety rano, dwie, żeby ugotować lunch i pozmywać, a jeszcze jedna wieczorem. Jest wiele osób, które chcą przychodzić na kilka godzin dziennie. Na święta mamy szczęście. Moja kochana pani Ross przyjeżdża na każde Boże Narodzenie. Jest cudowną kucharką, naprawdę pierwsza klasa. Poszła na emeryturę dziesięć lat temu, ale przyjeżdża pomóc nam w każdej potrzebie. No i jest Peverell.

- Kamerdyner?

- Tak. Jest już na emeryturze i mieszka w małym domku na terenie posiadłości, ale obstaje przy tym, by obsługiwać nas na Boże Narodzenie. Niestety, ze starości bardzo drżą mu ręce, toteż ciągle boję się, że coś upuści. Człowiek męczy się, patrząc na niego. I serce ma też niezbyt zdrowe, więc muszę uważać, żeby się nie przemęczył. Zraniłabym jednak bardzo jego uczucia, nie pozwalając mu przyjść. Chrząka i okazuje dezaprobatę, kiedy widzi, w jakim stanie są nasze srebra, i w ciągu trzech dni swojego pobytu tutaj doprowadza je znowu do doskonałości. Tak. Jest cudownym, wiernym przyjacielem. Uśmiechnęła się do Poirota.

- A więc jesteśmy gotowi do szczęśliwej Gwiazdki. Białej Gwiazdki - dodała, spojrzawszy przez okno. - Widzi pan? Zaczyna padać śnieg. Ach, nadchodzą dzieci. Musi pan je poznać.

Poirot został przedstawiony ze stosownym ceremoniałem. Najpierw poznał Colina i Michaela, wnuka i jego przyjaciela, grzecznych piętnastoletnich chłopców, z których jeden był jasnowłosa, a drugi ciemny. Potem ich kuzynkę, Bridget, czarnowłosą dziewczynkę w tym samym wieku, niezwykle żywą.

- A to moja wnuczka, Sarah - powiedziała pani Lacey.

Poirot popatrzył z pewnym zainteresowaniem na Sarah, przystojną dziewczynę z burzą rudych włosów. Jej sposób bycia wydał mu się nerwowy i prowokacyjnie lekceważący, swojej babce okazywała jednak prawdziwe uczucie.

- A to pan Lee-Wortley.

Pan Lee-Wortley nosił rybacki sweter i obcisłe czarne dżinsy; miał dosyć długie włosy i można było wątpić, czy golił się dziś rano. Kontrastował z nim młody człowiek, przedstawiony jako David

Welwyn, spokojny i solidny, z miłym uśmiechem, używający wody i mydła wręcz nałogowo. Był tam jeszcze jeden członek paczki, sympatyczna, stanowcza dziewczyna, przedstawiona jako Diana Middleton.

Podano herbatę. Obfity poczęstunek składał się z jęczmiennych placuszków, bułeczek, kanapek i trzech rodzajów ciasta. Młodszy członek towarzystwa docenili posiłek. Na koniec zjawił się pułkownik Lacey.

- Herbata? No tak, herbata - zauważył.

Wziął z rąk żony filiżankę, nałożył sobie dwa placuszki, spojrzał z awersją na Desmonda Lee-Wortleya i usadowił się jak najdalej od niego. Był to wielki mężczyzna, z krzaczastymi brwiami i czerwoną, ogorzałą twarzą. Można go było wziąć raczej za farmera niż za właściciela zamku.

- Zaczęło sypać - powiedział. - Będzie biała Gwiazdka. Po herbacie towarzystwo rozeszło się.

- Pewnie teraz będą puszczać sobie muzykę z taśm - poinformowała Poirota pani Lacey. Spojrzała pobłaźliwie na wychodzącego wnuka. W jej głosie brzmiał ton osoby mówiącej: „Teraz dzieci zamierzają bawić się żołnierzkami”.

- Podchodzą do tego fachowo i poważnie - dodała. Chłopcy wraz z Bridget zdecydowali się jednak pójść nad jezioro i sprawdzić, czy łód nadaje się już do jazdy na łyżwach.

- Myślałem, że moglibyśmy poślizgać się już dziś rano - oświadczył Colin. - Ale stary Hodgkins powiedział, że nie. Zawsze jest strasznie ostrożny.

- Chodźmy na spacer, Davidzie - powiedziała cicho Diana Middleton.

David zawahał się przez moment, patrząc na rudą główkę Sarah. Dziewczyna wpatrywała się w Desmonda, trzymając rękę na jego ramieniu.

- Dobrze - odparł David. - Idziemy.

Diana wsunęła mu szybko rękę pod ramię i skierowali się ku drzwiom prowadzącym do ogrodu.

- Pójdziemy z nimi, Desmond? W domu jest okropnie duszno - spytała Sarah.

- Komu chciałoby się chodzić? - odparł Desmond.

- Wyprowadzę samochód i pojedziemy do Nakrapianego Odyńca napić się czegoś.

Sarah zawahała się.

- Pojedźmy do Market Ledbury, do Białego Jelenia. Tam jest znacznie zabawniej.

Choć Sarah nie przyznałaby się do tego za nic w świecie, odczuwała instynktowny sprzeciw przed pójściem z Desmondem do miejscowego pubu. To jakoś nie leżało w tradycji Kings Lacey.

Kobiety z zamku nigdy nie chodziły do Nakrapianego Odyńca. Miała niejasne uczucie, że gdyby tam poszła, sprawiłaby przykrość staremu pułkownikowi i jego żonie. Dlaczego nie? Tak powiedziała by Desmond. W momencie rozdrażnienia Sarah poczuła, że powinien wiedzieć dlaczego! Nie powinno się denerwować takich kochanych staruszków jak dziadek i najmilsza Em, o ile to nie było konieczne. Byli naprawdę bardzo zacni, pozwalali jej prowadzić własne życie, mimo iż nie rozumieli, dlaczego chciała żyć w Chelsea właśnie w taki sposób, akceptowali to. Oczywiście działało się to dzięki Em. Dziadek urządzałby nie kończące się awantury.

Sarah nie miała złudzeń co do poglądów dziadka. Zaproszenie Desmonda do Kings Lacey nie było jego zasługą. Sprawiała to Em, która była i będzie zawsze najkochniejsza.

Kiedy Desmond poszedł po samochód, Sarah zajrzała znowu do pokoju.

- Jedziemy do Market Ledbury. Chcemy wypić drinka w Białym Jeleniu.

W jej głosie zabrzmiało lekkie wyzwanie, ale pani Lacey zdawała się tego nie zauważać.

- Dobrze, kochanie. Jestem pewna, że będzie bardzo przyjemnie. David i Diana poszli na spacer. Bardzo się cieszę. To była genialna myśl, żeby zaprosić Dianę. Smutna rzecz owdowieć tak młodo - ma zaledwie dwadzieścia dwa lata. Mam nadzieję, że wkrótce znowu wyjdzie za mąż.

Sarah spojrzała na nią bystrze.

- Co kombinujesz, Em?

- To mój mały plan - wyjaśniła pani Lacey radośnie. - Myślę, że byłaby odpowiednia dla Davida. Wiem oczywiście, że on był zakochany po uszy w tobie, kochanie, ale ponieważ nie obchodził ciebie ani trochę, stwierdziłam, że nie jest w twoim typie. Nie chcę, żeby był nieszczęśliwy, i uważam, że Diana będzie dla niego w sam raz.

- Ależ z ciebie swatka, Em.

- Wiem. Stare kobiety zawsze swatają. Dianie on się już podoba. Nie sądzisz, że będzie dla niego odpowiednia?

- Nie powiedziałabym. Wydaje mi się, że Diana jest zbyt... zbyt zasadnicza, zbyt poważna. Przypuszczam, że David uznałby małżeństwo z nią za okropnie nudne.

- No cóż, zobaczymy. W każdym razie ty go nie chcesz, prawda?

- Naprawdę nie chcę - potwierdziła szybko Sarah. W nagłym odruchu spytała:

- Podoba ci się Desmond, Em?

- Na pewno jest bardzo miły.

- Dziadek go nie lubi.

- Trudno oczekiwać, żeby go lubił - stwierdziła pani Lacey rozsądnie - ale nie wątpię, że kiedyś oswoi się z myślą o nim. Nie możesz go ponaglać. Starzy ludzie bardzo wolno zmieniają poglądy, a dziadek jest dosyć uparty.

- Nie obchodzi mnie, co dziadek myśli lub mówi. Wyjdę za Desmonda, jak mi się tylko spodoba!

- Wiem, kochanie, wiem. Spróbuj jednak pomyśleć realnie. Dziadek mógłby sprawić masę kłopotów. Jesteś jeszcze niepełnoletnia. W przyszłym roku zrobisz, co będziesz chciała. Spodziewam się, że Horace zmieni zdanie na długo przedtem.

- Jesteś po mojej stronie, prawda? - spytała Sarah. Zarzuciła babce ramiona na szyję i ucałowała ją serdecznie.

- Chciałabym, żebyś była szczęśliwa. Ach! Twój przyjaciel właśnie przyprowadził samochód. Wiesz, podobają mi się te bardzo obcisłe spodnie, które noszą teraz panowie. Wyglądają tak elegancko - choć oczywiście podkreślają krzywe nogi.

Rzeczywiście, pomyślała Sarah, Desmond ma krzywe nogi, a przedtem tego jakoś nie zauważyła.

- Idź, kochanie, i baw się dobrze - pożegnała ją pani Lacey.

Patrzyła za nią, jak idzie do samochodu, potem, przypomniawszy sobie zagranicznego gościa, poszła do biblioteki. Zajrzawszy, stwierdziła jednak, że Herkules Poirot uciął sobie przyjemną drzemkę, więc uśmiechając się do siebie, udała się przez hali do kuchni, na konferencję z panią Ross.

- Chodź, moja śliczna - powitał Sarah Desmond. - Rodzinka zdenerwowała się, że idziesz do pubu? Strasznie są tu zacofani.

- Wcale nie robią afer - oświadczyła szorstko Sarah, wsiadłszy do samochodu.

- A cóż to za pomysł, sprowadzić tutaj tego cudzoziemca? To detektyw, prawda? Co ma tu wyśledzić?

- Och, nie jest tu zawodowo. Edwina Morecombe, moja druga babcia, chciała, żeby go przyjąć. On chyba już dawno temu przeszedł na emeryturę.

- Robi wrażenie starej, wysłużonej szkapy dorożkarskiej.

- Zdaje się, że chciał zobaczyć tradycyjne angielskie Boże Narodzenie - powiedziała Sarah niepewnie.

Desmond zaśmiał się pogardliwie:

- Kupa bzdur - powiedział. - Nie wiem, jak to wytrzymujesz.



Sarah gwałtownie potrząsnęła rudą czupryną i oświadczyła wyzywająco:

- Mnie się to podoba!

- Ależ to niemożliwe, dziecinko. Skończmy z tym jutro. Jedźmy do Scarborough lub gdzieś indziej.

- Nie mogę.

- Ależ dlaczego?

- To sprawiłoby im przykrość.

- Gadasz głupoty. Chyba nie bawią cię te sentymentalne, dziecinne bzdury...

- Rzeczywiście, może i nie, ale... - Sarah przerwała. Z uczuciem winy stwierdziła, że z przyjemnością oczekuje większości świątecznych obrzędów. Lubiła je, ale wstydziła się przyznać do tego Desmondowi. Nie wypadało przecież cieszyć się Gwiazdką i życiem rodzinnym. Życzyła sobie niemal, by Desmond nie przyjechał tu na Boże Narodzenie. O wiele zabawniej było spotykać się z nim w Londynie niż tu, w domu.

Tymczasem chłopcy wraz z Bridget wracali znad jeziora, wciąż rozważając poważnie problem ślizgawki. Śnieg nadal padał i patrząc w niebo, można było przepowiedzieć, że niebawem nadejdzie śnieżycy.

Perspektywa była przyjemna.

- Ulepmy bałwana - zaproponował Michael.

- O Boże - zawołał Colin - nie lepiłem bałwana od... no, od czasu kiedy miałem cztery lata.

- To chyba nie jest takie proste - rzekła Bridget. - Musicie wiedzieć, jak się to robi.

- Możemy zrobić podobiznę pana Poirota - oświadczył Colin. - Damy mu wielkie czarne wąsy. Są w jednym z pudeł z kostiumami.

- Wiecie - powiedział Michael w zamyśleniu - nie rozumiem, jak pan Poirot mógł być detektywem. Nie wyobrażam sobie, jak mógłby zmienić wygląd.

- Jasne - zawołała Bridget. - Nie można wyobrazić go sobie biegającego z lupą i szukającego śladów czy mierzącego odciski stóp.

- Mam pomysł - wykrzyknął Colin. - Zróbmy mu kawał.

- Jaki kawał? - spytała Bridget.

- Urządźmy mu morderstwo.

- Świetny pomysł - przyklasnęła Bridget. - Masz na myśli trupa na śniegu, czy coś w tym rodzaju?

- Tak. Od razu poczuje się jak w domu, prawda?

Bridget zachichotała.

- Nie wiem, czy posunęłabym się aż tak daleko.

- Jeżeli śnieg będzie padać - rzekł Colin - będziemy mieli idealne tło. Ciało i ślady stóp - będziemy musieli to przemyśleć starannie, gwizdnąć jeden ze sztyletów dziadka i przygotować trochę krwi.

Zatrzymali się i niepomi na padający obficie śnieg, pograżyli w gorącej dyskusji.

- W starym pokoju szkolnym jest pudełko z farbami. Moglibyśmy namieszać trochę krwi - mam na myśli szkarłatną czerwień.

- Szkarłat jest chyba zbyt różowy - wtrąciła Bridget. - Kolor powinien być trochę bardziej brunatny.

- Kto będzie trupem? - spytał Michael.

- Ja - zawołała szybko Bridget.

- Myślałem, że ja - rzekł Colin.

- Och nie, nie - upierała się Bridget. - To muszę być ja. To powinna być dziewczyna. To bardziej emocjonujące. Piękna martwa dziewczyna na śniegu.

- Piękna dziewczyna, no, no - zakpił Michael.

- Mam przecież czarne włosy - dodała Bridget.

- No to co?

- Wyglądają dobrze na śniegu i do tego będę miała czerwoną piżamę.

- Jeżeli założysz czerwoną piżamę, nie będzie widać plam krwi - zauważył rzeczowo Michael.

- Ale będą efektownie odbijać od śniegu, na białych wypustkach krew będzie widoczna. Czy to nie będzie wspaniałe? Sądzisz, że on się nabierze?

- Jeżeli zrobimy to dobrze... Będziemy mieli twoje ślady stóp na śniegu i ślady innej osoby, przychodzącej i odchodzącej od ciała - oczywiście mężczyzny. On nie zechce ich zniszczyć, więc nie będzie wiedział, że naprawdę nie jesteś martwa. Nie przychodzi wam do głowy... - Michael przerwał, zaskoczony nagłą myślą. - Nie przychodzi wam do głowy, że on się rozgniewa?

- Nie sędzę - odparła Bridget optymistycznie. - Na pewno zrozumie, że chcieliśmy go rozerwać.  
Taki rodzaj świątecznej zabawy.

- Chyba nie powinniśmy robić tego w pierwszy dzień świąt - zastanowił się Colin. - Dziadkowi to by się nie podobało.

- No to w drugi dzień - zaproponowała Bridget.

- Drugi dzień świąt będzie w sam raz - potwierdził Michael.

- I dzięki temu będziemy mieli więcej czasu - ciągnęła Jridget. - Mamy masę przygotowań.  
Chodźmy i obejrzymy wszystkie rekwizyty.

Pośpieszyli do domu.

### III

Wieczór był pełen zajęć. Przyniesiono wielkie ilości ostrokrzewu i jemioly, a w jednym z końców jadalni ustawiono choinkę. Wszyscy pomagali ją ubierać, umieścić gałązki ostrokrzewu za obrazami i powiesić jemiolę w hallu.

- Nie miałem pojęcia, że coś tak archaicznego jeszcze się robi - mruknął Desmond do Sarah szyderczo.

- U nas zawsze tak było - odparła Sarah defensywnie.

- Też mi powód!

- Przestań mnie męczyć, Desmond. Uważam, że to fajne.

- Sarah, skarbie, nie możesz tak myśleć!

- Może tak naprawdę mi się nie podoba, ale coś w tym jest.

- Kto nie boi się śniegu i pójdzie na pasterkę? - spytała pani Lacey za dwadzieścia dwunasta.

- Nie ja - rzekł Desmond. - Chodź, Sarah. Położywszy jej rękę na ramieniu, skierował się do biblioteki i sięgnął do płyt.

- Są pewne granice - oświadczył. - Też mi coś, pasterka!

- Masz rację - odpowiedziała Sarah.

Większość towarzystwa wyszła z tupotem, śmiejąc się przy wdziewaniu płaszczy. Obaj chłopcy, Bridget, Diana i David wybrali się w dziesięciominutową drogę do kościoła, idąc w padającym śniegu. Ich śmiechy zamarły w oddali.

- Pasterka! - sarknął pułkownik Lacey. - Za moich czasów nie chodziło się na pasterkę. Msza, coś podobnego! I to papieska. Ach, proszę mi wybaczyć, panie Poirot.

Poirot skinął ręką.

- W porządku. Proszę nie zwracać na mnie uwagi.

- Chciałem powiedzieć, że każdemu powinno wystarczyć poranne nabożeństwo. Prawdziwe niedzielne nabożeństwo. „Słuchajcie, co wam zwiastują śpiewem aniołowie” i te wszystkie stare, dobre kolędy. A potem powrót na świąteczny obiad. Właśnie tak, prawda, Em?

- Tak, mój drogi - odparła pani Lacey. - Tak my robimy. Ale młodzi cieszą się na pasterkę. To naprawdę miło, że chcą pójść.

- Sarah i ten gość nie idą.

- Uważam, że teraz ty się mylisz. Sarah miała ochotę pójść, ale bała się to powiedzieć.

- Nie mogę pojąć, czemu ona troszczy się o jego opinię.

- Jest naprawdę bardzo młoda - odparła pani Lacey łagodnie. - Idzie pan spać, panie Poirot? Dobranoc. Mam nadzieję, że będzie pan spał dobrze.

- A pani, *madame!* Jeszcze się pani nie kładzie?

- Jeszcze nie. Muszę napełnić pończochy różnymi śmiesznymi drobiazgami. Wiem, że są już dorośli, ale wciąż to lubią. I sprawia im to wiele uciechy.

- Pracuje pani bardzo ciężko, aby ten dom był szczęśliwy na Boże Narodzenie.

Szarmancko podniósł jej rękę do ust.

- Hmm - chrząknął pułkownik Lacey po wyjściu detektywa. - Malowniczy gość. Jednak cię docenia.

Pani Lacey pokazała mu dołeczki w uśmiechu.

- Zauważyłeś, Horace, że stoję pod jemiolą? - zapytała ze skromnością dziewiętnastolatki. Herkules Poirot wszedł do sypialni. Był to przestronny pokój, ogrzewany kaloryferami. Podchodząc do wielkiego łóża z baldachimem, zauważył leżącą na poduszce kopertę. Otworzył ją i wyjął kartkę. Była na niej notatka, napisana krzywymi drukowanymi literami.

„NIE JEDZ ANI KĘSA PUDDINGU. KTOŚ, KTO CI DOBRZE ŻYCZY.”

Herkules Poirot podniósł brwi, wpatrując się w list.

- Tajemnicza historia - mruknął. - I zupełnie niespodziewana.

## IV

Obiad świąteczny zaczął się o drugiej po południu. Ogromne kłody trzaskały wesoło w wielkim kominku, a ponad ich trzask wznosił się harmider wielu głosów. Zjedzono już zupełną ostryg, dwa olbrzymie indyki zamieniły się w stos kości. Nadszedł uroczysty moment wniesienia świątecznego puddingu. Stary Peverell, którego ręce i kolana osiemdziesięciolatka trzęsły się ze słabości, nie pozwolił go przynieść nikomu innemu. Pani Lacey zaciskała ręce ze zdenerwowania. Obawiała się, że podczas którychś świąt Peverell padnie trupem. Mając do wyboru zaryzykować jego śmierć lub zranienie uczuć, doszła do wniosku, że wolałaby być raczej martwy niż urażony, wybrała więc pierwszą możliwość. Świąteczny pudding spoczywał w chwale na srebrnym półmisku; wielka kula puddingu z gałązką ostrokrzewu, zatkniętą jak triumfalna flaga, i wznoszące się naokoło wspaniałe czerwono-niebieskie płomienie. Rozległy się okrzyki radości i podziwu.

Pani Lacey dokonała jednego: wymogła na Peverellu, by nie obnosił półmiska dookoła stołu, tylko umieścił pudding przed nią, żeby mogła nakładać porcje. Kiedy pudding bezpiecznie wylądował na stole, odetchnęła z ulgą. Talerze krążyły szybko, płomienie jeszcze lizały porcje.

- Proszę wypowiedzieć życzenie, panie Poirot - zawołała Bridget. - Zanim płomień zgaśnie. Szybko, babuniu, szybko.

Pani Lacey oparła się z westchnieniem satysfakcji. Operacja „Pudding” zakończyła się sukcesem. Przed każdym stała płonąca porcja deseru. Wokół stołu zapadła chwilowa cisza, kiedy wszyscy myśleli o swoich życzeniach.

Nikt nie zwrócił uwagi na dziwny wyraz twarzy pana Poirota, badającego porcję puddingu na swoim talerzu. „Nie jedz ani kęsa puddingu”. Co, u diabła, znaczyło to ponure ostrzeżenie? W jego porcji nie mogło być nic innego niż w pozostałych! Westchnąwszy, przyznał, że jest zbity z tropu - a Herkules Poirot tego nie lubił - i zaatakował deser łyżką i widelcem.

- Trochę karmelowego sosu, panie Poirot?

Poirot chętnie nałożył sobie sosu.

- Znowu zwędziłaś moją najlepszą brandy, co, Em? - zapytał dobrotliwie pułkownik z drugiego końca stołu. Pani Lacey mrugnęła do niego.

- Pani Ross upiera się przy najlepszej brandy, kochanie. Twierdzi, że od tego wszystko zależy.

- Dobrze, dobrze - odparł pułkownik. - Święta są tylko raz w roku, a pani Ross jest niezrównana. Wspaniała kobieta i wspaniała kucharka.

- Rzeczywiście tak jest - przyświadczył Colin. - Bombowy pudding. Mmm... - Włożył do ust potężną porcję.

Herkules Poirot bardzo ostrożnie napoczął porcję puddingu. Zjadł jeden kęs. Był wyśmienity!

Zjadł jeszcze jeden. Na jego talerzu coś cicho zabręczało. Zbadał tę rzecz widelcem. Siedząca po jego lewej stronie Bridget przyszła mu z pomocą.

- Pan tu coś ma - powiedziała. - Ciekawe, co to jest. Poirot oddzielił mały srebrny przedmiot od oblepiających go rodzynek.

- Och - jęknęła Bridget. - To kawalerski guzik! Pan Poirot znalazł kawalerski guzik!

Detektyw zanurzył srebrny guziczek w miseczce z wodą do mycia palców, stojącej obok jego talerza, i opłukał z okruszków.

- Jest bardzo ładny - zauważył.

- To znaczy, że zostanie pan kawalerem - wyjaśnił Colin.

- Tego można się było spodziewać - odparł poważnie Poirot. - Byłem przez wiele lat kawalerem i wątpliwe, bym miał teraz zmienić swój stan.

- Proszę nie tracić nadziei - wtrącił Michael - czytałem w gazecie, że jakiś dziewięćdziesięciopięcioletni staruszek ożenił się z dziewczyną dwudziestodwuletnią.

- To dodaje mi otuchy.

Pułkownik Lacey wydał nagły okrzyk. Jego twarz poczerwieniała, a rękę podniósł do ust.

- A niech to diabli, Emmeline - ryknął. - Dlaczego pozwalasz kucharce wkładać do puddingu szkło?

- Szkło?! - wykrzyknęła zaskoczona pani Lacey. Pułkownik wydobyl niebezpieczny przedmiot z ust.

- Można złamać ząb - burknął. - Albo też połknąć to świństwo i dostać zapalenia wyrostka.

Wrzucił szkło do miseczki z wodą, wypłukał i wyjął.

- Wielki Boże - zawołał. - To czerwony kamyk wyjęty z jarmarcznej broszki. - Podniósł go w górę.

- Pozwoli pan?

Sięgając zręcznie przed nosem swojego sąsiada, Poirot wyjął szkło z palców pułkownika i przyjrzał mu się uważnie. Zgodnie ze słowami gospodarza był to ogromny czerwony kamień o odcieniu rubinu. Kiedy go obracał, światło odbijało się w jego fasetach. Ktoś gwałtownie odsunął i znowu przysunął krzesło.

- Fiu! - gwizdnął Michael. - Ale byłby numer, gdyby okazał się prawdziwy.

- Może jest - powiedziała Bridget z nadzieją.

- Nie bądź głupia, Bridget. Taki wielki rubin byłby wart obłędne tysiące funtów. Prawda, panie Poirot?

- Na pewno - odparł Poirot.

- Nie mogę jednak pojąć - zauważyła pani Lacey - jak trafił do puddingu.

- Ooch! - jęknął Colin, zajęty ostatnim kęsem. - Dostałem prosiaka. To nie fair.

- Colin ma prosię! Colin ma prosię! Colin jest łakomym, nienazartym prosiakiem! - zaśpiewała natychmiast Bridget.

- Ja dostałam pierścionek - odezwała się Diana wysokim, jasnym głosem.

- Masz szczęście, Dianio, wyjdiesz za mąż najszybciej z nas.

- A ja dostałam napałek - lamentowała Bridget.

- Bridget zostanie starą panną - zaśpiewali obaj chłopcy. - A fe, Bridget będzie starą panną.

- Kto dostał monetę? - dopytywał się David. - W puddingu jest prawdziwa złota dziesięcioszylingówka. Wiem o tym. Pani Ross mi powiedziała.

- Myślę, że ja jestem tym szczęściarzem - rzekł Desmond Lee-Wortley.

Obaj sąsiedzi pułkownika usłyszeli, jak mamroce pod nosem:

- Pewnie, to ci pasuje.

- A ja też dostałem pierścionek - oświadczył David. Spojrzał na Dianę. - Co za zbieg okoliczności.

Rozległ się śmiech. Nikt nie zauważył, że pan Poirot, roztargniony, jakby myśląc o czymś innym, włożył czerwony kamień do kieszeni.

Po puddingu podano jeszcze babeczki z jabłkami i bakaliami oraz świąteczny deser. Starsi uczestnicy przyjęcia rozeszli się na miłą sjęstę przed ceremonią zapalenia świeczek na choince w porze podwieczorku. Herkules Poirot jednak nie urządził sobie sjęsty. Zamiast tego udał się do ogromnej, starej kuchni.

- Czy wolno mi - zapytał rozpromieniony, rozglądając się dookoła - pogratulować kucharce znakomitego posiłku, który właśnie zjadłem?

Nastąpił moment ciszy, a potem pani Ross wystąpiła naprzód i powitała go majestatycznie. Była tęgą osobą, o imponującej postawie i godności księżnej ze sceny teatralnej. Dwie chude, siwowłose



kobiety zmywały naczynia, a płowłosa dziewczyna uwijała się między kuchnią a zmywalnią. Ale to był tylko plebs. Królową kuchni była pani Ross.

- Miło mi słyszeć, że smakowało panu, *sir* - odparła z godnością.

- Smakowało! - wykrzyknął Herkules Poirot. Przesadnym, cudzoziemskim gestem podniósł jej rękę do ust, ucałował i posłał pocałunek ku sufitowi. - Przecież pani jest geniuszem, pani Ross! Prawdziwym geniuszem! Nigdy nie jadłem tak wspaniałego posiłku. Zupa z ostryg... - cmoknął znacząco. - A orzechowy farsz do indyka... Czegoś podobnego nigdy nie jadłem!

- Zabawne, że pan to powiedział, *sir* - odparła pani Ross łaskawie. - Przepis na ten niezwykły farsz dostałam od austriackiego szefa kuchni, z którym przed wielu laty pracowałam. Ale cała reszta - dodała - to tylko zwyczajna, dobra kuchnia angielska.

- A czy może być coś lepszego? - spytał Herkules Poirot.

- No, bardzo miło, że pan to mówi, *sir*. Jako cudzoziemski dżentelmen mógłby pan bardziej cenić kuchnię kontynentalną. To nie znaczy, że nie potrafię przyrządzić tamtejszych dań.

- Jestem pewien, pani Ross, że potrafiłaby pani ugotować wszystko! Musi pani jednak wiedzieć, że kuchnia angielska - dobra kuchnia angielska, nie z drugorzędnych hoteli czy restauracji - jest bardzo ceniona przez kontynentalnych smakoszy. Muszę pani zdradzić, że w pierwszych latach dziewiętnastego stulecia do Londynu ruszyła specjalna wyprawa, aby przesłać raport na temat cudownych angielskich puddingów. „Nie mamy we Francji nic podobnego - pisali. - Warto podjąć podróż do Anglii, by pokosztować różnorodnych smakowitych angielskich puddingów”. A ponad wszystkie puddingi - ciągnął Poirot, rozpoczynając teraz pieśń pochwalną - jest plum pudding gwiazdkowy, taki, jaki jedliśmy dzisiaj. To domowy pudding, prawda? Nie ze sklepu?

- Rzeczywiście, *sir*. Mojej własnej roboty i według mego przepisu, z którego korzystam od lat. Kiedy zaczęłam tu pracować, pani Lacey oświadczyła, że chciałaby zamówić pudding ze sklepu w Londynie, żeby oszczędzić mi kłopotu. Ależ nie, *madame*, powiedziałam, to miło z pani strony, ale kupny pudding nie może równać się domowemu. Proszę pamiętać - ciągnęła pani Ross, rozgrzewając się coraz bardziej jak artystka - że ten był zrobiony trochę za późno. Dobry pudding świąteczny powinien być przygotowany kilka tygodni wcześniej i musi dojrzeć. Im dłużej się go przetrzyma, oczywiście w granicach rozsądku, tym jest lepszy. Pamiętam, że kiedy byłam dzieckiem i szliśmy w niedzielę do kościoła, wyczekiwaliśmy koletki zaczynającej się od słów: „Powstań, o Panie, błagamy cię”, ponieważ była ona sygnałem, że w tym tygodniu trzeba robić pudding. I zawsze tak było. W niedzielę była kolekta i już wiedziałam, że matka będzie robiła gwiazdkowe puddingi. I tak powinno być tutaj w tym roku. A tymczasem pudding był robiony tylko trzy dni przed pańskim przyjazdem. Niemniej trzymałam się starych zwyczajów. Każdy domownik musiał przyjść do kuchni, zamieszać ciasto i wyrazić jakieś życzenie. To stary zwyczaj, *sir*, i zawsze go przestrzegam.

- Niezwykle interesujące - oświadczył Poirot. - Niezwykle. I wszyscy przyszli do kuchni?

- Tak, *sir*. Młodzi panowie, panna Bridget i dżentelmen z Londynu, który tu mieszka, i jego siostra, i pan David, i panna Diana - powinnam powiedzieć panna Middleton. I każdy trochę

pomieszał.

- Ile puddingów pani zrobiła, tylko jeden?

- Nie, proszę pana. Cztery zrobiłam. Dwa duże i dwa mniejsze. Drugi duży zamierzam podać na Nowy Rok, a dwa mniejsze są dla pułkownika i pani Lacey, kiedy zostają sami i nie ma tyle rodziny.

- Rozumiem - rzekł Poirot.

- Szczerze mówiąc - zwierzyła się pani Ross - dziś na lunch jedliście niewłaściwy pudding.

- Niewłaściwy pudding? - Detektyw zmarszczył brwi. - Jak to?

- Widzi pan, mamy wielką, świąteczną formę. Porcelanową formę, z wzorem z ostrokrzewu i jemioli, w której zawsze gotujemy bożonarodzeniowy pudding. Zdarzył się jednak fatalny wypadek. Rano, kiedy Annie zdejmowała ją z półki w spiżarni, pośliznęła się, upuściła formę i rozbiła. Naturalnie nie mogłam jej użyć. Mogły tam być odłamki szkła. Musiałam więc podać inny, noworoczny, który był w zwykłej misce. Jest też ładna i okrągła, ale nie tak dekoracyjna jak gwiazdkowa. Nie wiem naprawdę, gdzie dostaniemy taką formę jak ta stłuczona. Dziś nie robią rzeczy takich rozmiarów. Same drobiazgi. Nie można nawet kupić porządnego półmiska śniadaniowego, na osiem do dziesięciu jajek na bekonie. Ach, przedmioty nie są już takie jak dawniej.

- Istotnie nie są - potwierdził Poirot. - Cóż, nadeszły inne czasy. Ale te święta są takie jak dawniej, prawda?

Pani Ross westchnęła.

- Miło, że pan tak mówi, *sir*, ale nie mam już takiej pomocy jak kiedyś. Wykwalifikowanej pomocy. Dzisiejsze dziewczęta - zniżyła lekko głos - chcą jak najlepiej i są chętne, nie mają jednak praktyki, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

- Czasy się zmieniają, to prawda. Sam niekiedy uważam, że to smutne.

- Ten dom jest za duży dla pani i pułkownika. Pani wie o tym. Życie w jednym skrzydle domu, jak oni to robią, wcale nie ułatwia sprawy. Dom zaczyna żyć tylko na Boże Narodzenie, kiedy przyjeżdża rodzina.

- Pan Lee-Wortley i jego siostra są tu chyba pierwszy raz?

- Tak, proszę pana - w głosie pani Ross zabrzmiała lekka rezerwa. - To bardzo miły dżentelmen, ale... według nas jest trochę nieodpowiednim przyjacielem dla panny Sarah. Cóż, w Londynie są inne zwyczaje! Przykro, że jego siostra jest taka słaba. Jest po operacji. Pierwszego dnia wyglądała nieźle, ale właśnie dzień po tym, kiedy wyrabialiśmy pudding, znowu poczuła się źle i od tamtej pory leży. Przypuszczam, że za wcześnie wstała po operacji. Ach, dzisiejsi lekarze... każą człowiekowi wyjść ze szpitala, zanim dobrze stanie na nogach. Żona mojego własnego siostrzeńca... - I pani Ross zaczęła długą i porywającą opowieść o szpitalnym leczeniu swoich krewnych i niedostatecznej

opiece nad chorymi, nieporównywalnej z troską, jaką ich otaczano w dawnych czasach.

Poirot współczuł jej nalezycie.

- Pozostaje mi podziękować pani za wystawny i wyśmienity posiłek. Pozwoli pani złożyć mały dowód uznania? - Szeleszczący banknot pięćofuntowy przeszedł do ręki pani Ross, która powiedziała niedbale:

- Naprawdę nie powinien pan tego robić, *sir*.

- Nalegam. Nalegam.

- Cóż, to bardzo uprzejmie z pana strony, *sir*. - Pani Ross zaakceptowała daninę nie bardziej wylewnie, niż wypadało. - I życzę panu szczęśliwych świąt i pomyślnego nowego roku.

Koniec pierwszego dnia świąt był taki jak zawsze. Zapalono na choince, do herbaty podano wspaniałe świąteczne ciasto, powitane z aprobatą, ale jedzone z umiarkowaniem. Potem nastąpiła zimna kolacja.

Poirot i jego gospodarze poszli do łóżek wcześniej.

- Dobranoc, panie Poirot - powiedziała pani Lacey. - Mam nadzieję, że bawił się pan dobrze.

- To był cudowny dzień, *madame*, naprawdę cudowny.

- Wydawał się pan bardzo zamyślony.

- Zastanawiałem się nad angielskim puddingiem.

- Wydał się panu trochę ciężki? - spytała delikatnie pani domu.

- Nie, nie, nie mam na myśli strony gastronomicznej. Rozważałem jego znaczenie.

- Opiera się na tradycji. Dobranoc, panie Poirot, i proszę nie śnić za dużo o świątecznych puddingach i babeczkach.

- Tak - mruknął do siebie Poirot, rozbierając się. - Ten pudding stanowi nie lada problem. Jest tu coś, czego nie rozumiem. - Potrząsnął głową z irytacją. - No cóż - zobaczymy.

Poczyniwszy pewne przygotowania, położył się, ale nie zasnął.

W dwie godziny później jego cierpliwość została nagrodzona. Drzwi sypialni otworzyły się bardzo cicho. Detektyw uśmiechnął się do siebie. Tego właśnie się spodziewał. Wspomniiał przelotnie filiżankę kawy podaną mu tak uprzejmie przez Desmonda Lee-Wortleya. Nieco później, kiedy Desmond odwrócił się, Poirot postawił na chwilę filiżankę na stole. Potem podniósł ją znowu i Desmond musiał mieć satysfakcję, jeżeli można tak powiedzieć, widząc go pijącego kawę do ostatniej kropli. Wąsy Poirota drgnęły w lekkim uśmiechu, kiedy pomyślał, że nie on, tylko ktoś inny jest dziś pogrążony w głębokim śnie.

- Ten sympatyczny młody David jest niespokojny i nieszczęśliwy - powiedział do siebie. - Nie skrzywdzi go dobrze przespana noc. A teraz zobaczymy, co się stanie.

Leżał zupełnie cicho, oddychając jednostajnie, sprawiając od czasu do czasu wrażenie, że bardzo delikatnie pochrapuje.

Ktoś podszedł do łóżka i pochylił się nad nim. Następnie, uspokojony, odwrócił się i podszedł do toaletki. W świetle ołówkowej latarki gość przejrzał rzeczy Poirota, schludnie ułożone na blacie. Palce zbadały portfel, delikatnie wyciągnęły szuflady, potem zajęły się przeszukiwaniem kieszeni ubrania. Na koniec gość zbliżył się do łóżka i z wielką ostrożnością wsunął rękę pod poduszkę.

Wyjawszy rękę, stał chwilę, jakby zastanawiając się, co robić dalej. Obszedł pokój, zaglądając za bibeloty, wszedł do przyległej łazienki, skąd niebawem wrócił. Wreszcie, z lekkim okrzykiem niesmaku, opuścił pokój.

- Ach - szepnął Poirot. - Rozczarowałeś się. Tak, tak, to poważny zawód. Ba! Nie wyobrażałeś sobie, że Herkules Poirot schowa coś tak, że nie potrafisz tego znaleźć!

Obróciwszy się na drugi bok, zasnął spokojnie. Następnego ranka obudziło go ciche pukanie do drzwi.

- *Qui est là?*\* Proszę wejść.

Drzwi otworzyły się. W progu stanął zdyszany, zaczerwieniony Colin. Za nim widać było Michaela.

- Panie Poirot, panie Poirot!

- Co takiego? - Poirot usiadł na łóżku. - Czy to poranna herbata? Ach, to ty, Colin. Co się stało?

Colin zaniemówił. Widok szlafmicy, którą nosił Poirot, odebrał mu głos. Wreszcie opanował się i zaczął mówić.

- Panie Poirot, czy mógłby pan nam pomóc? Stało się coś okropnego.

- Coś się stało? Ale co?

- Chodzi... chodzi o Bridget. Leży na zewnątrz, na śniegu. Wydaje mi się... ona się nie rusza i nie mówi, i... och, niech pan lepiej pójdzie i sam zobaczy. Boję się okropnie - ona chyba nie żyje...

- Co? - Poirot odrzucił przykrycie. - Panna Bridget - nie żyje?!

- Sądzę... sądzą, że ktoś ją zabił. Tam jest krew i... och, niech pan idzie!

- Naturalnie. Naturalnie. Idę natychmiast. Detektyw błyskawicznie włożył na nogi wyjściowe buty i narzucił na pizamę płaszcz z futrzanym kołnierzem.

- Idę - oświadczył. - Wyruszam natychmiast. Obudziliście dom?

- Nie. Na razie nie mówiliśmy nikomu oprócz pana. Pomyślałem, że tak będzie lepiej. Dziadek i babunia jeszcze nie wstali. Wprawdzie służba przygotowuje na dole śniadanie, ale Peverellowi też niczego nie mówiłem. Ona - to znaczy Bridget - leży za domem, z drugiej strony, koło tarasu i okna biblioteki.

- Rozumiem. Prowadź. Pójdę za wami. Odwróciwszy się, by ukryć zachwyt na twarzy, Colin poprowadził go na dół. Wyszli przez boczne drzwi. Ranek był bezchmurny, słońce nie wzniosło się jeszcze wysoko ponad horyzont. Teraz śnieg nie padał, ale w ciągu nocy sypało mocno i wszystko wokół pokrywał nieskalany, biały puch. Świat był czysty, jasny i piękny.

- Tam! - powiedział Colin bez tchu. - Ja... to jest... tam! - wskazał dramatycznym ruchem.

Scena istotnie wyglądała dramatycznie. Kilka jardów dalej na śniegu leżała Bridget. Była ubrana w szkarłatną piżamę i biały szal, narzucony na ramiona. Na spowijającej ją białej wełnie widniały plamy krwi. Odwróconą głowę przesłaniała masa rozrzuconych czarnych włosów. Jedno ramię było ukryte pod ciałem, drugie odrzucone, z palcami zaciśniętymi w środku szkarłatnej plamy wokół rękonożki wielkiego, zakrzywionego kurdyjskiego sztyletu, który pułkownik Lacey pokazywał gościom zaledwie wczoraj.

- *Mon Dieu!* - wykrzyknął Herkules Poirot. - To wygląda jak na scenie!

Michael wydał zdławiony dźwięk. Colin wtrącił szybko:

- Wiem. Jest w tym coś nierealnego. Widzi pan te ślady - pewnie nie można ich zdeptać'?

- A tak, ślady. Musimy być ostrożni, żeby ich nie zniszczyć.

- Tak właśnie myślałem - rzekł Colin. - Dlatego nie chciałem, żeby ktokolwiek zbliżył się do niej, dopóki nie sprowadzimy pana. Pomyślałem, że pan będzie wiedział, co robić.

- Przede wszystkim - powiedział Poirot energicznie - musimy zobaczyć, czy jeszcze żyje. Prawda?

- Noo... tak... oczywiście - zgodził się Michael z wahaniem. - Ale widzi pan, myśleliśmy... to znaczy nie chcieliśmy...

- Ach, jesteście ostrożni! Czytacie powieści detektywistyczne. Najważniejsze to nie dotykać niczego i zostawić ciało tak, jak się je znalazło. Ale przecież nie możemy być pewni, że to jest ciało, prawda? Mimo wszystko, choć ostrożność jest godna podziwu, najważniejszy jest zwykły ludzki odruch. Zanim pomyślimy o policji, musimy pomyśleć o lekarzu.

- O tak. Naturalnie - powiedział Colin lekko zmieszany.

- Uważaliśmy tylko... to znaczy... pomyśleliśmy, że lepiej sprowadzić pana, zanim coś zrobimy - dodał Michael pośpiesznie.

- Zatem wy dwaj pozostaniecie tutaj. Ja zbliżę się z innej strony, by nie zniszczyć tych odcisków. Wspaniałe ślady stóp - czy nie są zbyt wyraźne? Ślady mężczyzny i kobiety dochodzą do miejsca, w którym ona leży. A potem ślady mężczyzny wracają, a kobiety - nie.

- To muszą być ślady mordercy - rzekł Colin z zapartym tchem.

- Właśnie - odparł Poirot. - Ślady mordercy. Długie, wąskie buciki, dosyć charakterystyczne. Wydaje mi się, że łatwo je rozpoznać. Tak, te ślady będą bardzo ważne.

W tej chwili Desmond Lee-Wortley i Sarah wyszli z domu i zbliżyli się do nich.

- Na miłość boską, co tutaj robicie? - zapytał mężczyzna trochę teatralnie. - Zobaczyłem was z okna mojej sypialni. Co to jest? O Boże, co to jest? To... to wygląda jak...

- Właśnie - odparł Poirot. - Wygląda jak morderstwo, prawda?

Sarah złapała gwałtownie powietrze, a potem spojrzała podejrzliwie na obu chłopców.

- Pan uważa, że ktoś zabił tę dziewczynę - jak jej tam - Bridget? - dopytywał się Desmond. - Któż, u licha, chciałby ją zabić? To nie do wiary!

- Dzieje się wiele rzeczy niewiarygodnych - rzekł Poirot. - Zwłaszcza przed śniadaniem. Tak powiada jeden z waszych klasyków. Sześć niemożliwych rzeczy przed śniadaniem. Poczekajcie tu wszyscy - dodał.

Ostrożnie obchodząc teren, zbliżył się do Bridget i nachylił na chwilę nad ciałem. Colin i Michael trzęśli się teraz od tłumionego śmiechu. Sarah przyłączyła się do nich, mrużąc:

- Co narobiliście?

- Ach, ta Bridget - wyszeptał Colin. - Czy nie jest cudowna? Ani drgnie!

- Nigdy nie widziałem, żeby ktoś wydawał się tak nieżywy jak Bridget - szepnął Michael.

Herkules Poirot wyprostował się.

- To straszne - powiedział. W jego głosie brzmiało niewyczuwalne przedtem wzruszenie.

Colin i Michael, odwrócili się, pokonani przez uczucie wesołości.

- Co... co mamy zrobić? - zapytał Michael zduszonym głosem.

- Jest tylko jedno do zrobienia. Musimy posłać po policję. Czy robi to jeden z was, czy wolicie, żebym to zrobił ja?

- Myślę - wyjąkał Colin - myślę... jak sądzisz, Michael?

- Uważam, że wszystko i tak zaraz się wyda.

Podszedł do przodu. Pierwszy raz wydawał się mniej pewny siebie.

- Bardzo mi przykro - zaczął. - Mam nadzieję, że nie będzie pan nam miał za złe. To... ee... to był taki świąteczny kawał. Postanowiliśmy... no, urządzić dla pana morderstwo.

- Postanowiliście urządzić dla mnie morderstwo? A więc to... więc to jest...

- To tylko przedstawienie - wyjaśnił Colin. - Żeby poczuł się pan jak w domu.

- Aha, rozumiem. Zrobiliście mi *prima aprilis*, tak? Ale dziś nie jest pierwszy kwietnia, tylko

dwudziesty szósty grudnia.

- Sądzę, że nie powinniśmy robić tego, ale... nie gniewa się pan bardzo, panie Poirot? Wstawaj, Bridget - zawołał.

- Pewnie już prawie zamarzłaś.

Postać na śniegu nawet nie drgnęła.

- To dziwne - powiedział Herkules Poirot. - Ona chyba nie słyszy.

Popatrzył w zamyśleniu na chłopców.

- To był żart? Jesteście tego pewni?

- Jasne - odparł Colin niespokojnie. - Nie chcieliśmy nikogo skrzywdzić.

- Dlaczego zatem panna Bridget nie wstaje?

- Nie mam pojęcia - wyjaśnił Colin.

- Dajże spokój, Bridget - rzuciła Sarah niecierpliwie.

- Nie udawaj idiotki.

- Naprawdę bardzo nam przykro, panie Poirot - rzekł Colin lękliwie. - Bardzo przepraszamy.

- Nie musicie przepraszać - powiedział Poirot dziwnym tonem.

- Co ma pan na myśli?

Colin gapił się na detektywa. Odwrócił się jeszcze raz.

- Bridget! Bridget! Co z tobą? Dlaczego nie wstajesz? Po co tam leżysz?

Poirot skinął na Desmonda.

- Panie Lee-Wortley. Proszę tutaj. Desmond zbliżył się do niego.

- Proszę zbadać jej tętno.

Desmond nachylił się. Dotknął jej przegubu.

- Nie ma pulsu... - wytrzeszczył oczy na Poirota. - Ręka jest martwa. Wielki Boże, ona naprawdę nie żyje!

Poirot skinął głową.



- Tak, nie żyje. Ktoś zmienił komedię w tragedię.

- Ale kto taki?

- Jest komplet odcisków stóp, zbliżających się do ofiary i odchodzących. Ślady wykazują znaczne podobieństwo do tych, panie Lee-Wortley, które zostawił pan, idąc ze ścieżki do tego miejsca.

Desmond odwrócił się gwałtownie.

- Co takiego... Pan mnie oskarża? Mnie?! Pan zwariował! Po cóż miałbym zabijać tę dziewczynę?

- Ach... po co? Tego nie wiem... Zastanówmy się... Nachylił się i bardzo delikatnie spróbował rozewrzeć sztywne palce zaciśniętej ręki dziewczyny.

Desmond zaczerpnął gwałtownie powietrza. Patrzył z niedowierzaniem. W dłoni martwej dziewczyny leżał ogromny rubin.

- To to cholerne szkło z puddingu - krzyknął.

- Naprawdę? - spytał Poirot. - Jest pan pewny?

- Oczywiście.

Desmond pochylił się gwałtownie i porwał czerwony kamień z ręki Bridget.

- Nie powinien pan tego robić - rzekł Poirot z wyrzutem. - Nie powinno się niczego ruszać.

- Nie ruszyłem ciała, prawda? Ale kamień mógłby zginąć, a jest dowodem rzeczowym. Najważniejsze, żeby jak najszybciej wezwać policję. Pójdę zaraz i zatelefonuję.

Odwrócił się i pobiegł do domu. Sarah podeszła prędko do detektywa.

- Nie rozumiem - szepnęła. Jej twarz była śmiertelnie blada. - Nie rozumiem. - Chwyciła ramię Poirota. - Co pan miał na myśli, mówiąc o śladach stóp?

- Niech pani spojrzysz sama, *mademoiselle*.

Odciski butów, prowadzące do ciała i z powrotem, były takie same jak te, które biegły obok śladów detektywa.

- Pan chce powiedzieć, że to był Desmond? Bzdura! Nagle rozległ się odgłos jadącego samochodu. Wszyscy się obejrzel. Dostrzegli jadący z szaleńczą szybkością samochód, a Sarah zawołała:

- To Desmond - powiedziała. - To jego wóz. - Jedźcie po policję, zamiast dzwonić po nich.

Diana Middleton wybiegła z domu, kierując się do stojącej grupki.

- Co się stało? - zapytała bez tchu. - Desmond wpadł właśnie do domu. Powiedział, że Bridget została zamordowana, potem zaczął stukać w widełki, ale telefon był głuchy. Nie mógł się połączyć. Krzyknął, że druty muszą być przecięte. Wyjaśnił tylko tyle, że bierze samochód i jedzie po policję. Dlaczego po policję?

Poirot wskazał gestem dziewczynę.

- Bridget? - Diana patrzyła na niego. - Czy na pewno nie jest to jakiś żart? Ostatniego wieczoru coś usłyszałam. Pomyślałam, że zamierzają zrobić panu kawał.

- Tak - odparł detektyw. - Był taki pomysł, żeby zrobić mi figiel. Teraz jednak chodzimy wszyscy do domu. Tutaj możemy tylko zamarznąć, a i tak nie ma nic do zrobienia, dopóki pan Lee-Wortley nie wróci z policją.

- Ale przecież - zaczął Colin - nie możemy... nie możemy zostawić Bridget samej.

- Nie pomożesz jej, zostając tutaj - wyjaśnił łagodnie Poirot. - Chodź, to jest bardzo ponura tragedia, ale nie możemy już nic pomóc *mademoiselle* Bridget. Więc chodźmy się zagrzać, a może wypić filiżankę kawy lub herbaty.

Poszli za nim posłusznie do domu. Peverell miał właśnie uderzyć w gong. Jeżeli uznał za niezwykle, że większość domowników była na dworze i że Poirot odziany był w piżamę i płaszcz, nie okazał tego. Peverell mimo późnego wieku był wciąż kamerdynerem doskonałym. Niczego nie zauważał i o nic nie pytał. Wszyscy weszli do jadalni i usiedli. Kiedy podano kawę, Poirot zaczął mówić.

- Muszę opowiedzieć wam małą historyjkę. Nie mogę podać wszystkich szczegółów, ale mogę wyjaśnić rzecz z grubsza. Sprawa łączy się z młodym księżątkiem, które przybyło do tego kraju. Młodzieniec przywiózł z sobą głośny klejnot, przeznaczony dla damy, którą miał poślubić. Miał dać mu nową oprawę, niestety, zanim do tego doszło, zaprzyjaźnił się z uroczą młodą osobką. Tej uroczej pani nie zależało zbytnio na mężczyźnie, zależało jej natomiast na jego kamieniu, tak bardzo, że pewnego dnia znikła wraz z historycznym klejnotem, który należał od pokoleń do rodziny księcia. Nieszczęsny młodzieniec znalazł się w kłopotliwym położeniu. W żadnym razie nie chciał skandalu. Nie mógł zgłosić się na policję. Przyszedł zatem do mnie, do Herkulesa Poirota. „Znajdź mój historyczny rubin”, powiedział. *Eh bien*, ta uroczą osobę miała przyjaciela, a ten przyjaciel był zamieszany w kilka bardzo wątpliwych transakcji. Był uwikłany w szantaż, a także sprzedaż biżuterii za granicę. Zawsze działał bardzo sprytnie. Podejrzewano go, owszem, niczego jednak nie można mu było udowodnić. Doszło do mojej wiadomości, że ów bardzo sprytny dżentelmen zamierza spędzić święta Bożego Narodzenia w tym domu. Ważne było, by młoda dama, raz zdobywszy klejnot, mogła zniknąć na jakiś czas, tak by nie można było wywrzeć na nią nacisku ani zadawać pytań.

Ustalono zatem, że przyjedzie do Kings Lacey, oficjalnie jako siostra sprytnego dżentelmena... Sarah zaczerpnęła gwałtownie tchu.

- Och, nie. Och, nie, nie tutaj. Nie tutaj, gdzie ja jestem!

- Ale tak się stało - rzekł Poirot. - A dzięki małej manipulacji ja również stałem się gościem. Młoda dama dopiero co wyszła ze szpitala. Po przyjeździe tutaj czuła się nieźle. Nagle przychodzi wiadomość, że przyjeżdżam również ja - detektyw, i to znany detektyw. Ona, jak to mówią, dostaje pietra. Ukrywa rubin w pierwszym miejscu, jakie przychodzi jej na myśl, potem ma nawrót choroby i kładzie się znowu do łóżka. Nie chce, żebym ją zobaczył, gdyż niewątpliwie mam zdjęcie i ją rozpoznam. Choć to bardzo nudny sposób spędzania świąt, zostaje w pokoju, a brat przynosi jej posiłki.

- A rubin? - spytał Michael.

- Myślę, że w chwili kiedy wspomniano o moim przyjeździe, młoda dama była w kuchni wraz z pozostałymi, mieszając pudding wśród śmiechów i pogwarek. Pudding wkładano do form i wówczas wcisnęła rubin do jednej z nich. Nie do tego w specjalnej świątecznej formie. Włożyła go do tego, który był przeznaczony na Nowy Rok. Do tego czasu miała być gotowa do wyjazdu. Pudding niewątpliwie zniknąłby razem z nią. Ale wmieszał się los i splątał jej figła. Właśnie rano w pierwszy dzień świąt zdarzył się wypadek. Pudding w ozdobnej formie upadł na kamienną podłogę i forma rozbiła się na drobne kawałki. Co więc się stało? Zaczyna pani Ross podać do stołu drugi pudding.

- O Boże - powiedział Colin - to znaczy, że kiedy dziadek jadł swój pudding, w jego ustach znalazł się prawdziwy rubin?

- Właśnie tak - odparł Poirot. - Możecie sobie wyobrazić emocje pana Desmonda Lee-Wortleya, kiedy to zobaczył? *Eh bien*, co zdarzyło się później? Rubin podawano sobie z rąk do rąk. Obejrzałem go i udało mi się dyskretnie włożyć go do kieszeni. Zupełnie mimochodem, jakby mnie nie interesował. Jednak przynajmniej jedna osoba zauważyła, co zrobiłem. Kiedy leżałem w łóżku, ta osoba przeszukała mój pokój i mnie. Nie znalazła rubinu. Dlaczego?

- Ponieważ - wtrącił Michael bez tchu - pan dał go Bridget. Właśnie to miał pan na myśli. I właśnie dlatego... Nie bardzo rozumiem... wydaje mi się... Zaraz, to co się stało?

Poirot uśmiechnął się do niego.

- Chodźmy teraz do biblioteki i wyrzujmy przez okno, a pokażę wam coś, co może wyjaśnić tajemnicę. Ruszył pierwszy, a za nim pozostali.

- Jeszcze raz obejrzymy scenę zbrodni.

Wskazał coś za oknem. Jednoczesne westchnienie wyrwało się wszystkim z piersi. Na śniegu nie było ciała, nie było żadnego śladu tragedii, oprócz zdeptanego śniegu.

- Chyba to wszystko się nam nie przyśniło? - zapytał niepewnie Colin. - Czy... czy ktoś zabrał ciało?

- Ach, zrozumiałeś? Tajemnica znikających zwłok. - Poirot skinął głową i dyskretnie mrugnął.

- Wielki Boże - krzyknął Michael. - Panie Poirot, pan... pan chyba... Och, on cały czas nas nabierał!

Poirot mrugnął jeszcze wyraźniej.

- To prawda, moje dzieci, ja także zrobiłem mały dowcip. Wiedziałem o waszym spisku i zorganizowałem kontrofensywę. Ach, *voilà mademoiselle* Bridget\*. Mam nadzieję, że z pani leżenia na śniegu nie wynikło nic złego. Nigdy nie wybaczyłbym sobie, gdyby złapała pani *une fluxion de poitrine*\*.

Bridget weszła do pokoju. Była ubrana w grubą spódnicę i wełniany sweter. Śmiała się.

- Posłałem pani *tisane*\* do pokoju - powiedział poważnie Poirot. - Czy pani wypła?

- Wystarczył jeden łyk! Czuję się dobrze. Czy grałam odpowiednio, panie Poirot? Na litość boską, ramię jeszcze mnie boli po tej opasce, którą mi pan nałożył.

- Była pani wspaniała, moje dziecko. Wspaniała. Ale tymczasem reszta błędzi w ciemnościach. Wczorajszej nocy poszedłem do *mademoiselle* Bridget. Powiedziałem jej, że wiem o waszym spisku i poprosiłem, żeby zechciała zagrać rolę dla mnie. Wywiązała się znakomicie. Zrobiła ślady stóp za pomocą pary butów pana Lee-Wortleya.

- A to w jakim celu, panie Poirot? - odezwała się szorstko Sarah. - Jaki był powód wysłania Desmonda po policję? Będą wściekli, kiedy odkryją, że to tylko mistyfikacja.

Poirot potrząsnął delikatnie głową.

- Przez moment nawet nie myślałem, że pan Lee-Wortley pojedzie po policję. Morderstwo nie jest rzeczą, w którą chciałby być wmieszany. Stracił panowanie nad sobą. Wszystko, o czym pamiętał, to szansa zdobycia rubinu. Porwał go, symulował uszkodzenie telefonu i uciekł samochodem pod pretekstem sprowadzenia policji. Myślę, że długo go pani nie zobaczy. O ile wiem, ma swoje sposoby wydostania się z Anglii. Ma własny samolot, prawda *mademoiselle*?

- Tak - potwierdziła Sarah. - Mieliśmy zamiar... - przerwała.

- Chciał, żeby uciekła pani z nim w ten sposób? *Eh bien*, to bardzo dobry sposób przemycenia kamienia za granicę. Kiedy uciekasz z dziewczyną, fakt staje się głośny, wobec czego nikt cię nie podejrzewa o przemycenie historycznego klejnotu. O tak, to bardzo dobry kamuflaż.

- Nie wierzę w to - zaprotestowała Sarah. - Nie wierzę w ani jedno słowo.

- Niech pani zapyta więc jego siostrę - powiedział Poirot, wskazując kogoś stojącego za nią. Sarah obejrzała się gwałtownie.

W drzwiach stała platynowa blondynka w futrzanym płaszczu. Patrzyła spode łba. Wyraźnie była wściekła.

- Siostrę, jeszcze czego! - zachichotała nieprzyjemnie. - Ten łobuz nie jest moim bratem! Więc on się wyniósł i zwałił wszystko na mnie? Cała sprawa to jego pomysł! On mnie w to wrobił! Powiedział, że to będą łatwe pieniądze, że tamci nigdy nie wystąpią do sądu, żeby nie dopuścić do skandalu. Mogłam zawsze im zagrozić, utrzymując, że Ali dał mi rodzinny zabytek. Des i ja mieliśmy podzielić się łupem w Paryżu - a teraz ten drań uciekł!

Gwałtownie zmieniła temat.

- Im wcześniej wyrwę się... Czy ktoś może zatelefonować po taksówkę?

- Przed frontowymi drzwiami czeka samochód, żeby zawieźć panią na dworzec - powiedział Poirot.

- Pomyślał pan o wszystkim, co?

- Niemal o wszystkim - odparł z zadowoleniem.

Ale Poirotowi nie upiekło się tak łatwo. Kiedy wrócił do jadalni po odprowadzeniu rzekomej panny Lee-Wortley do samochodu, czyhał na niego Colin.

Jego chłopięca twarz była zachmurzona.

- Zaraz, zaraz, panie Poirot. A co z rubinem? Zamierza pan pozwolić facetowi z nim uciec?

Twarz Poirota wydłużyła się. Zaczął podkręcać wąsy. Wydawał się zażenowany.

- Znajdę go jeszcze - powiedział niepewnie. - Są inne sposoby. Będę...

- Coś podobnego! - rzucił Michael. - Pozwolić temu łotrowi zwać z rubinem!

Bridget była bystrzejsza.

- Znowu nas nabiera - krzyknęła. - Prawda, panie Poirot?

- Zrobimy ostatnią sztuczkę magiczną, *mademoiselle*? Proszę włożyć rękę do mojej lewej kieszeni.

Bridget wsunęła rękę. Wyciągnęła ją z okrzykiem triumfu, podnosząc w górę wielki rubin, migoczący wspaniałą purpurą.

- Pojęła pani - wyjaśnił Poirot - że ten, który ścisnęła pani w rękę, był imitacją ze strasu? Przywiozłem go z Londynu na wypadek, gdyby można było dokonać zamiany. Rozumiecie? Nie chcemy skandalu. Pan Desmond będzie próbował pozbyć się kamienia w Paryżu lub w Belgii, czy gdzie tam ma kontakty, i wtedy okaże się, że klejnot jest fałszywy! Wszystko kończy się szczęśliwie. Skandal zostaje zażegnany, moje książątko odzyskuje rubin, wraca do kraju, ustatkowuje się i żeni, miejmy nadzieję, szczęśliwie. Wszystko kończy się dobrze.

- Tylko nie dla mnie - mruknęła Sarah pod nosem. Mówiła tak cicho, że usłyszał to tylko Poirot. Potrząsnął łagodnie głową.

- Myli się pani, *mademoiselle* Sarah. Zdobyła pani doświadczenie. Wszystkie doświadczenia są cenne. Prorokuję, że czeka panią szczęście.

- Tak pan mówi - burknęła Sarah.

- Ale, panie Poirot - zmarszczył brwi Colin. - Skąd pan wiedział, że chcemy urządzić dla pana ten spektakl?

- Mój zawód wymaga, by wiedzieć pewne rzeczy - podkreślił węża Poirot.

- Tak, ale nie rozumiem, jak pan to wszystko przeprowadził. Czy ktoś zdradził... przyszedł i wygadał panu?

- Nie, nie, to nie tak.

- No to jak? Powie nam pan? - prosili jednym głosem. - Proszę nam powiedzieć.

- Nie - protestował Poirot. - Nie. Jeżeli powiem wam, jak to wydedukowałem, wszystko straci urok. Tak jakby magik wyjaśniał swoje triki!

- Proszę nam powiedzieć! Prosimy. Niech pan powie!

- Więc naprawdę chcecie, żebym odkrył przed wami ostatnią tajemnicę?

- Tak, prosimy. Niech pan zaczyna.

- Ach, nie powinienem tego robić. Będziecie rozczarowani.

- Dalej, panie Poirot, proszę nam powiedzieć. Skąd pan wiedział?

- Widzicie, tamtego dnia po herbacie, wypoczywałem w bibliotece, przy oknie, w fotelu. Zasnąłem, a kiedy się zbudziłem, omawialiście właśnie swój plan na zewnątrz, w pobliżu okna, którego góra była otwarta.

- I to wszystko? - zawołał Colin z niesmakiem. - Takie proste!

- Prawda? - zaśmiał się Herkules Poirot. - Widzicie? Jesteście rozczarowani!

- Mniejsza o to - odparł Michael. - W każdym razie teraz wiemy wszystko.

- Naprawdę? - mruknął do siebie Poirot. - Ja nie wiem. Ja, którego zawód polega na tym, żeby wiedzieć wszystko.

Wyszedł do hallu, potrząsając głową w zadumie. Chyba dwudziesty raz wyjął z kieszeni zmięty

kawałek papieru. „NIE JEDZ ANI KĘSA PUDDINGU. KTOŚ, KTO CI DOBRZE ŻYCZY.”

Herkules Poirot potrząsnął głową z namysłem. On, który potrafił wyjaśnić wszystko, nie umiał wytłumaczyć tego! Poniżające. Kto to napisał? Dlaczego to zrobił? Dopóty nie zazna chwili spokoju, dopóki tego nie odkryje. Nagle wyrwał go z zadumy dziwny, sapiący oddech. Rozejrzył się bystrze. Na podłodze dostrzegł jasnowłosą postać w kwiecistym kombinezonie, ze szczotką i śmietniczką. Patrzyła na papier w jego ręce szerokimi oczami.

- Och, *sir* - powiedziało stworzenie - Och, proszę pana.

- Kim jesteś, *mon enfant*? - zapytał uprzejmie Poirot.

- Annie Bates, proszę pana. Przychodzę pomagać pani Ross. Nie zamierzałam zrobić nic złego... nic, czego nie powinnam zrobić. Chciałam dobrze, *sir*. Uważałam, że to dla pańskiego dobra.

Poirot nagle oświeciło. Podniósł wygnieciony papier.

- Ty to napisałaś, Annie?

- Nie chciałam nic złego, *sir*. Niczyjej krzywdy.

- Oczywiście, że nie chciałaś, Annie. Uśmiechnął się do niej.

- Opowiedz mi wszystko. Dlaczego to napisałaś?

- Chodziło o tych dwoje, *sir*. Pana Lee-Wortleya i jego siostrę. Ona na pewno nie była jego siostrą. Nikt z nas tak nie myślał! Nie była wcale chora. Zdołaliśmy się zorientować. Uważaliśmy, i to wszyscy, że dzieje się coś dziwnego. Powiem to panu zwyczajnie. Byłam w łazience i zmieniałam ręczniki i słyszałam wszystko przez drzwi. Był w jej pokoju i rozmawiali. Słyszałam, jak on mówił: „Ten detektyw, który przyjeżdża, to jest ten Poirot. Musimy coś z tym zrobić. Musimy usunąć go z drogi jak najszybciej”. Potem on zapytał ją paskudnym, ponurym tonem, ścisząc głos: „Gdzie to włożyłaś?”. A ona odpowiedziała: „Do puddingu”. Och, *sir*, serce skoczyło mi tak, że omal nie stanęło. Myślałam, że zamierzają otruć pana czymś, co jest w świątecznym puddingu. Nie wiedziałam, co robić! Pani Ross nie chciałaby mnie nawet słuchać. Potem przyszedł mi do głowy pomysł i napisałam do pana ostrzeżenie. Poszłam i położyłam kartkę na poduszce, żeby znalazł pan ją, idąc spać - Annie przerwała zadyszana.

Poirot przyglądał się jej chwilę.

- Pewnie oglądasz dużo kryminałów, Annie. A może to telewizja tak na ciebie wpływa? Najważniejsze, że masz dobre serce i dobre pomysły. Jak wrócę do Londynu, przyślę ci prezent.

- Och, dziękuję. Bardzo panu dziękuję, *sir*.

- A co chciałabyś dostać?

- Co bym chciała? Mogę dostać, co tylko zechcę?

- W granicach rozsądku.

- Och, czy mogłabym dostać kosmetyczkę? Prawdziwą, szykowną, wystrzałową kosmetyczkę, taką, jak miała ta siostra pana Lee-Wortleya, co to nie była jego siostrą?

- Tak - odparł Poirot. - Myślę, że dałoby się to załatwić. Ciekawe - zadumał się. - Oglądałem kiedyś w muzeum zabytki z Babilonu czy podobnego miasta liczącego tysiące lat i między nimi też były kosmetyczki. Serce kobiety się nie zmienia.

- Słucham? - spytała Annie.

- Nic takiego. Coś mi się przypomniało. Będziesz miała swoją kosmetyczkę, dziecko.

- Dziękuję panu. Naprawdę dziękuję bardzo. Zachwycona Annie wyszła. Poirot patrzył za nią, kiwając głową z satysfakcją.

- A teraz - powiedział do siebie - wyjeżdżam. Nie ma tu nic do roboty.

Niespodziewanie dwa ramiona oplotły jego szyję.

- Gdyby tylko zechciał pan stanąć pod jemiolą - powiedziała Bridget.

Herkules Poirot ucieszył się. Ucieszył się bardzo. Powiedział sobie, że to było bardzo dobre Boże Narodzenie.



# Zagadka hiszpańskiej skrzyni

## I

Herkules Poirot, jak zwykle punktualny co do minuty, wszedł do pokoiku, w którym panna Lemon, jego znakomita sekretarka, czekała na polecenia.

Panna Lemon sprawiała wrażenie, jakby składała się z samych linii łamanych, zadowolając w ten sposób zamiłowanie Poirota do symetrii.

Nie znaczy to, że w kwestii kobiet zamiłowanie Poirota do geometrii było aż tak silne. Przeciwnie, był on pod tym względem staroświecki. Odczuwał kontynentalną przychyłność dla krzywizn, można by rzec - rozkosznych krzywizn. Lubił, żeby kobiety były kobiece. Podobały mu się te bujne, malownicze, egzotyczne. Była nawet kiedyś pewna rosyjska hrabina - ale to dawne dzieje. Szaleństwo młodości.

Panny Lemon nigdy nie brał pod uwagę jako kobiety. Była maszyną w ludzkiej postaci - precyzyjnym instrumentem. Jej sprawność go przerażała. Miała czterdzieści osiem lat i na szczęście żadnej wyobraźni.

- Dzień dobry, panno Lemon.

- Dzień dobry, panie Poirot.

Poirot usiadł, a panna Lemon położyła przed nim poranną pocztę, starannie posortowaną. Powróciła na swoje krzesło i usiadła na nim z ołówkiem i notatnikiem w ręku.

Tego ranka jednak rutyna uległa niewielkiej zmianie. Poirot przyniósł z sobą poranną gazetę i przeglądał ją z zainteresowaniem. Nagłówki były wielkie i krzyczące. „Zagadka hiszpańskiej skrzyni. Ostatnie odkrycia.”

- Przypuszczam, że czytała pani poranne gazety, panno Lemon?

- Tak, panie Poirot. Wiadomości z Genewy nie są zbyt dobre.

Poirot odprawił wiadomości z Genewy szerokim gestem.

- Hiszpańska skrzynia - zadumał się. - Czy może mi pani powiedzieć, co to właściwie jest hiszpańska skrzynia?

- Przypuszczam, że to zwykła skrzynia, która została wyprodukowana w Hiszpanii.

- Zupełnie rozsądne przypuszczenie. Nie wie pani nic konkretnego?

- Te skrzynie pochodzą zwykle z okresu elżbietańskiego. Są duże i mają dość liczne mosiężne okucia. Wyglądają bardzo ładnie, jeśli są w dobrym stanie i zadbane. Moja siostra kupiła taką na

licytacji. Trzyma w niej bieliznę pościelową. To śliczny mebel.

- Jestem pewien, że w domach wszystkich pani siostr meble są znakomicie utrzymane - oświadczył Poirot, skłaniając z wdziękiem głowę.

Panna Lemon odparła, że służba chyba dzisiaj nie wie, co znaczy urobić sobie ręce po łokcie. Poirot wyglądał na trochę zdziwionego, ale zdecydował się nie dowiadywać o dosłowny sens tajemniczego zwrotu „urobić sobie ręce po łokcie”.

Spojrzał znowu na gazetę, kontemplując nazwiska: major Rich, pan i pani Clayton, kapitan McLaren, pan i pani Spence. Dla niego były to tylko nazwiska, za wszystkimi kryły się jednak konkretne osoby, nienawiść, miłość, lęki. Ci ludzie przeżywali dramat, w którym on, Herkules Poirot, nie brał udziału. A bardzo chciałby w nim uczestniczyć! Sześć osób na wieczornym przyjęciu, w pokoju z wielką hiszpańską skrzynią pod ścianą. Sześć osób, pięć z nich rozmawia, je kolację na stojąco, puszcza płyty, tańczy, a szósta leży martwa, w hiszpańskiej skrzyni...

Jak bardzo cieszyłby się tą historią mój drogi przyjaciel, Hastings - pomyślał Poirot. Jakie romantyczne wzloty wyobraźni stałyby się jego udziałem. Jakie niedorzeczności by wypowiadał! Ach, *ce cher\** Hastings, jak mi go dzisiaj właśnie brakuje... Zamiast tego...

Westchnął i spojrzał na pannę Lemon, która spostrzegłszy bystrze, że Poirot nie jest w nastroju do dyktowania listów, siedziała przed otwartą maszyną i czekała na moment, by zacząć likwidować pewne zaległości w pracy. Nic nie mogło interesować jej mniej niż ponura hiszpańska skrzynia, zawierająca martwe ciało.

Poirot westchnął i przyjrzał się twarzy na zdjęciu. Gazetowe reprodukcje nigdy nie bywają dobre, ta była zdecydowanie zamazana - ale cóż to była za twarz! Pani Clayton, żona zamordowanego...

Pod wpływem impulsu podsunął gazetę pannie Lemon.

- Proszę popatrzeć. Proszę zwrócić uwagę na tę twarz. Panna Lemon spojrzała posłusznie, nie okazując emocji.

- Co pani myśli o niej, panno Lemon? To jest pani Clayton.

Panna Lemon wzięła gazetę, patrząc przelotnie na zdjęcie.

- Przypomina trochę żonę dyrektora naszego banku, kiedy mieszkaliśmy w Croydon Heath.

- Ciekawe - rzekł Poirot. - Niech pani będzie tak miła i opowie mi o niej.

- Kiedy to nie jest wcale przyjemna historia.

- Przyszło mi do głowy, że może nie być przyjemna. Niech pani mówi.

- Było sporo plotek o pani Adams i pewnym młodym artyście. Potem pan Adams się zastrzelił.

Pani Adams nie chciała jednak poślubić tamtego mężczyzny i on zażył jakąś truciznę. Jakoś go z tego wyciągnęli. Ostatecznie pani Adams wyszła za młodego prawnika. Wydaje mi się, że były jeszcze jakieś kłopoty, ale wyprowadziliśmy się z Croydon Heath i już więcej o niej nie słyszałam.

Herkules Poirot skinął poważnie głową.

- Była piękną kobietą?

- No... trudno było ją nazwać piękną... ale miała w sobie coś takiego...

- Właśnie. Co to jest, co mają w sobie wszystkie uwodzicielki tego świata! Te Heleny Trojańskie, Kleopatry...

Panna Lemon energicznie wkręciła do maszyny kartkę.

- Naprawdę, panie Poirot, nigdy nie zastanawiałam się nad tym. To mi się wydaje głupie. Gdyby ludzie po prostu wykonywali swoją pracę i nie myśleli o takich sprawach, wszystko szłoby znacznie lepiej.

Rozprawiwszy się w ten sposób z ludzką słabością i uczuciami, panna Lemon uniosła palce nad klawiszami maszyny, czekając niecierpliwie, kiedy szef pozwoli jej zabrać się do pracy.

- To pani pogląd - rzekł Poirot. - I w tej chwili pani pragnieniem jest, by mogła pani zająć się swoją pracą. Ale pani praca, panno Lemon, polega nie tylko na pisaniu moich listów, porządkowaniu moich papierów, załatwianiu telefonów i odpowiadaniu na pisma. Wszystkie te rzeczy robi pani w godny podziwu sposób. Ja jednak mam do czynienia nie tylko z dokumentami, lecz również z istotami ludzkimi. I w tej sprawie również potrzebuję pomocy.

- Oczywiście, panie Poirot - odparła cierpliwie panna Lemon. - Co mam zrobić?

- Ta sprawa mnie interesuje. Byłbym rad, gdyby przestudiowała pani doniesienia na ten temat w całej porannej prasie, a także dodatkowe doniesienia w gazetach wieczornych. Proszę zrobić streszczenie faktów.

- Dobrze, panie Poirot.

Poirot wycofał się do swojej bawialni ze smutnym uśmiechem na twarzy.

- To naprawdę ironia - powiedział do siebie - że po moim kochanym przyjacielu Hastingsie muszę mieć pannę Lemon. Czyż można sobie wyobrazić większy kontrast? *Ce cher* Hastings - jak on by się cieszył. Spacerowałby tam i z powrotem, mówiąc na ten temat, układając najromantyczniejsze interpretacje każdego zdarzenia, wierząc w każde słowo wydrukowane w gazetach jak w Ewangelię. A biedna panna Lemon, kiedy poprosiłem ją o pomoc, wcale się nie ucieszyła.

Po pewnym czasie panna Lemon weszła z kartką napisaną na maszynie.

- Mam tu informacje, których pan potrzebował. Obawiam się, że nie można ich uznać za

wiarygodne. Gazety różnią się bardzo w swoich relacjach. Nie mogłabym gwarantować, że fakty są prawdziwe w więcej niż sześćdziesięciu procentach.

- To prawdopodobnie jest ostrożna ocena - mruknął Poirot. - Dziękuję pani, panno Lemon, za trud, jaki sobie pani zadała.

Fakty były sensacyjne, ale dosyć jasne. Major Charles Rich, zamożny kawaler, wydał w swoim mieszkaniu wieczorne przyjęcie dla grupki swoich przyjaciół. Ci przyjaciele to państwo Claytonowie, państwo Spence'owie i kapitan McLaren. Kapitan od lat był przyjacielem Richa i Claytonów, państwo Spence'owie byli znacznie świeższymi znajomymi. Arnold Clayton pracował w Ministerstwie Skarbu. Jeremy Spence był urzędnikiem państwowym. Major Rich miał czterdzieści osiem lat, Arnold Clayton pięćdziesiąt pięć, kapitan McLaren czterdzieści sześć, a Jeremy Spence trzydzieści siedem. O pani Clayton mówiono, że jest „kilka lat młodsza od męża”. Jedna osoba nie mogła uczestniczyć w przyjęciu. W ostatniej chwili pan Clayton został wezwany do Szkocji w pilnej sprawie i przypuszczalnie opuścił stację King's Cross pociągiem o ósmej piętnaście.

Przyjęcie przebiegało tak jak zwykle. Wszyscy wydawali się zadowoleni. Nie była to szaleńcza zabawa ani pijaństwo. Impreza zakończyła się około jedenastej czterdzieści pięć. Czworo gości wyszło razem, biorąc wspólnie taksówkę. Kapitan McLaren wysiadł pierwszy przy swoim klubie, potem państwo Spence'owie wysadzili Margharitę Clayton przy Cardigan Gardens, tuż przy Sloane Street i pojechali do swego domu w Chelsea.

Makabrycznego odkrycia dokonał następnego ranka służący majora Richa, William Burgess, mieszkający osobno. Przyszedł wcześniej, by uprzątnąć salon, zanim poda majorowi poranną herbatę. Sprzątając, spostrzegł z przerażeniem wielką krwawą plamę na jasnym dywanie, koło hiszpańskiej skrzyni. Wydawało się, że coś stamtąd wycieka, służący podniósł więc natychmiast wieko i zajrzał do środka. Przeraził się, znajdując ciało pana Claytona, zabitego ciosem sztyletu w szyję.

Idąc za pierwszym odruchem, Burgess wypadł na ulicę i sprowadził pierwszego napotkanego policjanta.

Tak przedstawiały się suche fakty. Były jednak dalsze szczegóły. Policja natychmiast przekazała informację pani Clayton, która była „całkowicie zdruzgotana”. Ostatni raz widziała męża poprzedniego wieczoru, tuż po szóstej. Przyszedł do domu bardzo zirytowany, gdyż wezwano go do Szkocji w sprawie związanej z którąś z jego posiadłości. Nakłonił żonę, by poszła na przyjęcie sama. Potem wpadł do klubu, do którego należał wraz z kapitanem McLarenem, wypił kieliszek z przyjacielem i wyjaśnił, co się zdarzyło. Patrząc na zegarek powiedział, że ma dość czasu, by po drodze na stację usprawiedliwić się przed majorem. Próbował już do niego telefonować, ale linia była chyba uszkodzona.

Według Williama Burgessa, pan Clayton przyszedł mniej więcej o siódmej pięćdziesiąt pięć. Majora Richa nie było, ale miał wrócić lada chwila, więc Burgess zaproponował gościowi, by poczekał. Clayton odpowiedział, że nie ma czasu, ale może wejść i napisać kartkę. Wyjaśnił, że śpieszy się na pociąg. Służący zaprowadził go do salonu, a sam wrócił do kuchni, gdzie przygotowywał kanapki. Nie usłyszał powrotu swego pana, ale jakieś dziesięć minut później major Rich zajrzał do kuchni i polecił Burgessowi, by wyskoczył po tureckie papierosy, które bardzo lubiła

pani Spence. Służący poszedł i zaniósł je do salonu. Pana Clayтона nie było, ale Burgess uznał to za naturalne, uważając, że wyszedł już, by zdążyć na pociąg.

Historia, którą opowiedział major Rich, była krótka i prosta. Kiedy wrócił do domu, pana Clayтона nie było i nie miał pojęcia, że go odwiedził. Nie było żadnej kartki do niego i pierwszy raz usłyszał o jego wyjeździe do Szkocji, kiedy przyszła pani Clayton razem z pozostałymi gośćmi.

W wieczornych gazetach były jeszcze dwie wiadomości. Pani Clayton, „załamana z powodu szoku”, opuściła mieszkanie w Cardigan Gardens i podobno zamieszkała u przyjaciół.

Druga informacja znajdowała się wśród wiadomości z ostatniej chwili. Major Charles Rich został aresztowany pod zarzutem zamordowania Arnolda Clayтона.

- A więc to tyle - rzekł Poirot, spoglądając na pannę Lemon. - Aresztowania majora można się było spodziewać. Co za niecodzienna sprawa. Bardzo niezwykła! Nie sądzi pani?

- Przypuszczam, że takie rzeczy się zdarzają - odparła panna Lemon bez zainteresowania.

- Pewnie! Zdarzają się każdego dnia. A raczej prawie każdego. Zwykle jednak są to zrozumiałe zdarzenia, choć smutne.

- To na pewno bardzo nieprzyjemna sprawa.

- Zostać zasztyletowanym i umieszczonym w hiszpańskiej skrzyni to bardzo nieprzyjemne dla ofiary. Ale jeśli mówię, że to niecodzienna sprawa, mam na myśli zachowanie majora Richa.

- Sugerowano, zdaje się - powiedziała panna Lemon z pewnym niesmakiem - że major Rich i pani Clayton byli bardzo bliskimi przyjaciółmi... Było to przypuszczenie, nie udowodniony fakt, więc nie podałam go.

- Słusznie pani zrobiła. Ale to się rzuca w oczy. Czy to już wszystko?

Panna Lemon spoglądała obojętnie. Poirot westchnął i odczuł brak wspaniałej, barwnej wyobraźni swego przyjaciela Hastingsa. Dyskusowanie z panną Lemon o sprawie było daremnym trudem.

- Weźmy pod uwagę tego majora. Załóżmy, że jest zakochany w pani Clayton... Zakładamy również, że chce usunąć jej męża, chociaż jeżeli pani Clayton go kocha i mają romans, po co ten pośpiech? Może chodzi o to, że pan Clayton nie zechce dać żonie rozwodu? Ale nie o tym chciałem mówić. Major Rich jest wojskowym w stanie spoczynku, a mówi się czasami, że żołnierze nie są bardzo rozumni. Mimo wszystko major Rich nie jest chyba kompletnym imbecylem?

Panna Lemon nie odpowiedziała. Uznała pytanie za retoryczne.

- A więc - spytał Poirot - Co pani myśli o tym?

- Co ja myślę? - panna Lemon była przerażona.

- *Mais oui\**, pani!

Panna Lemon dostosowywała swój umysł do czekającego ją wysiłku. Nie oddawała się żadnym intelektualnym spekulacjom, chyba że ją o to poproszono. W wolnych chwilach jej umysł wypełniały szczegóły najlepszego systemu gromadzenia informacji. To była jedyna forma jej odprężenia umysłowego.

- No - zaczęła i przerwała.

- Proszę mi powiedzieć, co się stało - co, według pani, zdarzyło się tamtego wieczoru. Pan Clayton siedzi w salonie, pisząc kartkę, major Rich wraca - i co dalej?

- Zastaje pana Clayтона. Przypuszczam, że się kłóca. Major Rich zadaje cios nożem. Następnie pakuje ciało do skrzyni. Ostatecznie w każdej chwili mogą przyjść goście.

- Tak, tak! Goście przybywają. Ciało jest w skrzyni. Wieczór mija. Goście wychodzą. I wtedy...

- Cóż, wtedy major Rich pewnie idzie do łóżka i... Och!

- Widzi pani - rzekł Poirot. - Zamordowała pani mężczyznę. Ukryła pani zwłoki w skrzyni. I potem idzie pani spokojnie spać, nie przejmując się zupełnie faktem, że służący odkryje rano zbrodnię.

- Przypuszczam, że służący mógł nigdy nie zajrzeć do skrzyni.

- A ogromna plama krwi na dywanie pod nią?

- Może major nie zauważył krwi?

- Czy nie była to beztroska - nie sprawdzić?

- Chyba był przerażony - zastanowiła się panna Lemon. Poirot podniósł bezradnie rękę.

Panna Lemon wykorzystała okazję, by spieszenie wyjść z pokoju.

Zagadka hiszpańskiej skrzyni nie była właściwie sprawą dla Poirota. W tym momencie zajmował się delikatną misją dla jednego z wielkich towarzystw naftowych, zachodziła bowiem możliwość, że ktoś na wysokim stanowisku jest wmieszany w pewną mętą transakcję. Sprawa była niezmiernie dyskretna, ważna i intratna. Zajmowała dostatecznie uwagę Poirota, a miała tę zaletę, że wymagała tylko niewielkiej aktywności fizycznej. Była wyrefinowana i bezkrwawa. Przepięknie najwyższej jakości.

Sprawa hiszpańskiej skrzyni kryła w sobie dramatyzm, wzbudzała emocje; do obu tych cech, jak powtarzał często Hastingsowi, przykłada się zwykle zbyt wiele uwagi - i tak się też jego przyjacielowi zdarzało. Był surowy dla drogiego Hastingsa pod tym względem, ale teraz zachowywał się podobnie, opętany przez piękne kobiety, zbrodnie z miłości, zazdrości, nienawiści i wszelkiego rodzaju romantyczne przyczyny morderstwa. Chciał wiedzieć o tej sprawie wszystko. Chciał wiedzieć, jakim człowiekiem był major Rich i jego służący Burgess i jaka była Margharita Clayton (choć to, jak mu się wydawało, wiedział), i jaki był zmarły Arnold Clayton (ponieważ charakter ofiary jest w wypadku morderstwa sprawą najważniejszą), a nawet jaki był kapitan McLaren, wierny przyjaciel Claytona, oraz niedawno poznani państwo Spence'owie.

I nie wiedział absolutnie, jak zaspokoić swoją ciekawość.

Zastanowił się nad sprawą następnego dnia.

Dlaczego całe to zdarzenie intrygowało go tak bardzo? Po zastanowieniu stwierdził, że było tak, ponieważ - jak wynikało z faktów - cała sprawa nie mogła się zdarzyć! Rzecz miała posmak twierdzenia Euklidesowego.

Można przyjąć, że między dwoma mężczyznami zdarzyła się kłótnia. Najprawdopodobniej poszło o kobietę. W napadzie wściekłości jeden zabił drugiego. Tak się stało, choć sytuacja, w której mąż zabiłby kochankę, byłaby bardziej do przyjęcia. Jednak to kochanek zabił męża sztyletem, bronią dosyć mało prawdopodobną. Może major Rich miał matkę Włoszkę? Musiało istnieć jakieś wyjaśnienie wyboru takiej właśnie broni. W każdym razie można przyjąć, że był to sztylet. Został użyty, bo był pod ręką. Ciało ukryto w skrzyni. To było jedyne rozsądne rozwiązanie. Zbrodni nie popełniono z premedytacją, toteż w momencie, gdy lada chwila mógł wrócić służący, a wkrótce miało przybyć czworo gości, takie postępowanie wydawało się oczywiste. Przyjęcie skończyło się, goście wyszli, służący poszedł do domu - a major Rich idzie do łóżka! Żeby pojąć, jak mogło do tego dojść, trzeba spotkać się z majorem i dowiedzieć, jakim człowiekiem jest mężczyzna działający w taki sposób.

Czy mogło się zdarzyć, że nie zniosłszy uczucia przerażenia i długiego napięcia, kiedy cały wieczór usiłował zachowywać się normalnie, wziął jakiś środek nasenny lub uspokajający, zapadł w głęboki sen, który przeciągnął się długo poza porę, kiedy zwykle się budził? Możliwe. Lub - wersja dla psychologów - major miał podświadome poczucie winy, które powodowało, że chciał, by zbrodnia została odkryta? Przyjmując takie założenie, trzeba by spotkać się z majorem osobiście. Wszystko wraca do...

Zadzwoił telefon. Poirot odczekał chwilę, aż stwierdził, że panna Lemon po przyniesieniu mu listów do podpisania musiała już pójść do domu, a George prawdopodobnie gdzieś wyszedł.

Podniósł słuchawkę.

- Pan Poirot?

- Przy telefonie.

- Och, to wspaniale.

Poirot zmrużył lekko oczy, słysząc zapał w uroczym kobiecym głosie.

- Mówi Abbie Chatterton.

- Ach, lady Chatterton. Czym mogę pani służyć?

- Natychmiastowym zjawieniem się na okropnym koktajlu, który właśnie wydaję. Nie dla samego koktajlu, z zupełnie innego powodu. Potrzebuję pana. To życiowa sprawa. Proszę, bardzo proszę mi nie odmawiać! Proszę nie mówić, że pan nie może.

Poirot nie zamierzał mówić nic podobnego. Lord Chatterton, oprócz tego, że był członkiem Izby Lordów i od czasu do czasu wygłaszał śmiertelnie nudną mowę w parlamencie, nie był ciekawą osobistością. Natomiast lady Chatterton była jedną z najwspanialszych ozdób *le haut monde*\*. Wszystko, co robiła lub mówiła, stawało się wydarzeniem. Miała rozum, urodę, oryginalność i dosyć żywotności, by dać napęd rakiecie kosmicznej.

- Potrzebuję pana - powtórzyła. - Proszę podkreślić swoje cudowne wąsy i przyjść.

Nie poszło jednak tak szybko. Poirot zrobił staranną toaletę. Na koniec podkreślił wąsy i wyruszył.

Drzwi ślicznego domu lady Chatterton stały otworem, a ze środka dochodził dźwięk podobny do hałasu dochodzącego ze zbuntowanego ogrodu zoologicznego. Lady Chatterton, która rozmawiała z dwoma ambasadorami, słynnym graczem w rugby i amerykańskim kaznodzieją zgrabnie pozbyła się ich i natychmiast znalazła się przy Poirotcie.

- Panie Poirot, jak cudownie, że pan przyszedł! Nie, proszę nie pić tego okropnego martini. Mam dla pana coś specjalnego - rodzaj syropu, który piją marokańscy szejkwowie. Jest w moim pokoju na piętrze.

Poprowadziła go na górę, przystając po drodze.

- Nie pozbyłam się tych ludzi, ponieważ jest bardzo ważne, żeby nikt nie zorientował się, że został pan sprowadzony specjalnie. Obiecałam służbie ogromną premię, jeśli nie puszczą pary z ust. Mimo wszystko nikt nie ma ochoty, by jego dom obiegli reporterzy. A to biedactwo przeszło ostatnio tak wiele.



Lady Chatterton nie zatrzymała się na pierwszym piętrze i zaczęła wspinać się na drugie.

Zadyszany i oszołomiony Poirot szedł za nią. Lady Chatterton zatrzymała się, rzuciła szybkie spojrzenie przez balustradę i otworzyła szeroko drzwi.

- Mam go, Margharito! Mam go! Jest tutaj! Odsunęła się na bok z triumfem, przepuszczając detektywa, potem dokonała szybkiej prezentacji.

- To jest Margharita Clayton. Jest moją bardzo serdeczną przyjaciółką. Pomoże jej pan, prawda? Margharita, to ten cudowny Herkules Poirot. Zrobi wszystko, co zechcesz - prawda, kochany panie Poirot?

I nie czekając na odpowiedź, którą uznała za przesadzoną (lady Chatterton nie na darmo przez całe życie była rozpieszczaną pięknoscia), wybiegła z pokoju i popędziła schodami, wołając dość nierozważnie:

- Muszę wrócić do tych okropnych ludzi...

Kobieta siedząca na krześle pod oknem wstała i podeszła do niego. Poznałby ją, gdyby nawet lady Chatterton nie wspomniała imienia. Zobaczył gładkie czoło, ciemne włosy, odrzucone jak skrzydła, szeroko rozstawione szare oczy. Nosila obcisłą, czarną suknię z wysokim kołnierzykiem, która podkreślała jej świetną budowę i alabastrową skórę. Była to twarz raczej niezwykła niż piękna - jedna z tych, jakie spotyka się czasem na obrazach włoskich prymitywistów. Wokół niej wyczuwało się aurę prostoty, dziwnej niewinności, która - jak pomyślał Poirot - mogła być bardziej niszcząca niż jakakolwiek wyrafinowana zmysłowość. Zaczęła mówić ze szczerością dziecka:

- Abbie twierdzi, że pan mi pomoże... Popatrzyła na niego poważnie i pytająco.

Poirot przez chwilę stał spokojnie, przyglądając się jej badawczo. W jego zachowaniu nie było nic niegrzecznego. Wydawało się, że jest to przenikliwe spojrzenie słynnego lekarza, oceniającego nowego pacjenta.

- Jest pani pewna, *madame*, że dokonam tego, czego pani ode mnie oczekuje?

Zarumieniła się lekko.

- Nie wiem, co pan ma na myśli.

- A czego pani się po mnie spodziewa?

- Och - wydawała się zaskoczona. - Myślałam, że pan wie, kim jestem?

- Wiem. Pani mąż został zabity - zasztyletowany, a majora Richa aresztowano pod zarzutem popełnienia tego morderstwa.

Rumieniec pogłębił się.

- Major Rich nie zabił mego męża.

Poirot zapytał błyskawicznie:

- Dlaczego nie?

Patrzyła na niego zakłopotana.

- Przepraszam?

- Zmieszła się pani, ponieważ nie zadałem pytania, które zadają wszyscy - policja, prawnicy... „Dlaczego major Rich zabił Arnolda Claytona?” Ja pytam o coś przeciwnego. Dlaczego jest pani pewna, że major Rich go nie zabił?

- Ponieważ - przerwała na moment. - Ponieważ znam dobrze majora Richa.

- Zna pani dobrze majora Richa - powtórzył bezbarwnie Poirot.

Przerwał, a potem zapytał ostro:

- Jak dobrze?

Nie mógł stwierdzić, czy zrozumiała jego intencję. Pomyślał, że jest albo bardzo naiwna, albo wyrafinowana... Przypuszczał, że wielu ludzi chciałoby to wiedzieć'...

- Jak dobrze go znam - zastanowiła się. - Pięć lat - nie, już prawie sześć.

- To nie jest ścisła odpowiedź... Musi pani zrozumieć, że będę zadawał pani impertynenckie pytania. Pani może mówić prawdę, może też pani kłamać. Kobieta musi czasem skłamać. Kobiety bronią się często za pomocą kłamstwa i czasem bywa to skuteczne. Są jednak trzy osoby, którym kobieta powinna mówić prawdę - spowiednik, fryzjer i prywatny detektyw - jeżeli im ufa. Czy ufa mi pani, *madame*?

Margharita Clayton zaczerpnęła głęboko tchu.

- Tak, ufam panu. I dodała:

- Muszę.

- Więc dobrze. Czego oczekuje pani ode mnie - mam odkryć, kto zabił pani męża?

- Chyba tak.

- Ale to nie jest zasadnicza sprawa? Chce pani, żebym oczyścił majora Richa z podejrzeń?

Przytaknęła z wdzięcznością.

- Chodzi o to - i tylko o to?

Wiedział, że pyta niepotrzebnie. Margarita Clayton była kobietą, która postrzega naraz tylko jedną rzecz.

- A teraz - czas na impertynencję. Pani i major byli kochankami?

- Chce pan zapytać, czy mieliśmy romans? Nie.

- Ale on był w pani zakochany?

- Tak.

- A pani w nim?

- Chyba tak.

- Nie jest pani pewna?

- Teraz - jestem.

- A więc nie kochała pani męża?

- Nie.

- Odpowiada pani z godną podziwu szczerością. Większość kobiet pragnęłaby wyjaśnić w całej rozciągłości, jakie dokładnie były ich uczucia. Jak długo była pani zamężna?

- Jedenaście lat.

- Czy może pani opowiedzieć mi trochę o swoim mężu? Jakim był człowiekiem?

Zmarszczyła brwi.

- To trudna sprawa. Naprawdę nie potrafię określić, jakiego rodzaju człowiekiem był Arnold. Spokojny, bardzo powściągliwy. Nigdy nie było wiadomo, co myśli. Był mądry - wszyscy mówili, że jest znakomity - mam na myśli jego pracę. On - nie wiem, jak to powiedzieć - nie tłumaczył się z tego, co robił...

- Kochał panią?

- O tak. Na pewno. Inaczej nie przeszkadzaliby mu tak bardzo... - urwała nagle.

- Inni mężczyźni? To właśnie chciała pani powiedzieć'? Był zazdrosny?

- Musiał być... - odpowiedziała.

Potem, jakby czując, że to zdanie wymaga wyjaśnień, ciągnęła:

- Czasem nie odzywał się całymi dniami...

Poirot skinął głową z namysłem.

- Ta przemoc, która weszła w pani życie. Czy to zdarzyło się po raz pierwszy?

- Przemoc? - zmarszczyła brwi, a potem zaczerwieniła się. - Ma pan na myśli tego biednego chłopca, który się zastrzelił?

- Tak - odparł Poirot. - Przypuszczam, że o to właśnie chodzi.

- Nie miałam pojęcia o jego uczuciach... Współczułam mu bardzo, był taki nieśmiały, taki samotny. Musiał być neurotykiem. Byli jeszcze dwaj Włosi - jakiś pojedynek. To było śmieszne! W każdym razie nikt nie zginął, dzięki Bogu... A szczerze mówiąc, nie obchodził mnie żaden z nich! Ani mi to było w głowie.

- Nie. Pani po prostu tam była! I tam gdzie pani była, działy się takie rzeczy! Spotykałem się już z tym. To zdarza się właśnie dlatego, że pani nie troszczy się o szalejących mężczyzn. O majora Richa jednak troszczy się pani. Więc musimy zrobić, co się da...

Milczał przez chwilę.

Kobieta siedziała poważnie, obserwując go.

- Przejdziemy od charakterów, które są często naprawdę ważne, do nagich faktów. Wiem tylko to, co było w gazetach. Według podanych tam informacji, jedynie dwie osoby miały sposobność zabicia pani męża, jedynie dwie osoby były w stanie go zabić - major Rich i jego służący.

- Wiem, że Charles go nie zabił - powiedziała z uporem.

- Więc musiał to zrobić lokaj. Zgadza się pani?

- Rozumiem, co ma pan na myśli.

- Ale wątpi pani w to?

- To brzmi nieprawdopodobnie!

- Istnieje jednak pewna możliwość. Pani mąż niewątpliwie przyszedł do tego mieszkania, ponieważ jego ciało zostało tam znalezione. Jeżeli lokaj mówi prawdę, zabił go major Rich. Ale jeśli kłamie? W takim razie zabił go lokaj i ukrył zwłoki przed powrotem swego pana do domu. Z jego punktu widzenia był to znakomity sposób pozbycia się ciała. Musiał tylko następnego ranka „zauważyć krwawą plamę” i „odkryć zwłoki”. Podejrzenie natychmiast padłoby na Richa.

- Ale po co miałby zabijać Arnolda?

- Po co? Motyw nie może być jasny, gdyż policja doszłaby już do tego. Możliwe, że pani mąż wiedział o służącym coś kompromitującego i zamierzał zapoznać majora z faktami. Czy mąż mówił kiedykolwiek coś na temat tego Burgessa?

Potrząsnęła głową.

- Myśli pani, że miał zamiar to zrobić? Zachmurzyła się.

- Trudno powiedzieć. Raczej nie. Arnold nie mówił wiele na temat ludzi. Mówiłam panu, że był powściągliwy. Nie był... nie był zbyt rozmowny.

- Należał do ludzi, którzy nie wyjawiają swych zamiarów... Tak, a jaka jest pani opinia o Burgessie?

- Nie był człowiekiem, którego się zauważa. Dostyć dobry służący. Sprawny, ale niedoskonały.

- Ile ma lat?

- Trzydzieści siedem albo osiem. Podczas wojny był barmanem w armii, ale nie był zawodowym żołnierzem.

- Jak długo pracował u majora?

- Niezbyt długo. Wydaje mi się, że około półtora roku.

- Nigdy nie zauważyła pani w jego zachowaniu niechęci do męża?

- Nie bywaliśmy tam często. Nie, nic takiego nie dostrzegłam.

- Proszę mi opowiedzieć o zdarzeniach tego wieczoru. Na którą zostaliście zaproszeni?

- Między piętnaście po ósmej a pół do dziewiątej.

- A właściwie, jakie to miało być przyjęcie?

- Miały być drinki i zimny bufet - zwykle bywał bardzo dobry. *Foie gras*\* i tosty. Wędzony łosoś. Czasem podawano ciepłe danie z ryżu - Charles miał specjalny przepis, który dostał na Bliskim Wschodzie, ale jedliśmy je raczej w zimie. Potem zwykle słuchaliśmy muzyki - Charles miał bardzo dobry sprzęt stereo. Oboje z mężem i Jock McLaren bardzo lubiliśmy muzykę klasyczną. Była też muzyka taneczna - państwo Spence'owie są zapalonymi tancerzami. To były takie spokojne, niezobowiązujące spotkania. Charles był bardzo dobrym gospodarzem.

- A czy w tamten wieczór zauważyła pani coś niezwykłego? Coś odbiegającego od normy?

- Coś niezwykłego? - zmarszczyła brwi. - Kiedy powiedział pan, ja... nie, nic. Było coś... - potrząsnęła głową.

- Nie. Odpowiedź na pańskie pytanie brzmi: nie. Przez cały wieczór nie zaszło nic niezwykłego. Bawiliśmy się. Wszyscy wydawali się swobodni i szczęśliwi.

Wstrząsnął nią dreszcz.

- I pomyśleć, że przez cały czas... Poirot podniósł szybko rękę.

- Proszę o tym nie myśleć. Co pani wie o sprawie, która zmusiła męża do wyjazdu do Szkocji?

- Niewiele. Było jakieś nieporozumienie na temat ograniczeń dotyczących sprzedaży ziemi, należącej do mego męża. Sprzedaż na pozór doszła już do skutku i nagle wyskoczyła jakaś przeszkoda.

- Co dokładnie powiedział pani mąż?

- Wszedł, trzymając telegram. O ile pamiętam, powiedział: „To okropne. Będę musiał złapać nocny pociąg do Edynburga i spotkać się z Johnstonem jutro z samego rana... Fatalnie, bo wydawało się, że sprawa została wreszcie gładko załatwiona”. Potem dodał: „Powiniennem zadzwonić do Jocka i powiedzieć mu, żeby wpadł po ciebie”, a ja powiedziałam: „Głupstwo, po prostu wezmę taksówkę”, a on, że Jock albo państwo Spence’owie odwieżą mnie później do domu. Spytałam, czy chce, żebym go spakowała, a on odparł, że już wrzucił parę rzeczy do torby i zje coś w klubie, zanim pójdzie na dworzec. Potem wyszedł i wtedy widziałam go po raz ostatni.

Jej głos załamał się lekko przy ostatnich słowach. Poirot popatrzył na nią surowo.

- Pokazał pani telegram?

- Nie.

- Szkoda.

- Czemu pan tak mówi?

Nie odpowiedział na pytanie.

- Do rzeczy - zaczął energicznie. - Kto jest prawnikiem reprezentującym majora Richa?

Podawała mu firmę i adres.

- Napisze pani do nich parę słów? Spróbuję załatwić widzenie z majorem.

- On... sprawa została odroczone na tydzień.

- Naturalnie. Taka jest procedura. Zechce pani również napisać do kapitanu McLarena i państwa Spence’ów? Chcę zobaczyć się z nimi i ważne jest, by nie pokazali mi natychmiast drzwi.

Kiedy wstała od biurka, powiedział:

- Jeszcze jedno. Będę gromadził własne wrażenia, chcę jednak poznać pani opinię - o kapitanie McLarenie i pani oraz panu Spensie.

- Jock jest jednym z naszych najstarszych przyjaciół. Znam go od czasów, kiedy byłam

dzieckiem. Wygląda na zimnego człowieka, ale naprawdę jest kochany, zawsze jednakowy, zawsze można na nim polegać. Nie jest wesoły ani zabawny, ale jest prawdziwą ostoją. Oboje, Arnold i ja, polegaliśmy często na jego opinii.

- I on jest także, niewątpliwie, zakochany w pani? - Poirot zmrużył lekko oczy.

- O tak - odparła Margharita z zadowoleniem. - Zawsze był zakochany, ale teraz przeszło to już w nawyk.

- A państwo Spence'owie?

- Są zabawni, bardzo dobrzy kompani. Linda jest dosyć mądrą dziewczyną. Arnold lubił z nią rozmawiać. Jest przy tym przystojna.

- Przyjaźnicie się?

- Ona i ja? Na swój sposób. Nie wiem, czy lubię ją naprawdę. Jest za bardzo złośliwa.

- A jej mąż?

- Och, Jeremy jest cudowny. Bardzo muzykalny. Zna się też na malarstwie. Chodzimy często do kina...

- Cóż, teraz muszę zobaczyć wszystko sam.

Ujął jej rękę.

- Mam nadzieję, *madame*, że nie będzie pani żałowała swojej prośby o pomoc.

- Dlaczego miałabym żałować? - otworzyła szeroko oczy.

- Nigdy nie wiadomo - odparł Poirot enigmatycznie. - Ja też nie wiem - rzekł do siebie, schodząc ze schodów. Przyjęcie było jeszcze w pełnym rozkwicie, ale Poirot nie dał się namówić i wyszedł na ulicę.

- Nie - powtórzył. - Nie wiem.

Myślał o Margharicie Clayton.

Ta dziecięca prostota, szczerza niewinność - czy to była prawda? A może maskowała coś innego? Podobne kobiety żyły w średniowieczu - kobiety, co do których historia nie jest zgodna. Pomyślał o Marii Stuart, szkockiej królowej. Czy tamtej nocy w Kirk o'Fields zdawała sobie sprawę z tego, co miało się stać? A może była zupełnie niewinna? Może spiskowcy o niczym jej nie powiedzieli? Czy była jedną z tych dziecinnych, nieskomplikowanych kobiet, które potrafią powiedzieć sobie „nie wiem” i uwierzyć w to? Czuł urok Margharity Clayton. Nie miał jednak o niej wyrobionego zdania...

Takie kobiety mogły być przyczyną zbrodni, same będąc niewinne.

Takie kobiety mogły być zbrodniarkami z intencji i zamiaru, choć nie z czynu.

Ich ręka nigdy nie trzymała noża...

A jeśli chodzi o Margharitę Clayton - nie wiedział!



### III

Prawnicy majora Richa okazali się mało przydatni. Poirot spodziewał się tego.

Zdołali wykazać, nie mówiąc tego wprost, że w interesie ich klienta leży, by pani Clayton nie przejawiała aktywności w jego sprawie.

Jego wizyta była ukłonem w stronę „poprawności”. Miał wystarczające wpływy w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych oraz w Scotland Yardzie, by zapewnić sobie widzenie z uwięzionym.

Inspektor Miller, który prowadził sprawę Claytona, nie należał do ulubieńców Poirota. Tym razem nie był jednak usposobiony wrogo, raczej pogardliwie.

- Szkoda czasu dla tego starego ramola - oświadczył swojemu sierżantowi przed pojawieniem się Poirota. - Mimo to muszę być grzeczny.

- Jeśli tym razem chce pan coś zdziałać, musi pan wyciągnąć parę królików z cylindra - zauważył wesoło. - Nikt inny niż Rich nie mógł zabić tego faceta.

- Oprócz lokaja.

- Dam ja panu lokaja! Oczywiście jest taka możliwość. Nie znajdzie pan jednak niczego na potwierdzenie. Ani śladu motywu.

- Nie może pan być pewny w stu procentach. Motywy bywają czasem przedziwne.

- Cóż, nie był znajomym Claytona. Ma zupełnie niewinną przeszłość. Wydaje się też, że jest zdrów na umyśle. Nie wiem, czego panu jeszcze trzeba?

- Chcę stwierdzić, że Rich nie popełnił tej zbrodni.

- Żeby zadowolić damę, co? - Inspektor Miller wyszczerzył się złośliwie. - Zapewne dotarła do pana. Niezła, prawda? *Cherchez la femme*\* zawzięcie. Gdyby miała sposobność, mogła to zrobić sama.

- Co to, to nie!

- Byłby pan zdziwiony. Widziałem kiedyś podobną kobietę. Pozbyła się paru mężów bez mrugnięcia niewinnych oczą. Za każdym razem miała złamane serce. Ława przysięgłych byłaby ją uniewinniła, gdyby miała jedną szansę na tysiąc - a nie miała, gdyż dowody były niezbite.

- Drogi przyjacielu, nie spierajmy się. Pozwolę sobie tylko ustalić kilka wiarygodnych szczegółów dotyczących faktów. Gazety zamieszczają wiadomości, które nie zawsze są prawdziwe.

- Potrzebuję rozrywki. O co panu chodzi?

- O jak najdokładniejszy czas zgonu.

- Nie jest zbyt dokładny, jako że ciało było badane dopiero następnego ranka. Śmierć przypuszczalnie nastąpiła trzynaste do dziesięciu godzin wcześniej... Nóż trafił w tętnicę dogłową - śmierć była kwestią paru chwil.

- A broń?

- Coś w rodzaju włoskiego sztyletu, małego, ostrego jak brzytwa. Nikt nie widział go wcześniej, nie wiadomo, skąd się wziął. Ale w końcu dowiemy się... To sprawa czasu i cierpliwości.

- Jesteście pewni, że nie był to sztylet Richa?

- Nie, lokaj twierdzi, że niczego takiego w domu nie było.

- Interesuje mnie ten telegram - rzekł Poirot. - Telegram wzywający Arnolda Claytona do Szkocji. Czy wezwanie było prawdziwe?

- Nie. Nie było żadnych kłopotów ani trudności. Sprzedaż gruntu, czy co to było, przebiegała normalnie.

- Kto więc wysłał telegram - przypuszczam, że telegram przyszedł?

- Z pewnością... W tej sprawie nie musimy opierać się tylko na słowach pani Clayton. Clayton powiedział lokajowi, że został wezwany do Szkocji telegraficznie. Powiedział to również kapitanowi McLarenowi.

- O której widział się z kapitanem?

- Jedli coś razem w klubie o siódmej piętnaste. Potem Clayton pojechał taksówką do domu Richa i dotarł tam tuż przed ósmą. Potem... - Miller rozłożył ręce.

- Czy tego wieczoru nikt nie zauważył w zachowaniu Richa niczego dziwnego?

- Wie pan, jacy są ludzie. Kiedy coś się zdarzy, wydaje im się, że zauważyli masę rzeczy, których - mogę się założyć - nigdy nie widzieli. Pani Spence utrzymuje teraz, że major był roztargniony przez cały wieczór. Nie zawsze odpowiadał do rzeczy. Tak jakby „miał coś na myśli”. Założę się, że tak było, jeżeli miał w skrzyni zwłoki! Zastanawiał się, jak u diabła się ich pozbyć!

- Więc czemu się nie pozbył?

- Tego właśnie nie mogę pojąć. Może wpadł w panikę. Było to jednak szaleństwo zostawić sprawę do następnego dnia. Największą szansę miał w nocy. W domu nie ma nocnego portiera. Mógł podjechać samochodem, wpakować ciało do bagażnika - bagażnik jest duży - wyjechać z miasta i pozbyć się go. Ktoś mógł zobaczyć, jak wkłada ciało do samochodu, ale mieszkania są przy bocznej ulicy i jest tam podwórko, przez które trzeba przejechać. Powiedzmy, o trzeciej nad ranem miał szansę. A co on robi? Idzie do łóżka, następnego ranka śpi do późna, a kiedy się budzi, w mieszkaniu

jest policja!

- Poszedł do łóżka i spał mocno, jak niewinny człowiek.

- Może pan przyjąć to w taki sposób. Ale czy pan naprawdę w to wierzy?

- Nie odpowiem na to pytanie, dopóki nie zobaczę sam tego człowieka.

- Uważa pan, że pozna pan niewinnego na oko? To nie takie proste.

- Wiem, że to nie jest proste - i nie twierdzę, że mi się to uda. Chcę wyrobić sobie zdanie na temat tego, czy ten człowiek jest tak głupi, jak to się wydaje.

## IV

Poirot nie zamierzał odwiedzać majora Richa przed wizytą u pozostałych.

Zaczął od kapitana McLarena.

McLaren był wysokim, smagłym, małomównym człowiekiem. Twarz miał surową, ale sympatyczną. Był nieśmiały i niełatwo się z nim rozmawiało. Poirot należał wszakże do ludzi wytrwałych.

Przesuwając palcami po liściku Margharity, McLaren powiedział niechętnie:

- Jeżeli Margharita chce, bym przekazał panu wszystko, co wiem, oczywiście zrobię to. Nie wiem, co tu jest do opowiadania. Pan słyszał już wszystko. Ale czegokolwiek Margharita sobie życzy, zrobię to - zawsze robiłem, od kiedy skończyła szesnaście lat. Ona ma swoje sposoby.

- Wiem. Najpierw chciałbym, by odpowiedział pan szczerze na jedno pytanie. Czy uważa pan, że major Rich jest winny?

- Tak. Nie powiedziałbym tego Margharicie, jeśli ona woli myśleć, że jest niewinny, ale po prostu nie potrafię patrzeć na to inaczej. Do diabła, ten facet musi być winny!

- Czy między nim a panem Claytonem zaszło jakieś nieporozumienie?

- Absolutnie nie. Arnold i Charles byli najlepszymi przyjaciółmi. Dlatego cała historia jest tak nieprawdopodobna.

- Może przyjaźń majora z panią Clayton...

Przerwano mu.

- Pfu! Co za głupstwa. Wszystkie gazety robiły sprytne aluzje... Przekłete insynuacje! Pani Clayton i major Rich byli dobrymi przyjaciółmi i tyle! Margharita ma mnóstwo przyjaciół. Ja też jestem jej przyjacielem. Od lat. I nie ma w tym nic, o czym cały świat nie mógłby wiedzieć. Tak było też z Charlesem i Margharita.

- Więc nie sądzi pan, że mieli romans?

- Na pewno nie! - McLaren kipiał gniewem. - Niech pan nie słucha, co mówi ta wydra Spence. Ona jest w stanie powiedzieć każdą rzecz.

- Może jednak pan Clayton podejrzewał, że między żoną i majorem coś jest?

- Nie wydobędzie pan ode mnie takich wyznań! Wiedziałbym, gdyby coś się działo. Arnold i ja byliśmy blisko zaprzyjaźnieni.

- Jakim był człowiekiem? Któż może wiedzieć lepiej niż pan.

- Cóż, Arnold był dosyć spokojny. Ale był mądry - wręcz zaskakująco błyskotliwy. Miał umysł znakomitego finansisty. Awansował wysoko w Ministerstwie Skarbu.

- Słyszałem.

- Dużo czytał. Zbierał znaczki. I był wielkim miłośnikiem muzyki. Nie tańczył i nie bardzo lubił chodzić z wizytami.

- Sądzi pan, że jego małżeństwo było szczęśliwe? Kapitan McLaren nie odpowiedział natychmiast. Zdawał się rozwiązywać problem.

- Na takie pytania trudno odpowiedzieć... Tak, myślę, że byli szczęśliwi. On był jej oddany na swój spokojny sposób. Jestem przekonany, że ona też go po swojemu kochała. Nie należało spodziewać się, że się rozejdą, jeśli o tym pan myśli. Nie mieli może wiele wspólnego z sobą.

Poirot skinął głową. To było więcej, niż spodziewał się uzyskać.

- Teraz proszę mi opowiedzieć o ostatnim wieczorze. Pan Clayton jadł z panem obiad w klubie. O czym mówił?

- Powiedział mi, że musi jechać do Szkocji. Był tym zirytowany. Nawiasem mówiąc, nie jedliśmy obiadu. Nie było czasu. Tylko kanapki i coś do picia. Przynajmniej on, bo ja tylko się napiłem. Proszę pamiętać, że byłem zaproszony na kolację.

- Pan Clayton wspominał o telegramie?

- Tak.

- A może pokazał go panu?

- Nie.

- Powiedział, że zamierza wpaść do Richa?

- Nie mówił tego wyraźnie. Wątpił, czy ma dość czasu. Powiedział: „Margharita może mnie wytłumaczyć, albo ty”. A potem dodał: „Postaraj się, żeby wróciła do domu bezpiecznie”. I poszedł. To wszystko wydawało się zupełnie naturalne.

- Nie podejrzewał, że telegram może nie być prawdziwy?

- A nie był? - kapitan popatrzył zaskoczony.

- Najwyraźniej nie.

- To dziwne... - kapitan zapadł jakby w letarg, a ocknąwszy się zapytał:

- To naprawdę dziwne. O co tu chodzi? Dlaczego ktoś chciał wysłać go do Szkocji?

- To pytanie wymaga odpowiedzi.

Herkules Poirot wyszedł, zostawiając kapitana wciąż rozwiązującego tę zagadkę.

Państwo Spence'owie mieszkali w malutkim domku w Chelsea.

Linda Spence powitała Poirota z najwyższą uciechą.

- Proszę mi opowiedzieć... - zaczęła. - Proszę mi opowiedzieć wszystko o Margharicie. Gdzie ona jest?

- Tego nie mogę zdradzić, *madame*.

- Dobrze się ukryła! Margharita jest bardzo sprytna w takich sprawach. Będzie jednak musiała złożyć zeznanie na rozprawie, prawda? Od tego się nie wymiga.

Poirot oszacował ją wzrokiem. Przyznał niechętnie, że jest przystojna według współczesnych wymagań (co aktualnie odpowiadało aparycji niedożywionej sierotki), ale nie była w jego typie. Włosy w artystycznym nieładzie powiewały wokół jej głowy, z trochę nieprzyjemnej twarzy obserwowała go para sprytnych oczu. Nie miała makijażu oprócz wiśniowej pomadki na ustach. Była ubrana w ogromny jasnożółty sweter, sięgający kolan, i obcisłe czarne spodnie.

- Jaka jest pańska rola w tym wszystkim? - dopytywała się pani Spence. - Ma pan wyciągnąć jakoś jej przyjaciela? O to chodzi? Ma na co liczyć!

- Uważa pani, że to on jest winowajcą?

- Oczywiście. A któżby inny?

Oto problem, pomyślał Poirot. Zadał następne pytanie.

- Jaki wydał się pani major Rich podczas fatalnego wieczoru? Taki jak zwykle? A może nie?

Linda Spence zmrużyła oczy, wyrokując.

- Nie, nie był sobą. Był jakiś inny.

- W jakim sensie?

- Gdyby z zimną krwią zasztyletował pan człowieka...

- Ale w tym czasie nie wiedziała pani, że właśnie zabił z zimną krwią, prawda?

- Oczywiście, że nie.

- Więc jak pani określi to, że był „inny”?

- No... roztargniony. Och, nie wiem. Kiedy jednak przemyślałam to później, stwierdziłam, że

jednak coś w tym było.

Poirot westchnął.

- Kto przyszedł pierwszy?

- Jim i ja. A potem Jock. Ostatnia zjawiała się Margharita.

- Kiedy wspomniano o wyjeździe pana Claytona do Szkocji?

- Po przyjeździe Margharity. Powiedziała do Charlesa: „Arnoldowi jest okropnie przykro. Musiał pojechać nocnym pociągiem do Edynburga”. A Charles odparł: „To fatalnie”. Wtedy Jock powiedział: „Przepraszam. Sądziłem, że już wiesz”. I wypiliśmy.

- Major Rich nie wspominał o spotkaniu z panem Claytonem tego wieczoru? Nie powiedział nic, że przyjaciel wpadł do niego w drodze na dworzec?

- Przynajmniej ja nie słyszałam.

- Czy nie dziwna historia z tym telegramem?

- Co w tym dziwnego?

- To była lipa. Nikt w Edynburgu nie wie nic na ten temat.

- A więc to tak. Wtedy mnie to zdziwiło.

- Miała pani jakieś podejrzenia co do telegramu?

- To wydawało się jasne.

- Co pani ma na myśli?

- Niech pan nie udaje niewiniątka, drogi panie. Nieznany oszust usuwa z drogi męża! Przynajmniej na tę noc teren był wolny.

- Uważa pani, że major Rich i pani Clayton zamierzali spędzić noc razem?

- Słyszał pan zapewne o takich rzeczach? - Linda była ubawiona.

- I telegram został wysłany przez jedno z nich?

- Nie byłabym zdziwiona.

- Jest pani zdania, że major Rich i pani Clayton mieli romans?

- Powiedzmy, że to by mnie nie zaskoczyło. Nie mam podstaw, żeby tak twierdzić.



- Czy pan Clayton coś podejrzewał?

- Arnold był niezwykłym człowiekiem. Tłumił wszystko w sobie. Sądzę, że wiedział. Ale nigdy się nie zdradzał. Można było myśleć, że jest nieczuły, jak z drewna. Jestem jednak całkowicie pewna, że w głębi wcale taki nie był. Dziwne, ale byłabym znacznie mniej zaskoczona, gdyby to Arnold zabił Charlesa niż odwrotnie. Mam wrażenie, że Arnold był chorobliwie zazdrosny.

- Ciekawe.

- Chociaż prawdopodobnie zabiłby Margharitę. Jak Otello. Wie pan, że Margharita wywierała wielki wpływ na mężczyzn.

- Jest bardzo ładna - skomentował Poirot z rozsądną powściągliwością.

- Więcej niż to. Ona ma w sobie coś. Coś, co podnieca mężczyzn, sprawia, że za nią szaleją, a ona patrzy na nich ze zdziwieniem w oczach, które przyprawia ich o bzika.

- *Une femme fatale*.\*

- Tak to chyba brzmi w pańskim języku.

- Zna ją pani dobrze?

- Jest jedną z moich najlepszych przyjaciółek, a nie wierzę jej ani trochę!

- Ach tak - rzekł Poirot i zapytał o kapitana McLarena.

- Jock? Stary, wierny Jock? Taki kochany. Urodzony, żeby być przyjacielem domu. On i Arnold byli naprawdę bliskimi przyjaciółmi. Wydaje mi się, że Arnold odślaniał się przed nim bardziej niż przed kimkolwiek. Oczywiście był domowym kotkiem Margharity. Uwielbiał ją od lat.

- A pan Clayton był o niego również zazdrosny?

- Zazdrosny o Jocka? Co za pomysł! Margharita naprawdę lubiła Jocka, ale nigdy nie dała mu powodów, żeby się czegoś spodziewał. Nie sądzę, że ktoś mógłby... Nie wiem dlaczego... To wstyd. On jest taki miły.

Poirot skierował rozmowę na lokaja. Jednak oprócz niejasnej wzmianki, że przyrządził dobry koktajl, Linda nie wiedziała wiele o Burgessie i ledwie go zauważała.

Szybko jednak złapała haczyk.

- Pewnie myśli pan, że on mógłby zabić Arnolda równie łatwo jak Charles? Wydaje mi się to całkowicie nieprawdopodobne.

- Pani uwaga przygnębia mnie, *madame*. Mnie natomiast wydaje się absolutnie nieprawdopodobne (choć pani pewnie nie zgodzi się ze mną), by major Rich zabił Arnolda Claytona

w taki właśnie sposób.

- Ciosem sztyletu? Tak, to zupełnie nie w jego stylu. Bardziej prawdopodobne byłoby tępe narzędzie. A może mógłby go zadusić?

Poirot westchnął.

- Wracamy do Otella. Tak, Otello... podsunęła mi pani mały pomysł.

- Naprawdę? Co... - rozległ się dźwięk przekręcane go klucza i otwieranych drzwi. - Och, jest Jeremy. Chce pan również z nim mówić?

Jeremy Spence był przyjemnie wyglądającym, trzydziestoparoletnim mężczyzną, starannie ubranym i ostentacyjnie powściągliwym. Pani Spence oświadczyła, że pójdzie do kuchni i wyszła, zostawiając ich samych.

Pan Spence nie okazywał tak ujmującej szczerości jak jego żona. Był wyraźnie niezadowolony z tego, że jest wmieszany w podobną sprawę, a jego wypowiedzi były ostrożne i dostarczały niewiele informacji. Claytonów znał już jakiś czas, Richa niezbyt dobrze. Uważał go za miłego faceta. O ile mógł sobie przypomnieć, Rich zachowywał się przez cały wieczór tak jak zwykle. Clayton i Rich wydawali się pozostawać w dobrych stosunkach. Cała sprawa była niewytłumaczalna.

Podczas rozmowy Jeremy Spence dawał jasno do zrozumienia, że pragnie, by Poirot sobie poszedł. Był grzeczny, ale nic poza tym.

- Obawiam się - zauważył Poirot - że nie podobają się panu te pytania?

- Cóż, mieliśmy już długą rozmowę z policją. Myślę, że to wystarczy. Przekazaliśmy wszystko, co wiemy i co widzieliśmy. Teraz chciałbym o tym zapomnieć.

- Współczuję panu. To przykro być wmieszanym w taką sprawę. Być wypytywanym nie tylko o to, co pan wie lub co pan widział, lecz także nawet o to, co pan myśli.

- Najlepiej jest nie myśleć.

- Czy można jednak tego uniknąć? Uważa pan, na przykład, że pani Clayton jest w to również wmieszana. Planowała razem z Richem śmierć swego męża?

- Wielki Boże, nie - w głosie Spence'a brzmiał niesmak i oburzenie. - Nie miałem pojęcia, że taka rzecz jest w ogóle brana pod uwagę.

- Czyżby pańska żona nie sugerowała takiej możliwości?

- Och, Linda! Wie pan, jakie są kobiety - jedna drugą z przyjemnością pchnęłyby nożem. Margharita nie była nigdy lubiana przez własną płęć - na to jest zbyt atrakcyjna. Ale teoria, że Rich i Margharita planowali morderstwo - to nie do pomyślenia!

- Takie rzeczy się zdarzają. Na przykład broń. Taką broń mogłaby mieć raczej kobieta niż mężczyzna.

- Chce pan powiedzieć, że policja doszła do tego, że to jej nóż... To niemożliwe! Chcę powiedzieć...

- Nie wiem niczego - oświadczył Poirot zgodnie z prawdą i oddalił się pośpiesznie.

Sądząc z konsternacji na twarzy Spence'a, osądził, że dał temu panu do myślenia.

## VI

- Proszę wybaczyć to, co powiem, panie Poirot, ale nie mogę pojąć, w jaki sposób mógłby mi pan pomóc.

Poirot nie odpowiedział. Patrzył w zamyśleniu na człowieka oskarżonego o morderstwo swego przyjaciela, Arnolda Claytona.

Mocna szczęka, pociągła twarz. Szczupły, opalony, atletyczny i żyłasty. W jego wyglądzie było coś z charta. Człowiek, którego twarz niczego nie ujawniała i który przyjął swego gościa z widocznym brakiem serdeczności.

- Rozumiem, że pani Clayton przysłała pana w najlepszej intencji. Ale szczerze mówiąc, uważam, że to niemądre. Niemądre ze względu na bezpieczeństwo jej i moje.

- Tak pan sądzi?

Rich obejrzał się nerwowo. Towarzyszący im strażnik stał w przepisowej odległości. Rich ściszył trochę głos.

- Nie mogą znaleźć motywu dla tego śmiesznego oskarżenia. Próbują dowieść, że istniało powiązanie między panią Clayton i mną. To, jak dowie się pan od pani Clayton, jest zupełnie nieprawdziwe. Jesteśmy przyjaciółmi i niczym więcej. Na pewno jest wskazane, żeby nie wszczynała żadnych działań w moim imieniu.

Poirot pominął to milczeniem. Zamiast tego podchwycił słowo.

- Powiedział pan „śmieszne” oskarżenie. Wie pan, że wcale tak nie jest.

- Nie zabiłem Arnolda Claytona.

- Nazwijmy to więc fałszywym oskarżeniem. Powiedzmy, że oskarżenie nie jest prawdziwe. Nie jest jednak śmieszne. Przeciwnie, jest wysoce prawdopodobne. Musi pan wiedzieć o tym bardzo dobrze.

- Mogę powiedzieć tylko, że mnie wydaje się fantastyczne.

- Takie mówienie nie przyniesie panu wiele pożytku. Musimy pomyśleć o czymś bardziej skutecznym.

- Mam własnych prawników. O ile wiem, mają powierzyć obronę znakomitemu adwokatowi. Nie potrafię zaakceptować pańskiego użycia zaimka „my”.

Nieoczekiwanie Poirot uśmiechnął się.

- No cóż - powiedział w bardzo cudzoziemski sposób - dał mi pan cierpką odprawę. Dobrze.

Idę więc. Chciałem pana zobaczyć i zobaczyłem. Poprzednio zapoznałem się z pańską karierą. Dostał się pan do Sandhurst i na uczelnię dla oficerów sztabowych. I tak dalej, i tak dalej. Dziś oceniłem pana sam. Nie jest pan głupcem.

- A co to wszystko ma wspólnego ze sprawą?

- Wiele wspólnego! Niemożliwe, by człowiek o pańskich zdolnościach mógł popełnić morderstwo w taki sposób, w jaki je popełniono. Bardzo dobrze. Jest pan niewinny. Niech mi pan opowie teraz o swoim służącym.

- O Burgessie?

- Tak. Jeśli pan nie zabił Claytona, musiał to zrobić Burgess. Taki wniosek jest nieunikniony. Ale dlaczego? Musi istnieć „dlaczego”. Pan jest jedyną osobą, która zna Burgessa wystarczająco dobrze, by to odgadnąć. Dlaczego, majorze Rich, dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Zwyczajnie nie potrafię tego zrozumieć. Och, szedłem po tej samej linii co pan. Istotnie, Burgess miał okazję - jedyna osoba, która ją miała, oprócz mnie. Kłopot polega na tym, że nie mogę w to uwierzyć. Burgess nie jest człowiekiem, który mógłby kogokolwiek zamordować.

- A co sądzą pańscy doradcy prawni? Usta Richa zacięły się w grymasie.

- Tracą czas na wypytywanie mnie, czy nie jest prawdą, że całe życie miewałem krótkotrwałe stany utraty świadomości, podczas których nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię!

- Aż tak fatalnie? - rzekł Poirot. - Cóż, może stwierdzimy, że to Burgess cierpiał na chwilowe zaćmienia. To jest pewna myśl. A teraz, jeśli chodzi o sztylet. Pokazali panu i pytali, czy należy do pana?

- Nie jest mój. Nigdy przedtem go nie widziałem.

- Nie należał do pana. Ale czy jest pan pewien, że nigdy go pan nie widział?

- Nie - zawahał się lekko. - To taka ozdobna zabawka... naprawdę... widuje się podobne rzeczy, leżące u ludzi w domach.

- Może w jakimś kobiecym salonie. Może w salonie pani Clayton?

- Na pewno nie!

Ostatnie słowo padło głośno i strażnik spojrział na nich.

- *Tres bien*\*. Na pewno nie - i nie ma potrzeby krzyczeć. Ale gdzieś, kiedyś, widział pan coś bardzo podobnego. Co? Mam rację?

- Nie sądzę... W jakimś antykwariacie... może?

- Ach, to bardzo prawdopodobne. Poirot wstał.

- Pójdę już.

## VII

- A teraz Burgess - oświadczył Herkules Poirot. - Tak, nareszcie Burgess.

Dowiedział się już czegoś o ludziach wplątanych w tę sprawę, zarówno z własnych obserwacji, jak i ich wzajemnych ocen. Nikt jednak nie dał mu informacji o Burgessie. żadnego tropu, żadnej wzmianki o tym, co to za człowiek.

Kiedy zobaczył Burgessa, zrozumiał, dlaczego tak było.

Lokaj czekał na niego w mieszkaniu majora Richa, zawiadomiony o jego wizycie dzięki telefonowi kapitana McLarena.

- Jestem Herkules Poirot.

- Tak, *sir*, spodziewałem się pana.

Burgess przytrzymał z szacunkiem drzwi i Poirot wszedł. Mały, kwadratowy hali wejściowy, otwarte drzwi na lewo prowadziły do bawialni. Burgess wziął od Poirota kapelusz i płaszcz i udał się za nim do salonu.

- Ach - rzekł Poirot, rozglądając się. - Więc to stało się tutaj?

- Tak, *sir*.

Burgess był spokojnym człowiekiem, bladym i trochę wychudzonym, miał niekształtne ramiona i łokcie. Mówił monotonię z nieznanym Poirotowi, prowincjonalnym akcentem. Burgess był może trochę nerwowy, choć z drugiej strony nie dawał się precyzyjnie scharakteryzować. Trudno było skojarzyć go z pozytywnym działaniem.

Miał bladoniebieskie, przebiegłe oczy, które mało spostrzegawczy ludzie uważają za nieuczciwe. A przecież kłamca potrafi patrzeć w oczy śmiało i pewnie.

- A co z mieszkaniem? - dowiadywał się detektyw.

- Na razie zajmuję się nim, *sir*. Major Rich zapewnił mi pensję, żebym doglądał go aż... aż...

Jego oczy poruszyły się niespokojnie.

- Aż... - zgodził się Poirot. Dodał rzeczowo:

- Major Rich zostanie prawie na pewno postawiony w stan oskarżenia. Sprawa wejdzie na wokandę przypuszczalnie za trzy miesiące.

Burgess potrząsnął głową nie przecząco, lecz ze zdumieniem.

- To naprawdę wydaje się niemożliwe.

- Że major mógłby być mordercą?

- Cała historia. Ta skrzynia... Spojrzał w jej kierunku.

- Ach, więc to jest ta słynna skrzynia?

Był to olbrzymi mebel z bardzo ciemnego, błyszczącego drewna, nabijana mosiężnymi gwoździami, z mosiężną zasuwą i starym zamkiem.

- Ładna rzecz - rzekł Poirot, podchodząc do niej. Stała pod ścianą, koło okna, obok nowoczesnej szafki na płyty. Po przeciwnej stronie były półotwarte drzwi, częściowo zasłonięte wielkim, malowanym, skórzanym parawanem.

- Drzwi prowadzą do sypialni majora - rzekł Burgess.

Poirot skinął głową. Jego oczy powędrowały na drugą stronę pokoju. Stały tam dwa stereofoniczne gramofony, każdy na niskim stoliku, których przewody wiły się jak węże. Były tam także wygodne fotele i wielki stół. Na ścianach wisiały japońskie sztychy. Był to przyjemny pokój, wygodny, ale nie zbyt kowny.

Znowu spojrzał na Williama Burgessa.

- Odkrycie musiało być dla pana wielkim szokiem.

- Tak było, *sir*. Nigdy tego nie zapomnę.

Lokaj zaczął gwałtownie mówić. Słowa płynęły strumieniem. Czuł zapewne, że przez częste powtarzanie historii może w końcu wykreślić ją z pamięci.

- Obszedłem pokój, sprzątając szkło i inne rzeczy. Właśnie zatrzymałem się, żeby podnieść parę oliwek, i wtedy to spostrzegłem... ciemnorudą plamę na dywanie. Nie, dywanu już nie ma, został zabrany do pralni. Policja już go nie potrzebowała. „Cóż to takiego - pomyślałem i zażartowałem w duchu - to mogłaby być naprawdę krew. Ale skąd się wzięła? Co się wylało?” I wtedy zobaczyłem, że coś wypłynęło ze skrzyni, z boku, tu, gdzie jest pęknięcie. Powiedziałem, jeszcze nie podejrzewając niczego: „A to co, u licha...” I podniosłem wieko właśnie tak - obrócił słowo w czyn - i było tu... ciało mężczyzny, leżące na boku, złożone we dwoje - zupełnie jakby spał. I ten okropny zagraniczny nóż czy sztylet, sterczący z jego szyi. Nigdy tego nie zapomnę - nigdy! Żebym żył nie wiem jak długo! Ten szok - rozumie pan, że nie spodziewałem się...

Odetchnął głęboko.

- Puściłem wieko i wybiegłem z mieszkania na ulicę. Szukałem policjanta i szczęśliwie znalazłem go, zaraz za rogiem.

Poirot przyglądał mu się z namysłem. Przedstawienie - jeżeli to było przedstawienie - było



bardzo dobre. Zaczaj się obawiać, że to nie był spektakl - że tak właśnie się zdarzyło.

- Nie pomyślał pan najpierw o obudzeniu majora Richa?

- To nawet nie przyszło mi do głowy. W takim szoku... Ja... ja chciałem wydostać się stąd - przełknął ślinę - i sprowadzić pomoc.

Poirot skinął głową.

- Zorientował się pan, że to jest pan Clayton?

- Powinienem go poznać, ale chyba nie poznałem. Oczywiście, jak tylko wróciłem z policjantem, powiedziałem: „Ależ to pan Clayton!” A on zapytał: „Kto to jest pan Clayton?”, a ja na to: „Był tutaj wczoraj wieczór”.

- Ach, wczoraj wieczór... Pamięta pan, o której pan Clayton przyszedł?

- Nie co do minuty. Powiedziałbym, że była za kwadrans ósma...

- Znał go pan dobrze?

- W ciągu półtora roku, od kiedy tu pracuję, przychodzili z żoną dość często.

- Zachowywał się jak zwykle?

- Sądzę, że tak. Był trochę zadyszany, ale przyjąłem, że to z powodu pośpiechu. Spieszył się na pociąg.

- Skoro wybierał się do Szkocji, zapewne miał z sobą torbę podróżną?

- Nie, *sir*. Przypuszczałem, że zostawił ją w taksówce.

- Był zawiedziony, nie zastawszy majora Richa?

- Nie rzucało się to w oczy. Powiedział, że skrobnie karteczkę. Wszedł tutaj, usiadł przy biurku, a ja udałem się do kuchni. Byłem trochę spóźniony z przyrządzaniem jajek z sardelami. Kuchnia jest na końcu korytarza i nie słyhać dobrze odgłosów z salonu. Nie słyszałem, jak pan Clayton wychodził ani przyjscia majora, ale wtedy nie zwróciłem na to uwagi.

- A co było dalej?

- Major Rich zawołał mnie. Stał w drzwiach. Powiedział, że zapomniał o tureckich papierosach, lubianych przez panią Spence. Miałem szybko pójść po nie. Przyniosłem papierosy i położyłem tu na stole. Oczywiście przyjąłem, że pan Clayton wyszedł, by zdążyć na pociąg.

- I nikt więcej nie przychodził podczas nieobecności majora, kiedy był pan w kuchni?

- Nie, *sir*, nikt.

- Jest pan tego pewien?

- Jak mógłby ktoś wejść? Przecież musiałyby zadzwonić do drzwi.

Poirot potrząsnął głową. Jak mógłby ktoś wejść? Państwo Spence'owie i McLaren, i nawet pani Clayton mogli wyliczyć się z każdej minuty. McLaren był ze znajomymi w klubie, państwo Spence'owie wypili drinka z przyjaciółmi przed wyruszeniem. Margharita Clayton rozmawiała w tym czasie przez telefon z przyjaciółką. Nie brał ich pod uwagę jako możliwych zabójców. Były lepsze sposoby zamordowania Arnolda Claytona niż pójście za nim do mieszkania, w którym był obecny służący, a gospodarz mógł wrócić w każdej chwili. Nie, do ostatniej chwili miał nadzieję na „tajemniczego nieznajomego”. Ktoś z pozornie nieskalanej przeszłości Claytona, kto rozponaje go na ulicy i śledzi aż tutaj. Zadaje cios sztyletem, pakuje ciało do skrzyni i znika. Czysty melodramat, bez cienia motywu ani prawdopodobieństwa. Coś w rodzaju historycznego romansu, harmonizującego z hiszpańską skrzynią.

Wrócił do skrzyni i podniósł wieko. Poszło łatwo i bezszelestnie.

- Została wyszorowana, *sir* - powiedział cicho Burgess. - Zająłem się tym.

Poirot nachylił się nad skrzynią. Z lekkim okrzykiem pochylił się jeszcze niżej. Zbadał coś palcami.

- Te dziurki - z tyłu i na jednym z boków - wyglądają, jakby zrobiono je bardzo niedawno.

- Dziurki? - Lokaj nachylił się, by zajrzeć. - Nic o nich nie wiem. Nie zauważyłem ich wcześniej.

- Nie są zbyt widoczne, ale jednak są. Do czego służą, jak pan sądzi?

- Naprawdę nie mam pojęcia. Może jakieś zwierzę... robaki czy coś takiego. Coś, co gryzie drewno.

- Zwierzę - zastanowił się Poirot. - To dziwne. Cofnął się znowu w głąb pokoju.

- Kiedy przyszedł pan z papierosami, czy coś w tym pokoju się zmieniło? Cokolwiek? Przesunięto stół lub krzesła?

- Dziwne, że pan o to pyta... Kiedy wspominał pan o tym, pamiętam, że coś było. Parawan zasłaniający drzwi do sypialni został przesunięty trochę w lewo.

- W ten sposób?

- Jeszcze trochę... o tak właśnie.

Parawan zasłaniał mniej więcej połowę skrzyni. Po przesunięciu skrywał ją prawie całą.

- Jak pan myśli, dlaczego został przesunięty?

- Nic nie myślę, *sir*.

(Kolejna panna Lemon.)

- Może chodziło o ułatwienie wejścia do sypialni, gdyby panie chciały zostawić tam swoje okrycia.

- Możliwe. Ale mógł być również inny powód.

Burgess spojrzał pytająco.

- Parawan zakrywa teraz skrzynię i dywan pod nią. Jeżeli major zabił pana Claytona, krew wkrótce zaczęła sączyć się przez pęknięcie w dnie skrzyni. Ktoś mógł to zauważyć, tak jak pan zauważył następnego rana. Więc parawan został przesunięty.

- Nigdy o tym nie pomyślałem, *sir*.

- Jakie jest tu oświetlenie, mocne czy przyćmione?

- Pokażę panu.

Lokaj szybko zaciągnął zasłony i zapalił kilka lamp. Dawaly one łagodne, stonowane światło, przy którym trudno byłoby nawet czytać. Poirot spojrzał na lampę pod sufitem.

- Nie była włączona, *sir*. Rzadko jej używamy.

Poirot rozejrzał się w mdłym świetle.

- Nie wierzę, żeby mógł pan dostrzec plamy krwi, *sir*. Oświetlenie jest zbyt nikłe.

- Sądzę, że ma pan rację. A więc to dlatego przesunięto parawan?

Burgess wstrząsnął się.

- To okropne pomyśleć, że taki miły dżentelmen jak major Rich miałby zrobić coś takiego.

- Nie ma pan wątpliwości, że on zabił? Dlaczego miałby to zrobić?

- Cóż, przeszedł przez wojnę. Może był ranny w głowę? Powiadają, że czasami objawia się to całe lata później. Ludzie nagle stają się dziwni i nie zdają sobie sprawy z tego, co robią. I mówią, że mogą zwrócić się przeciwko swoim najbliższym i najbardziej kochanym. Nie sądzi pan, że to się mogło zdarzyć?

Poirot popatrzył na niego z westchnieniem i odwrócił się.

- Nie - oświadczył. - To nie było tak.

Ze sprytem magika wsunął kawałek szeleszczącego papieru w rękę Burgessa.

- Och, *sir*, dziękuję, ale doprawdy nie musi pan...

- Pan mi pomógł - odparł Poirot. - Pomógł mi pan, pokazując ten pokój, demonstrując jego wygląd wieczorem. Niemożliwe nigdy nie jest niemożliwe. Niech pan o tym pamięta. Powiedziałem, że były tylko dwie możliwości i myliłem się. Istnieje trzecia możliwość.

Rozejrzał się po pokoju i wzdrygnął.

- Proszę odsunąć zasłony i wpuścić światło i świeże powietrze. Ten pokój potrzebuje tego. Potrzebuje sprzątania. Długo potrwa, zanim oczyści się z tego, co na nim ciąży - zastarzałego wspomnienia nienawiści.

Burgess z otwartymi ustami podał Poirotowi płaszcz i kapelusz. Wydawał się oszołomiony. Poirot, którego bawiło wygłaszanie niezrozumiałych oświadczeń, wyszedł różnym krokiem na ulicę.

## VIII

Kiedy przyszedł do domu, zadzwonił do inspektora Millera.

- Co się stało z torbą Claytona? Żona mówi, że zapakował ją przed wyjazdem.
- Była w klubie. Zostawił ją u portiera. Potem pewnie zapomniał i wyjechał bez niej.
- A co w niej było?
- To, czego się można spodziewać: piżama, koszule, przybory toaletowe.
- Bardzo pedantyczny.
- A czego się pan tam spodziewał?

Poirot puścił pytanie mimo uszu.

- A co do sztyletu, proponuję, żeby porozmawiał pan ze sprzątaczką pani Spence. Niech się pan dowie, czy widziała ten nóż.

- Pani Spence? - Miller gwizdnął. - Więc tak pan kombinuje? Sztylet pokazano państwu Spence'om. Nie rozpoznali go.

- Niech pan zapyta ich jeszcze raz.

- Ma pan na myśli...

- A potem proszę mi zdradzić, co powiedzą...

- Nie potrafię sobie wyobrazić, co spodziewa się pan uzyskać w ten sposób!

- Niech pan przeczyta Otella. Proszę zastanowić się nad postaciami z tej sztuki. Pominęliśmy jedną z nich.

Odłożył słuchawkę. Z kolei wykręcił numer lady Chatterton. Numer był zajęty.

Jakiś czas później spróbował znowu. Też bez powodzenia. Wezwał George'a, swego lokaja, i polecił mu, by dzwonił na ten numer aż do uzyskania połączenia. Lady Chatterton, jak wiedział, uwielbiała telefoniczne pogawędki.

Usiadł w fotelu, rozsznurował lakierki, poruszał palcami i oparł się wygodnie.

- Jestem stary - powiedział do siebie. - Łatwo się męczę. - Ożywił się. - Ale szare komórki jeszcze działają. Wolno - ale działają... Otello, tak jest. Kto o tym powiedział? Ach tak, pani Spence. Torba... Parawan... Ciało leżące w pozycji śpiącego. Sprytne morderstwo. Popelnione z

premedytacją, zaplanowane... Myślę, że nawet z uciechą!...

George zawiadomił go, że lady Chatterton jest na linii.

- Tu Herkules Poirot, *madame*. Mogę rozmawiać z pani gościem?

- Ależ naturalnie! Och, panie Poirot, dokonał pan już cudu?

- Jeszcze nie - odparł Poirot. - Ale być może sprawy posuwają się do przodu.

Wkrótce rozległ się głos Margharity - spokojny i łagodny.

- *Madame*, kiedy spytałem, czy zauważyła pani tego wieczoru coś odbiegającego od normalności, zmarszczyła pani brwi, jakby przypominając sobie coś, a potem wycofała się pani. Czy chodziło o pozycję parawanu tego wieczoru?

- Parawan? Istotnie. Nie stał na zwykłym miejscu.

- Tańczyliście wtedy?

- Trochę.

- Z kim tańczyła pani najczęściej?

- Z Jeremym Spence'em. Jest znakomitym tancerzem. Charles tańczy dobrze, ale nie tak efektownie. Tańczył z Lindą, a potem wymieniliśmy się. Jock McLaren nie tańczył. Wyciągał płyty, sortował je i wybierał, co nastawić.

- Później słuchali państwo muzyki poważnej? - Tak.

Nastąpiła cisza.

- Panie Poirot - spytała Margharita - o co chodzi? Ma pan... czy jest... nadzieja?

- Czy zawsze pani wie, co czują ludzie w pani otoczeniu?

Odparła z lekkim zdziwieniem:

- Wydaje mi się, że tak.

- A mnie wydaje się, że nie. Sądzę, że nie ma pani pojęcia. Na tym polega tragedia pani życia. Ta tragedia dotyczy jednak innych ludzi - nie pani. Dzisiaj ktoś wspomniał Otella. Pytałem, czy pani mąż był zazdrosny, a pani odpowiedziała, że według pani, tak. Mówiła to pani zupełnie lekko. Tak, jak mogła to powiedzieć Desdemona, nie zdająca sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Ona również rozpoznała zazdrość, ale nie pojęła jej, ponieważ sama nie miała żadnych doświadczeń w dziedzinie zazdrości. Była nieświadoma siły gwałtownej fizycznej namiętności. Kochała swego męża z romantycznym zapałem, kochała jego przyjaciela Kasja całkiem niewinnie, jako bliskiego

przyjaciela... Myślę, że właśnie ta jej niezdolność do odczuwania napiętności doprowadzała mężczyzn do szaleństwa... Czy to, co mówię, ma dla pani sens, *madame*?

Po chwili ciszy odezwał się głos Margharity - spokojny, łagodny, trochę zakłopotany.

- Naprawdę... nie wiem, o czym pan mówi...

Poirot westchnął.

- Dziś wieczór - powiedział rzeczowo - złożę pani wizytę.

## IX

Inspektor Miller nie ulegał łatwo perswazji. Ale i Herkulesa Poirota nie można się było łatwo pozbyć, jeśli nie osiągnął swego celu. Miller gderał, lecz skapitulował.

- Co ma lady Chatterton wspólnego z tą...

- Naprawdę nic. Po prostu zapewniła schronienie swojej przyjaciółce i tyle.

- Jak się pan dowiedział o tych Spence'ach?

- Że sztylet pochodzi od nich? Raczej zgadłem. Coś, co powiedział Jeremy Spence, podsunęło mi tę myśl. Ja sugerowałem, że nóż należał do Margharity Clayton. On wykazał, że wie na pewno, iż tak nie jest. - Przerwał. - Co oni mówią? - zapytał z ciekawością.

- Przyznają, że bardzo przypomina sztylet, który kiedyś mieli. Zagubił się gdzieś parę tygodni temu i zupełnie o nim zapomnieli. Pewnie Rich gwizdnął go stamtąd.

- Człowiek, który lubi bezpieczną grę, pan Jeremy Spence. - wymamrotał Poirot. - Parę tygodni temu... O tak, planowanie zaczęło się na długo przedtem.

- Co takiego?

- Dojeżdżamy - rzekł Poirot.

Taksówka zatrzymała się przed domem lady Chatterton na Cheriton Street. Poirot zapłacił za przejazd.

Margharita Clayton czekała w pokoju na górze. Na widok Millera jej twarz stężała.

- Nie wiem...

- Nie wie pani, kim jest przyjaciel, którego obiecałem przywieźć'?

- Inspektor Miller nie jest moim przyjacielem.

- Zależy, czy chce pani, by sprawiedliwość się dokonała, pani Clayton. Pani mąż został zamordowany...

- I teraz musimy pomówić o tym, kto go zabił - powiedział szybko Poirot. - Możemy usiąść?

Margharita wolno usiadła w głębokim fotelu, patrząc na obu mężczyzn.

- Proszę - zaczął Poirot, zwracając się do obojga - by państwo słuchali mnie cierpliwie. Sądzę, że wiem, co zdarzyło się owego fatalnego wieczoru w mieszkaniu majora Richa... Wszyscy początkowo założyliśmy mylnie, że tylko dwie osoby miały okazję, by umieścić ciało w skrzyni, to



jest major Rich albo William Burgess. Byliśmy jednak w błędzie - w mieszkaniu była trzecia osoba, która w równym stopniu miała taką możliwość.

- I kto to był? - dopytywał się Miller sceptycznie. - Windziarz?

- Nie. Arnold Clayton.

- Co? Ukrył własne ciało! Pan zwariował.

- Oczywiście nie martwe ciało, tylko żywe. Mówiąc po prostu, schował się w skrzyni. Taka rzecz zdarzała się często. Martwa oblubienica w „Gałązce jemioli”, Jachimo nastający na cnotę Imogeny i tak dalej. Pomyślałem o tym, jak tylko zobaczyłem dziurki wywiercone niedawno w skrzyni. W jakim celu? Mogły zapewnić wystarczającą ilość powietrza. Dlaczego tego wieczoru parawan został przesunięty? Aby ukryć skrzynię przed osobami będącymi w pokoju. Tak, by ukryty człowiek mógł od czasu do czasu unieść wieko, wyprostować się i usłyszeć dokładniej, co się dzieje.

- Ale po co? - zapytała Margharita. - Dlaczego Arnold chciał ukryć się w skrzyni?

- Pani o to pyta, *madame*? Pani mąż był zazdrosnym człowiekiem. Był także człowiekiem mało komunikatywnym. „Zakorkowany”, jak to określiła pani przyjaciółka, pani Spence. Jego zazdrość wzrastała. To sprawiało mu męczarnie. Była pani kochanką Richa czy nie? Nie wiedział! Ale musiał wiedzieć! Więc - ze Szkocji przychodzi telegram, który nigdy nie został wysłany i którego nikt nie widział! Pakuje torbę podróżną i bardzo wygodnie zapomina jej w klubie. Clayton jedzie do mieszkania majora w czasie, kiedy jest pewny, że Richa nie ma. Powiada lokajowi, że napisze kartkę. Gdy tylko zostaje sam, wierci otworki, przesuwając parawan i wchodzi do skrzyni. Dziś pozna prawdę. Może żona zostanie po wyjściu innych, może wyjdzie, ale wróci. Tej nocy zrozpaczony, szarpany zazdrością człowiek dowie się...

- Nie powie pan, że zabił się sam - zapytał Miller z niedowierzaniem. - To bzdura!

- Och, nie. Zabił go ktoś inny. Ktoś, kto wiedział, że on tam jest. To było morderstwo. Morderstwo starannie zaplanowane, na długo wcześniej. Proszę pomyśleć o innych postaciach z Otella. Powinniśmy przypomnieć sobie Jagona. Subtelnie zatruwał umysł Clayтона, robił aluzje, rzucał podejrzenia. Arnold Clayton pozwolił drażnić swoją zazdrość, pobudzać ją aż do gorączki. Czy plan ukrycia się w skrzyni był jego własnym pomysłem? Mógł tak myśleć i prawdopodobnie myślał! W ten sposób scena jest gotowa. Sztylet, spokojnie skradziony parę tygodni wcześniej, jest w pogotowiu. Nadchodzi wieczór. Przyćmione światła, gramofon gra, dwie pary tańczą, samotny mężczyzna zajmuje się płytami w pobliżu skrzyni i przesłaniającego ją parawanu. Wśliznąć się za parawan, podnieść wieko skrzyni i zadać cios... Zuchwalstwo, ale zupełnie proste!

- Clayton mógł krzyknąć!

- Nie, jeżeli był pod wpływem narkotyku - odparł Poirot. - Według słów lokaja, ciało leżało tak jak śpiący człowiek. Clayton był uśpiony, uśpiony przez jedyne go człowieka, który mógł to zrobić, człowieka, który wypił z nim kieliszek w klubie.

- Jock? - Głos Margharity wznosił się w dziecięcym zdziwieniu. - Jock? Przecież nie kochany, stary Jock! Ależ ja znam Jocka całe życie! Jak, na miłość boską, Jock mógłby...

Poirot zwrócił się do niej.

- Dlaczego dwaj Włosi mieli pojedynek? Dlaczego młody człowiek się zastrzelił? Jock McLaren jest skrytym człowiekiem. Zrezygnował, być może, ze swoich ambicji i został wiernym przyjacielem pani i jej męża, a wtedy zjawił się major Rich. Tego już za wiele! Pograżony w mroku nienawiści i pożądania planuje morderstwo prawie doskonale - morderstwo podwójne, gdyż jest niemal pewne, że Rich zostanie uznany za winnego. A kiedy Rich i pani mąż zostaną usunięci z drogi, uważa, że pani może wreszcie zwrócić się ku niemu. A może, *madame*, już pani to zrobiła... co?

Patrzyła na niego oczami rozszerzonymi ze zgrozy.

- Może... Ja nie wiem...

Inspektor Miller odezwał się z nagłą powagą.

- W porządku, Poirot. To jest teoria, nic poza tym. Nie ma ani strzępka dowodu. Prawdopodobnie ani słowo nie jest prawdziwe.

- To wszystko prawda.

- Ale nie ma dowodu. Nie potrafimy nic zrobić.

- Myli się pan. Uważam, że McLaren, jeśli przedstawimy mu fakty, przyzna się. To znaczy, jeżeli dotrze do niego, że Margharita Clayton wie o wszystkim...

Poirot przerwał i dodał:

- Będzie wówczas wiedział, że przegrał... że na próżno popełnił morderstwo doskonale.

## Popychadło

Lily Margrave wygładziła nerwowym ruchem leżące na kolanach rękawiczki i rzuciła spojrzenie na człowieka siedzącego w wielkim fotelu naprzeciw niej.

Słyszała o panu Herkulesie Poirotcie, znanym detektywie, ale pierwszy raz widziała go na własne oczy.

Cokolwiek śmieszny wygląd zakłócił jej wyobrażenie o nim. Czy ten zabawny człowieczek z jajowatą głową i ogromnymi wąsami naprawdę mógł dokonywać cudów, jakie mu przypisywano? Jego obecne zajęcie wydało się jej szczególnie dziecinne. Układał małe klocki z kolorowego drewna, jeden na drugim, i wydawał się tym znacznie bardziej zainteresowany niż historią, którą mu opowiadała.

Kiedy nagle zamilkła, spojrzał na nią przenikliwie.

- Proszę mówić dalej, *mademoiselle*. To nie znaczy, że nie uważam; słucham bardzo uważnie, zapewniam panią.

Zaczął znowu układać klocki jeden na drugim, podczas gdy dziewczęcy głos podjął historię. Była to okropna opowieść, pełna przemocy i tragedii, ale jej głos był tak chłodny i nie przejawiający emocji, relacja tak zwięzła, że traciła niemal odcień człowieczeństwa. Wreszcie przerwała.

- Mam nadzieję - powiedziała niespokojnie - że wyjaśniłam wszystko.

Poirot skinął kilkakrotnie głową w dobitnym potwierdzeniu. Potem zburzył klocki, rozrzucając je po stole, rozparł się w fotelu, złożył razem czubki palców i z oczami utkwionymi w suficie zaczął reasumować.

- Dziesięć dni temu został zamordowany *sir* Reuben Astwell. W środę, przedwczoraj, policja aresztowała jego siostrzeńca, Charlesa Leversona. Fakty świadczące przeciwko niemu są następujące - proszę mnie poprawie, jeżeli się pomylę: *sir* Reuben siedział do późna, pisząc w swoim gabinecie, tak zwanej Baszcie. Pan Leverson wrócił późno, otwierając drzwi własnym kluczem. Kamerdyner, którego pokój mieści się tuż pod Basztą, podsłuchał jego kłótnię z wujem. Kłótnia zakończyła się głuchym łoskotem, jakby przewróconego krzesła, i przytłumionym krzykiem.

Zaniepokojony kamerdyner zamierzał wstać i sprawdzić, co się dzieje, ale kiedy parę sekund później usłyszał, jak pan Leverson opuszcza pokój gwiżdżąc wesołą melodię, nie myślał już dłużej o tym. Tymczasem następnego dnia pokojówka znalazła *sir* Reubena martwego za biurkiem. Został zabity uderzeniem ciężkiego narzędzia. Kamerdyner, zdaje się, nie opowiedział policji swojej historii natychmiast. To było naturalne, prawda, *mademoiselle*? Nagłe pytanie zaskoczyło Lily Margrave.

- Słucham pana? - spytała.

- Każdy doszukuje się w takich sprawach elementu ludzkiego - wyjaśnił mały człowieczek. - Kiedy opowiadała mi pani swoją historię, niezwykle treściwie, zrobiła pani aktorami dramatu kukielki. Ja jednak szukam zawsze natury ludzkiej. Powiedziałem sobie, że ten kamerdyner, ten... - jak on się nazywa?

- Parsons.

- Ten Parsons będzie charakterystyczny dla swojej klasy, będzie przeciwny policji i powie im tak mało jak się da. Przede wszystkim nie powie im niczego, co mogłoby zdyskredytować kogoś z domowników. Włamywacz, złodziej - przy tym będzie obstawał z najwyższym uporem. Tak, lojalność służby to interesujący problem.

Odchylił się rozpromieniony.

- Tymczasem każdy z domowników opowiedział swoją historię, a wśród nich pan Levenson. Zeznał, że wrócił do domu późno i poszedł do łóżka, nie spotykając się z wujem.

- Tak właśnie powiedział.

- I nikt nie miał powodu w to wątpić - rzekł z zadumą Poirot - oprócz, rzecz jasna, Parsonsa. Potem zjawił się inspektor ze Scotland Yardu, inspektor Miller, jak pani mówiła. Znam go. Zetknąłem się z nim raz czy dwa. Jest, jak powiadają o bystrych ludziach, sprytny jak lis. Tak, znam go! I ten cwany inspektor Miller dostrzegł to, czego nie zobaczył miejscowy inspektor, mianowicie że Parsons jest jakiś nieswój, i zorientował się, że czegoś tu nie powiedziano. *Eh bien*, robi mały numer z Parsonsem. Do tej pory udowodniono, że nie było żadnego włamania, że mordercy trzeba szukać wewnątrz domu. I Parsons, nieszczęśliwy i przerażony, czuje wielką ulgę, pozbywszy się swego sekretu. Zrobił co się dało, by uniknąć skandalu, ale są przecież pewne granice; inspektor Miller wysłuchuje opowieści Parsonsa, zadaje parę pytań i przeprowadza własne dochodzenie. Jego oskarżenie ma mocne - nawet bardzo mocne - podstawy.

Na rogu biurka w Baszcie znaleziono krwawe ślady palców i te odciski należały do Charlesa Levensona. Pokojówka zeznała, że rano opróżniła w pokoju pana Levensona miednicę napełnioną krwawą wodą. Wyjaśnił, że zaciął się w palec i rzeczywiście miał na nim małą ranę, ale naprawdę bardzo niewielką! Mankiet wieczorowej koszuli był wyprany, ale znaleziono krople krwi na rękawie płaszcza. Pilnie potrzebował pieniędzy i dziedziczył po śmierci sir Reubena. Tak, to bardzo mocne oskarżenie, mademoiselle. Przerwał.

- A jednak przyszła pani do mnie.

Lily Margrave wzruszyła szczupłymi ramionami.

- Już mówiłam, że przysłała mnie lady Astwell.

- A więc nie przyszłaby pani z własnej woli?

Detektyw popatrzył na nią przenikliwie. Dziewczyna milczała.

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

Lily zaczęła znowu wygładzać rękawiczki.

- Sytuacja jest dla mnie trudna, panie Poirot. Muszę brać pod uwagę moją lojalność wobec lady Astwell. Ściśle mówiąc, jestem tylko jej płatną towarzyszką, ale ona traktuje mnie, jakbym była jej córką lub siostrzenicą. Zawsze była niezmiernie życzliwa i, bez względu na jej wady, nie powinnam krytykować jej działań, czy - no, uprzedzać pana, by nie wziął pan sprawy.

- Uprzedzenie Herkulesa Poirota przeciw czemuś jest niemożliwe, *cela ne ce f nit pas* - oświadczył mały człowieczek pogodnie. - Zauważyłem, że pani zdaniem, lady Astwell po prostu ma bzika. No i co, tak jest?

- Jeżeli muszę powiedzieć...

- Proszę mówić, mademoiselle.

- Uważam, że cała sprawa jest po prostu głupia.

- Takie odniosła pani wrażenie?

- Nie chcę mówić nic przeciwko lady Astwell...

- Rozumiem - mruknął łagodnie Poirot. - Rozumiem bardzo dobrze.

Jego wzrok zachęcał dziewczynę do kontynuowania wyjaśnień.

- Ona jest naprawdę bardzo zacna i strasznie miła, ale nie jest... jak to wyrazić? Nie jest kobietą wykształconą. Kiedy sir Reuben żenił się z nią, była aktorką i zachowała wszystkie przesady i uprzedzenia. Jeśli coś powie, musi tak być. Po prostu nie słucha żadnych argumentów. Inspektor nie zachował się w stosunku do niej zbyt taktownie i to ją rozdrażniło. Mówi, że to idiotyzm podejrzewać pana Leversona, że to taki głupi, bezmyślny błąd, jaki często robi policja, i że oczywiście kochany Charles tego nie zrobił.

- Ale nie ma argumentów?

- Absolutnie żadnych.

- Żadnych? Proszę pomyśleć.

- Powiedziałam jej, że nie ma sensu przychodzić do pana z gołosłownymi zapewnieniami o niewinności i że nic z tego nie będzie.

- Powiedziała jej pani to, naprawdę? To ciekawe.

Jego oczy przesunęły się po postaci Lily Margrave. Szybko ocenił jej ładną czarną sukienkę z białym wykończeniem pod szyją i szykowny, czarny kapelusik. Docenił jej elegancję, łaciną twarz z

kształtną brodą, ciemnoniebieskie oczy, otoczone długimi rzęsami. Jego postawa zmieniła się w sposób niedostrzegalny; teraz był zainteresowany bardziej dziewczyną siedzącą naprzeciw niż samą sprawą.

- Lady Astwell jest, o ile mogę sobie wyobrazić, odrobinę niezrównoważona i histeryczna?

Lily skinęła żywo.

- To określa ją dokładnie. Jest, jak panu mówiłam, bardzo miła, ale niemożliwe jest spierać się z nią lub wytłumaczyć jej coś logicznie.

- Może sama kogoś podejrzewa - podsunął Poirot - kogoś zupełnie absurdalnego.

- Właśnie tak - krzyknęła Lily. - Nie znosi sekretarza sir Reubena, biednego człowieka. Powiada, że on to zrobił, że jest o tym przekonana, choć zostało udowodnione stanowczo, że ten nieszczęsny Owen Trefusis nie mógł absolutnie tego dokonać.

- I ona nie ma żadnych podstaw?

- Oczywiście że nie; to wszystko jej intuicja. W głosie Lily brzmiała pogarda.

- Czuję, *mademoiselle* - rzekł Poirot, śmiejąc się - że nie wierzy pani w intuicję.

- Uważam to za bzdury. Poirot rozparł się w fotelu.

- *Les femmes* - mruknął - sądzą, że to specjalna broń, którą dobry Bóg im dał, ale tylko raz na dziesięć mówi im prawdę, a dziewięć razy prowadzi na manowce.

- Wiem, ale mówiłam panu, jaka jest lady Astwell. Po prostu nie można z nią dyskutować.

- Wobec tego pani, będąc osobą mądrą i dyskretną, przysłała do mnie, jak pani polecono, i zapoznała mnie z sytuacją.

Coś w jego tonie spowodowało, że dziewczyna spojrzała ostro.

- Wiem naturalnie - powiedziała przepraszająco - jak cenny jest pański czas.

- Jest pani zbyt łaskawa, *mademoiselle*, ale rzeczywiście mam teraz bardzo wiele spraw.

- Obawiałam się, że może tak być - odparła Lily wstając. - Powiem lady Astwell...

Poirot jednak nie podniósł się. Rozsiadł się w fotelu i patrzył spokojnie na dziewczynę.

- Śpieszy się pani, żeby wyjść? Proszę usiąść na chwileczkę, bardzo panią proszę.

Zobaczył, że rumieniec oblał jej twarz i znikł. Usiadła jeszcze raz, wolno i bardziej niechętnie.

- *Mademoiselle* jest szybka i zdecydowana. Musi mieć pani zrozumienie dla tak starego

człowieka jak ja, który podejmuje decyzje powoli. Pani mnie źle zrozumiała. Nie powiedziałem, że nie pojedę do lady Astwell.

- Przyjdzie pan zatem?

Głos dziewczyny był bez wyrazu. Nie patrzyła na Poirota, tylko na podłogę, była więc nieświadoma jego dokładnej obserwacji.

- Proszę powiedzieć lady Astwell, że jestem całkowicie do jej usług. Będę w - Mon Repos, prawda? - dziś po południu.

Wstał. Dziewczyna wstała również.

- Ja... zawiadomię ją. To bardzo uprzejmie, że pan przyjedzie. Obawiam się jednak, że będzie to daremny trud.

- Bardzo możliwe, ale kto wie?

Odprowadził ją ceremonialnie do wyjścia. Potem wrócił do bawialni, zachmurzony, pogrążony w myślach. Skinął parę razy głową, następnie otworzył drzwi i zawołał swego kamerdynera.

- Mój drogi George, bądź tak dobry i spakuj mi małą walizkę. Wyjeżdżam na wieś dziś po południu.

- Tak jest, *sir* - powiedział George.

Wyglądał jak stuprocentowy Anglik. Wysoki, sztywny i nie okazujący uczuć.

- Młoda dziewczyna to naprawdę interesujące zjawisko, George - rzekł Poirot, opadłszy znowu na swój fotel i zapalając papierosa. - Zwłaszcza jeśli ma rozum. Poprosić kogoś, żeby coś zrobił, a jednocześnie nastawić go przeciwie, to delikatna operacja. Wymaga finezji. Była bardzo zręczna - och, bardzo - ale Herkules Poirot, mój zacny George, jest pod względem inteligencji zupełnie wyjątkowy.

- Słyszałem już, jak pan to mówił.

- To nie tego sekretarza ma w głowie - uśmiechnął się Poirot. - Oskarżenie go przez lady Astwell traktuje z pogardą. Ona nie chce wywoływać wilka z lasu. Ja, mój drogi George, wywołam go i zmuszę do walki! Tam, w Mon Repos, rozgrywa się dramat. Dramat ludzki i to mnie właśnie pasjonuje. Ta mała była pomysłowa, ale nie dosyć. Jestem ciekaw, co tam znajdę.

Po dramatycznej pauzie, która nastąpiła po tych słowach, głos George'a zabrzmiał przeproszająco. - Mam zapakować wizytowe ubranie, *sir*?

Poirot popatrzył na niego smutno. - Zawsze skupiony na swojej pracy. George, jesteś dla mnie za dobry.

Z pociągu, który zatrzymał się o czwartej pięćdziesiąt pięć na stacji Abbots Cross, wysiadł Herkules Poirot, wystrojony nader elegancko, z wąsami wypomadowanymi na sztywno. Oddał bilet, przeszedł przez barierkę i został zagadnięty przez szofera.

- Pan Poirot?

Mały człowieczek skłonił się.

- Tak jest

- Będzie pan łaskaw tędy, *sir*. Otworzył drzwi wielkiego rolls-royce'a.

Dom stał zaledwie trzy minuty drogi od stacji. Szofer otworzył drzwi wozu i Poirot wysiadł. Kamerdyner przytrzymał właśnie frontowe drzwi.

Poirot, zanim wszedł, rzucił szybkie spojrzenie na dom. Była to wielka, masywna rezydencja z czerwonej cegły, bez pretensji do piękna, dająca jednak wrażenie solidnego komfortu.

Wszedł do hallu. Kamerdyner zręcznie odebrał jego kapelusz i płaszcz, po czym powiedział pełnym szacunku pół-szeptem, jakim posługują się tylko najlepsi służący:

- Milady oczekuje pana.

Poirot poszedł za kamerdynerem schodami wyłożonymi miękkim dywanem. To był, bez wątpienia, Parsons, znakomity służący, który potrafił zupełnie nie okazywać uczuć. Na szczycie schodów skierował się korytarzem w prawo. Wszedł do małego przedpokoju, z którego prowadziło dwoje drzwi. Otworzył te po lewej i zaanonsował:

- Pan Poirot.

Pokój był niezbyt duży, wypełniony meblami i ozdobnymi drobiazgami. Kobieta w czerni podniosła się z sofya i podeszła szybko do Poirota.

- Panie Poirot - powiedziała, wyciągając rękę. Jej wzrok prześliznął się po wyelegantowanej postaci detektywa. Zamilkła na moment, ignorując nachylenie detektywa nad wyciągniętą ręką i jego mruknięcie „*madame*”, a potem, uwalniając jego rękę po energicznym uścisku, wykrzyknęła:

- Wierzę w niskich mężczyzn. Są najbardziej inteligentni!

- Inspektor Miller - mruknął Poirot - jest zdaje się wysoki?

- Jest nadętym durniem. Niech pan usiądzie tu, obok mnie.

Wskazała mu miejsce na sofie.

- Lily zrobiła, co się tylko dało, by odradzić mi sprowadzenie pana, ale żyję już dość długo, by podejmować sama decyzje.



- Rzadkie osiągnięcie - rzekł Poirot, idąc z nią w kierunku kanapy.

Lady Astwell usadowiła się wygodnie wśród poduszek i zwróciła ku niemu twarz.

- Lily jest kochaną dziewczyną, ale wydaje się jej, że wszystko wie, a tacy ludzie, według moich doświadczeń, przeważnie się mylą. Nie jestem bystra, panie Poirot, nigdy nie byłam, ale mam rację tam, gdzie myli się wielu głupszych ode mnie. Wierzę w intuicję. Czy chce pan, żebym mu powiedziała, kto jest mordercą? Kobieta wie, panie Poirot.

- Czy panna Margrave wie również?

- Co ona panu nagadała? - spytała ostro lady Astwell.

- Podała mi fakty.

- Fakty? Och, oczywiście, one świadczą murowanie przeciwko Charlesowi, ale mówię panu, że on tego nie zrobił. Wiem, że nie zrobił! - nachyliła się do niego, a jej żarliwość była wprost niepokojąca.

- Twierdzi to pani stanowczo?

- Mego męża zabił Trefusis. Jestem tego pewna.

- Dlaczego?

- Dlaczego go zabił czy dlaczego jestem pewna? Powiadam panu, że wiem to! W tych sprawach jestem niesamowita. Podejmuję decyzję i trzymam się jej.

- Czy pan Trefusis korzysta w jakikolwiek sposób na śmierci *sir* Reubena?

- Nie zostawił mu ani grosza - odparła lady Astwell natychmiast. - Może się pan przekonać, jak kochany Reuben mu ufał.

- Jak długo pracował dla *sir* Reubena?

- Prawie dziewięć lat.

- To długo - rzekł Poirot łagodnie. - Bardzo długo, jak na pracę u jednego człowieka. Tak, pan Trefusis musiał znać dobrze swego pracodawcę.

Lady Astwell popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Do czego pan zmierza? Nie rozumiem, co to ma wspólnego ze sprawą.

- Sprawdzam własny, mały pomysł. Mały pomysł, nic ciekawego, ale oryginalny, dotyczący skutków służby.

Lady Astwell wciąż patrzyła na niego.

- Pan jest mądry, prawda? - spytała z powątpiewaniem. - Wszyscy tak twierdzą.

Herkules Poirot uśmiechnął się.

- Może kiedyś, *madame*, zechce i pani obdarzyć mnie podobnym komplementem. Wróćmy jednak do motywu. Proszę mi teraz opowiedzieć o domownikach, o wszystkich obecnych w domu w dniu tragedii.

- Oczywiście był Charles.

- O ile zrozumiałem, to siostrzeniec pani męża, nie pani.

- Tak, Charles jest jedynym synem siostry Reubena. Poślubiła stosunkowo bogatego człowieka, ale zdarzył się wypadek - jak to w mieście - i oboje zginęli, a Charles zamieszkał u nas. Miał wówczas dwadzieścia trzy lata i zamierzał zostać adwokatem. Kiedy zdarzyło się nieszczęście, Reuben wziął go do swego biura.

- Pan Charles jest pracowity?

- Lubię ludzi, którzy szybko myślą - oświadczyła lady Astwell z aprobującym skinieniem. - Nie, kłopot polega na tym, że Charles nie jest pracowity. Zawsze miał kłótnie z wujem z powodu jakiegoś nieporządku czy bałaganu. To nie znaczy, że biedny Reuben był łatwym człowiekiem. Wiele razy mówiłam mu, że zapomniał już, jak sam był młody. Wtedy był zupełnie inny.

Lady Astwell westchnęła ciężko.

- Zmiany muszą następować, *madame*. Takie jest prawo.

- Choć - dodała lady Astwell - dla mnie nigdy nie był szorstki. A przynajmniej, jeśli był, zawsze tego żałował - biedny, kochany Reuben.

- Był trudny w pożyciu?

- Zawsze potrafiłam sobie z nim poradzić - rzekła lady Astwell z miną pogromcy lwów. - Czasami jednak bywał okropny, zwłaszcza kiedy rozgniewał się na służbę. Są na to różne sposoby, ale Reuben nie trafiał na właściwy.

- A jak *sir* Reuben rozporządził swoimi pieniędzmi?

- Zostawił połowę mnie, a połowę Charlesowi - odpowiedziała lady Astwell natychmiast. - Prawnicy nie wyjaśniają tego tak prosto, ale na to wychodzi.

Poirot skinął głową.

- Rozumiem, tak, rozumiem - mruknął. - A teraz, lady Astwell, chciałbym poprosić, by opisała

mi pani domowników. Domownicy to pani, *sir* Reuben, siostrzeniec *sir* Reubena pan Charles Levenson, jego sekretarz pan Owen Trefusis i panna Lily Margrave. Może powie mi pani coś o tej młodej damie.

- Chce pan dowiedzieć się czegoś o Lily?

- Tak. Jak długo jest u pani?

- Około roku. Miałam mnóstwo sekretarek i dam do towarzystwa, ale jakoś wszystkie, prędzej czy później, działały mi na nerwy. Lily jest inna. Taktowna, rozsądna, a przy tym ma miły wygląd. Jestem dziwną osobą; czuję po prostu sympatię albo antypatię. Jak tylko zobaczyłam tę dziewczynę, powiedziałam sobie: „ta będzie dobra”.

- Poleciał ją pani ktoś z przyjaciół?

- Chyba odpowiedziała na ogłoszenie w gazecie. Tak, tak było.

- Wie pani coś o jej rodzinie, skąd pochodzi?

- Jej rodzice, zdaje się, wyjechali do Indii. Nie wiem o nich wiele, ale na pierwszy rzut oka widać, że Lily jest damą.

- Och, na pewno, na pewno.

- Naturalnie - ciągnęła lady Astwell - ja sama nie jestem damą. Wiem o tym i służba również, ale nie jestem małoduszna. Potrafię docenić klasę u innych, a nikt nie mógłby być dla mnie miłszy niż Lily. Uważałam tę dziewczynę niemal za córkę, naprawdę, panie Poirot.

Ręka Poirota bezwiednie uporządkowała parę przedmiotów, leżących na stole przed nim.

- *Sir* Reuben podzielał te uczucia?

Patrzył na drobiazgi, ale niewątpliwie zauważył pauzę przed odpowiedzią lady Astwell.

- Z mężczyznami bywa inaczej. Oczywiście, zgadzali się z sobą.

- Dziękuję, *madame* - Poirot uśmiechnął się do siebie.

- I tylko te osoby były w domu tej nocy? Oczywiście oprócz służby.

- Och, był jeszcze Victor.

- Victor?

- Brat mego męża i jego wspólnik.

- Mieszka razem z wami?

- Nie, przyjechał tylko z wizytą. Przez ostatnie parę lat przebywał w Afryce Zachodniej.

- Afryka Zachodnia - mruknął Poirot.

Wiedział już, że lady Astwell sama podejmie temat, jeżeli da się jej na to czas.

- Mówią, że to cudowny kraj, ale myślę, że to takie miejsce, które wywiera bardzo niedobry wpływ na ludzi. Piją za dużo i tracą kontrolę nad sobą. Żaden z Astwellów nie ma łagodnego usposobienia, a Victor od czasu powrotu z Afryki zachowywał się po prostu skandalicznie. Raz czy dwa razy nawet mnie przestraszył.

- Ciekaw jestem, czy przestraszył też pannę Margrave? - mruknął cicho Poirot.

- Lily? Sądzę, że nie widywał jej często.

Poirot zrobił parę notatek w notesie, potem włożył ołówek z powrotem w pętelkę i schował notatnik do kieszeni.

- Dziękuję pani, lady Astwell. Chciałbym teraz, jeśli można, przesłuchać Parsonsa.

- Chciałby pan sprowadzić go tutaj?

Wyciągnęła rękę w kierunku dzwonka. Poirot powstrzymał ją szybko.

- Nie, nie, absolutnie nie. Pójdę do niego.

- Jeżeli sądzi pan, że tak jest lepiej...

Lady Astwell była wyraźnie rozczarowana, że nie będzie mogła uczestniczyć w tej rozmowie. Poirot zrobił dyskretną minę.

- To konieczne - powiedział tajemniczo i opuścił lady Astwell, wywarłszy należyte wrażenie.

Znalazł kamerdynera w kredensie, czyszczącego srebra. Poirot rozpoczął przesłuchanie od jednego ze swoich zabawnych małych ukłonów.

- Muszę panu coś wyjaśnić - rzekł. - Jestem detektywem.

- Tak, *sir*. Domyślaliśmy się.

Jego ton był pełen szacunku, ale i rezerwy.

- Lady Astwell posłała po mnie - ciągnął Poirot. - Nie jest zadowolona, wcale nie jest zadowolona.

- Słyszałem, jak milady mówiła to kilkakrotnie.

- Rzeczywiście, powtarzam panu rzeczy, o których pan już wie. Co? Nie traćmy więc czasu na

głupstwa. Proszę mnie zaprowadzić do swojego pokoju i opowiedzieć mi dokładnie, co pan tam słyszał w noc morderstwa.

Pokój kamerdynera mieścił się na parterze i sąsiedował z jadalnią dla służby. Miał okratowane okna i sejf w rogu. Parsons wskazał na wąskie łóżko.

- Położyłem się o jedenastej. Panna Margrave już poszła spać, a lady Astwell była z *sir* Reubenem w pokoju w Baszcie.

- Lady Astwell była z *sir* Reubenem? Proszę dalej.

- Baszta mieści się dokładnie nad tym pokojem. Jeśli ludzie rozmawiają tam, słysząc głosy, ale naturalnie nie słysząc, co mówią. Musiałem zasnąć o pół do dwunastej. Była dwunasta, kiedy obudziło mnie trzaśnięcie frontowych drzwi i domyśliłem się, że wrócił pan Leverson. Wkrótce usłyszałem odgłos kroków na górze, a po chwili głos pana Leversona, mówiącego coś do *sir* Reubena.

Miałem wtedy wrażenie, że pan Leverson jest - nie powiedziałbym pijany, ale że nieostrożny i hałaśliwy. Krzyczał na swego wuja na całe gardło. Słyszałem pojedyncze słowa, ale za mało, by zrozumieć, o co chodzi, potem nastąpił ostry krzyk i ciężki, głuchy łoskot.

Nastąpiła pauza, potem Parsons powtórzył ostatnie słowa.

- Ciężki, głuchy łoskot - rzekł z naciskiem.

- Jeśli się nie mylę, we wszystkich romansach jest to przytłumiony odgłos.

- Możliwe, *sir* - rzekł Parsons poważnie. - To był ciężki, głuchy łoskot.

- Najmocniej przepraszam.

- Nie ma o czym mówić, *sir*. Po tym stuku, w ciszy, usłyszałem tak wyraźnie jak tylko można głos pana Leversona, który mówił coraz głośniejsze. „Mój Boże” - powiedział, „mój Boże”, właśnie tak, *sir*.

Parsons przeszedł od pierwotnej niechęci do opowiadania, do prawdziwego rozkoszowania się nim. Poirot podtrzymywał go w tym nastroju.

- *Mon Dieu* - mruknął. - Co za emocje musiał pan odczuwać!

- Rzeczywiście, *sir*. Choć wtedy nie myślałem zbyt wiele. Przyszło mi jednak do głowy sprawdzić, czy coś się nie stało. Poszedłem zaświecić światło i dosyć niefortunnie przewróciłem krzesło. Przeszedłem przez jadalnię dla służby i otworzyłem drzwi prowadzące na korytarz. Tylne schody prowadziły na górę, ja stałem na dole, wahając się, i usłyszałem głos pana Leversona na górze, mówiący głośno i wesoło. „Na szczęście nic się nie stało - powiedział - dobranoc” i usłyszałem, jak wychodzi korytarzem do swego pokoju, gwizdząc. Oczywiście zaraz poszedłem do łóżka. Pomyślałem, że po prostu coś się przewróciło. Pytam pana, czy miałem myśleć o tym, że pan

Reuben został zamordowany, jeśli pan Leverson mówił dobranoc i całą resztę?

- Jest pan pewien, że słyszał pan głos pana Leversona? Parsons popatrzył na małego Belga z politowaniem i ten zobaczył jasno, że niezależnie od tego, czy miał rację, kamerdyner wyrobił sobie pogląd na ten temat i trwał przy nim.

- Czy chciałby mnie pan zapytać jeszcze o coś?

- Jest taka rzecz. Czy lubi pan pana Leversona?

- Ja... Przepraszam pana?

- To proste pytanie. Czy lubi pan pana Leversona?

Parsons, początkowo zaskoczony, teraz wydawał się zakłopotany.

- Ogólna opinia służby... - zaczął i przerwał.

- Bardzo proszę. Może pan to tak ująć.

- Ogólnie mówi się, że pan Leverson jest hojny, ale niezbyt inteligentny, jeśli można tak powiedzieć.

- Ach! - rzekł Poirot. - Wiesz, Parsons, że nie widziawszy go, mam dokładnie taką samą opinię o panu Leversonie.

- Coś podobnego, *sir*.

- A jaka jest twoja opinia - przepraszam - opinia służby na temat sekretarza?

- To bardzo spokojny, cierpliwy dżentelmen. Nie lubi sprawiać innym kłopotu.

- *Vraiment*\*. Kamerdyner zakaszłał.

- Milady bywa trochę pochopna w swoich sądach.

- A więc, zdaniem służby, zbrodnię popełnił pan Leverson?

- Nikt z nas nie chce tak myśleć. Zwyczajnie nie myśleliśmy, że miał coś takiego w sobie.

- Ale ma trochę gwałtowny charakter? Parsons podszedł bliżej.

- Jeżeli pan pyta mnie, kto miał najgwałtowniejszy charakter w tym domu...

Poirot powstrzymał go gestem.

- Ach! Nie o to chciałem zapytać. Moje pytanie brzmiałoby, kto najlepiej panuje nad sobą.

Parsons patrzył na niego z otwartymi ustami.

Poirot nie tracił czasu. Lekko się skłonił - był zawsze uprzejmy - i opuścił pokój, by udać się do wielkiego, kwadratowego hallu Mon Repos. Stał tam chwilę, pogrążony w myślach, potem, kiedy dobiegł go lekki dźwięk, przechylił głowę na bok jak żwawy drozd i wreszcie bezszelestnie wyszedł z hallu.

Zatrzymał się w drzwiach, oglądając pokój - mały pokój, umeblowany jak biblioteka. W dalszym jego końcu, za wielkim biurkiem, siedział szczupły, blady młodzieniec, zajęty pisaniem. Miał cofnięty podbródek i binokle.

Poirot obserwował go chwilę, potem przerwał ciszę, sztucznym i zgoła teatralnym chrząknięciem.

- Hmm.

Młody człowiek za biurkiem przerwał pisanie i odwrócił głowę. Nie wydawał się nadmiernie spłoszony, ale na jego twarzy na widok Poirota pojawił się wyraz zakłopotania.

Detektyw podszedł z lekkim ukłonem.

- Mam honor mówić z panem Trefusisem, prawda? Moje nazwisko brzmi Poirot, Herkules Poirot. Być może słyszał pan o mnie.

- Och... ee... tak, oczywiście - wyjąkał młody człowiek.

Poirot przyjrzał się uważnie.

Owen Trefusis miał trzydzieści trzy lata i detektyw natychmiast zorientował się, dlaczego nikt nie ma zamiaru traktować poważnie oskarżenia lady Astwell. Pan Owen Trefusis był sztywnym, przyzwoitym młodzieńcem, rozbijającym potulnym, którego można łatwo zastraszyć i systematycznie terroryzować. Można było wyczuć z całą pewnością, że nigdy nie okazuje urazy.

- Lady Astwell posłała oczywiście po pana - rzekł sekretarz. - Wspominała, że zamierza to zrobić. Czy mogę panu w czymś pomóc?

Był grzeczny, choć bez wylewności. Poirot usiadł.

- Czy lady Astwell mówiła coś panu o swoich przekonaniach i podejrzeniach?

Trefusis uśmiechnął się lekko.

- O ile wiem, podejrzewa mnie. To absurd, ale tak jest. Od śmierci *sir* Reubena ledwie odzywa się do mnie i cofa się aż pod ścianę, kiedy przechodzę.

Zachowywał się zupełnie naturalnie, a w jego głosie brzmiało raczej rozbawienie niż uraza.

Poirot skinął głową z ujmującą szczerością.

- Między nami mówiąc, to właśnie mi powiedziała. Nie spierałem się z nią, nigdy nie spieram się ze stanowczymi damami. Rozumie pan, że to strata czasu.

- W zupełności.

- Mówię, tak, *madame*, och doskonale, *madame, precisement\*, madame*. Te słowa nie znaczą nic, ale schlebiają. Przeprowadzam własne śledztwo, ponieważ, bądź co bądź, wydaje się niemożliwe, by ktokolwiek oprócz pana Leversona popełnił tę zbrodnię, jednak niemożliwe rzeczy zdarzały się już wcześniej.

- Rozumiem znakomicie pańską sytuację. Jestem całkowicie do pańskich usług.

- *Bon* - odparł Poirot. - Rozumiemy się wzajemnie. Teraz proszę opowiedzieć mi szczegółowo zdarzenia tamtego wieczoru. Zacznijmy od obiadu.

- Leversona nie było na obiedzie, jak pan już niewątpliwie wie. Miał poważną sprzeczkę z wujem i wyszedł na obiad do klubu golfowego. W efekcie *sir* Reuben był w bardzo złym humorze.

- To był niezbyt miły pan, co? Trefusis uśmiechnął się.

- Och! Prawdziwy diabeł! Przez dziewięć lat, które z nim przepracowałem, poznałem jego sztuczki. Był bardzo trudnym człowiekiem. Miewał dziecinne napady wściekłości i ubliżał każdemu, kto był w pobliżu. Przywykłem do tego. Nie zwracałem uwagi na to, co mówił. Nie był złym człowiekiem, ale potrafił zachowywać się niemądrze i irytująco. Najważniejszą rzeczą było nie odgryzać mu się.

- Czy inni ludzie byli równie mądrzy jak pan?

Trefusis wzruszył ramionami.

- Lady Astwell lubiła dobrą awanturę - powiedział.

- W najmniejszym stopniu nie obawiała się *sir* Reubena, zawsze stawiała mu czoło i odpłacała pięknym za nadobne. Później zawsze się godzili. *Sir* Reuben był jej naprawdę oddany.

- Tego wieczoru też się pokłócili?

Sekretarz spojrział na niego spod oka i zawahał się.

- Wydaje mi się, że tak; dlaczego pan pyta?

- To tylko pewien pomysł, nic więcej.

- Nie wiem na pewno - wyjaśnił sekretarz - wyglądało jednak, że mają taki zamiar.



Poirot nie drażył tematu.

- Kto jeszcze był na obiedzie?

- Panna Margrave, pan Victor Astwell i ja.

- Co było potem?

- Poszliśmy do bawialni. *Sir* Reuben nie towarzyszył nam. Mniej więcej dziesięć minut później wszedł i zwymyślał mnie z powodu drobnej sprawy z listem. Poszedłem z nim do Baszty i poprawiłem błąd; potem wszedł pan Victor Astwell i powiedział, że chciałby pomówić o czymś z bratem, więc wyszedłem i przyłączyłem się do pań.

W jakiś kwadrans później usłyszałem gwałtowny dzwonek *sir* Reubena i Parsons wszedł, mówiąc, że mam natychmiast do niego przyjść. Kiedy wchodziłem do pokoju, pan Victor właśnie wychodził. Prawie mnie przewrócił. Najwyraźniej coś go zdenerwowało, a ma bardzo gwałtowny charakter. Naprawdę mnie nie widział.

- *Sir* Reuben skomentował tę sprawę?

- Powiedział: „Victor jest szalony; kiedyś zrobi komuś coś złego, jak będzie się tak wściekał”.

- Ach! Nie wie pan, o co poszło?

- Nie potrafię powiedzieć.

Poirot bardzo wolno odwrócił głowę i spojrzał na sekretarza. Ostatnie słowa były wypowiedziane za szybko. Doszedł do przekonania, że Trefusis mógłby powiedzieć więcej, gdyby chciał. Ale Poirot nie naciskał.

- A potem? Bardzo proszę, niech pan mówi.

- Pracowałem z *sir* Reubenem około półtorej godziny. O jedenastej weszła lady Astwell i *sir* Reuben powiedział, że mogę pójść do łóżka.

- I poszedł pan? - Tak.

- Wie pan, jak długo żona została u niego?

- Nie mam pojęcia. Jej pokój jest na pierwszym piętrze, a mój na drugim, więc nie słyszałem, kiedy się kładła.

- Rozumiem.

Poirot parę razy skinął głową i poderwał się na nogi.

- A teraz, *monsieur*, proszę mnie zabrać do Baszty. Poszedł za sekretarzem na półpiętro. Tu

Trefusis skręcił w korytarz. Otworzył drzwi znajdujące się na końcu i służbowymi schodami weszli w krótki korytarzyk, również zakończony drzwiami. Przeszli przez te drzwi i znaleźli się na scenie zbrodni.

Był to pokój dwukrotnie wyższy od innych, o boku około dziewięciu metrów. Ściany zdobiły miecze i asagaje, na stołach leżały egzotyczne osobliwości. W dalszym końcu pokoju, we framudze okiennej, stało wielkie biurko. Poirot podszedł prosto do niego.

- Tu właśnie znaleziono *sir* Reubena?

Trefusis przytaknął.

- Zbrodnia została popełniona jedną z tych maczug - wyjaśnił. - Są straszliwie ciężkie. Śmierć musiała być natychmiastowa.

- To potwierdza pogląd, że nie była to zbrodnia z premedytacją. Gwałtowna kłótnia i broń sama wpada w ręce.

- Tak, nie wygląda to dobrze dla biednego Leverzona.

- Ciało upadło twarzą na biurko?

- Nie, ześliznęło się bokiem na podłogę.

- To ciekawe.

- Dlaczego ciekawe?

- Z tego powodu.

Poirot wskazał na nieregularną, okrągłą plamę na lśniącej powierzchni biurka.

- To jest krwawa plama, *mon ami*.

- Krew mogła prysnąć później. A może plama powstała, gdy poruszono ciało.

- Bardzo możliwe, istotnie - rzekł detektyw. - Czy są tu tylko jedne drzwi?

- Tu są schody.

Trefusis odsunął aksamitną portierę w rogu pokoju, tuż przy drzwiach, skąd wąskie, spiralne schody wiodły na górę.

- Ten budynek postawił jakiś astronom. Schody prowadziły do wieży, na której był zainstalowany teleskop. *Sir* Reuben zrobił sobie tam sypialnię i czasem wypoczywał, jeśli pracował do późna.

Poirot wspinał się zwinnie po schodach. Okrągły pokój na górze był skromnie umeblowany. Stało tam łóżko polowe, krzesło i toaletka. Detektyw upewnił się, że nie było drugiego wyjścia, potem zszedł do czekającego Trefusisa.

- Słyszał pan wchodzącego Leversona?

- Do tego czasu mocno spałem.

Poirot skinął głową. Rozejrzył się po pokoju.

- *Eh bien!* - powiedział wreszcie. - Nie sędzę, żeby było tu coś jeszcze, ale może zechce pan zasunąć zasłony.

Trefusis posłusznie zaciągnął ciężkie, czarne zasłony na okno w dalszym końcu pokoju. Poirot zapalił światło, maskowane przez ciężką, alabastrową ampelę, wiszącą pod sufitem.

- Czy na biurku była lampa? - zapytał.

W odpowiedzi sekretarz włączył mocną lampę z zielonym abażurem stojącą na biurku. Poirot zgasił tę lampę, zapalił znowu i ponownie wyłączył.

- *C'est bien!* Skończyłem tutaj.

- Obiad jest o pół do ósmej - mruknął sekretarz.

- Dziękuję panu, panie Trefusis, za pańską uprzejmość.

- Bardzo proszę.

Poirot, zamyślony, poszedł korytarzem do wskazanego mu pokoju. Nieodgadniony George układał rzeczy swojego pana.

- Mój zacny George - powiedział detektyw. - Zapewne na obiedzie spotkam pewnego dżentelmena, który zaczyna mnie wielce intrygować. Człowieka, który wrócił z tropików. I ma tropikalny temperament, że tak powiem. Człowieka, o którym próbował powiedzieć mi Parsons, a o którym nie wspomniała Lily Margrave. Zmarły *sir* Reuben sam miał niezgorszy charakter. Przypuśćmy, że taki człowiek styka się z kimś, kto ma jeszcze gorsze usposobienie niż on - co byś powiedział na to? Pierze zaczęłoby skakać, co?

- „Zaczęłoby fruwać” jest właściwym określeniem, *sir*, i nie zawsze tak musi być, zdecydowanie nie.

- Nie?

- Nie, *sir*. Moja ciocia Jemima miała bardzo ostry język, rugała swoją biedną siostrę, mieszkającą z nią, i zachowywała się skandalicznie. Tamta zamartwiała się na śmierć. Ale jeśli zjawił się ktoś, kto się jej postawił, zachowywała się zupełnie inaczej. Nie potrafiła znieść czyjejs

potulności.

- Ha! - rzekł Poirot. - To mi nasuwa pewną myśl. George chrząknął przepaszająco.

- Czy mogę coś jeszcze zrobić dla pana, *sir*? - zapytał delikatnie. - Pomóc w czymś?

- Na pewno możesz - odparł natychmiast Poirot. - Dowiedz się, jakiego koloru suknię miała panna Margrave tamtego wieczoru, i która pokojówka jej służy.

George przyjął te polecenia ze zwykłą powściągliwością.

- Dobrze, *sir*, będę miał dla pana te wszystkie informacje rano.

Poirot wstał i zapatrzył się na ogień.

- Bardzo mi się przydajesz, George. Wiesz, że nie zapomnę twojej ciotki Jemimy?

Poirot nie spotkał się jednak tego wieczoru z Victorem Astwellem, który zawiadomił telefonicznie, że musi zatrzymać się w Londynie.

- On zajmuje się sprawami pani zmarłego męża? - zapytał Poirot lady Astwell.

- Victor jest jego współnikiem - wyjaśniła. - Pojechał do Afryki, by sprawdzić pewną koncesję dla firmy. Chodziło o kopalnię, prawda, Lily?

- Tak, lady Astwell.

- Kopalnia złota, a może miedzi lub cyny? Powinnaś wiedzieć, Lily, zawsze wypytywałaś o to Reubena. Och, uważaj, moja droga, przewrócisz ten wazon!

- Strasznie tu gorąco od ognia. Mogę otworzyć trochę okno?

- Jak chcesz, kochanie.

Poirot obserwował, jak dziewczyna podchodzi do okna i otwiera je. Stała chwilę, wdychając chłodne nocne powietrze. Gdy wróciła do stołu, Poirot zwrócił się do niej grzecznie.

- Więc *mademoiselle* interesuje się kopalniami?

- Właściwie nie - odpowiedziała obojętnie. - Słuchałam trochę *sir* Reubena, ale praktycznie nic o tym nie wiem.

- Więc dobrze udawałaś - wtrąciła lady Astwell. - Biedny Reuben naprawdę myślał, że masz ukryty powód, by zadawać te wszystkie pytania.

Oczy małego detektywa nie odrywały się od ognia, niemniej nie przeoczył nagłego błysku zmieszania, który przeszedł przez twarz Lily. Taktownie zmienił temat. Gdy zbliżyła się pora udania

się na spoczynek, zwrócił się do gospodyni.

- Mogę zamienić słówko z panią?

Lily Margarve dyskretnie znikła, Lady Astwell popatrzyła na detektywa pytająco.

- Była pani ostatnią osobą, która tej nocy widziała *sir* Reubena żywego?

Przytaknęła. Do oczu napłynęły jej łzy, które szybko otarła chusteczką z czarnym rąbkiem.

- Ach, proszę nie rozpaczać, błagam panią, proszę nie rozpaczać.

- Wszystko w porządku, panie Poirot, po prostu nie potrafię się opanować.

- Jestem potrójnym idiotą, sprawiając pani przykrość w ten sposób.

- Nie, nie, proszę kontynuować. Co chciał pan powiedzieć?

- Było, zdaje się około jedenastej, kiedy weszła pani do Baszty, a *sir* Reuben zwolnił pana Trefusisa. Tak było?

- Mniej więcej.

- Jak długo została pani u męża?

- Za kwadrans dwunasta weszłam do swego pokoju. Pamiętam, bo spojrzałam na zegarek.

- Czy powie mi pani, o czym rozmawiała pani z mężem? Lady Astwell opadła na sofę i załamała się kompletnie.

Jej łkania przybierały na sile.

- Po... pokłóciliśmy się - jęknęła.

- O co? - głos Poirota był przymilny, prawie czuły.

- O mmmństwo rzeczy. Z... z...aczęło się od Lily. Reuben przestał ją lubić - bez powodu - i mówił, że przyłapał ją na buszowaniu w jego papierach. Chciał ją wyrzucić, a ja powiedziałam, że to kochana dziewczyna, i że nie zrobię tego. Wtedy próbował mnie zakrzyczeć, ja się nie dałam i powiedziałam mu, co o nim myślę. To nie znaczy, że tak myślałam naprawdę. On mówił, że wyciągnął mnie z rynsztoka, żeby się ze mną ożenić, a ja na to - ach, czy nie wszystko jedno teraz? Nigdy sobie nie wybaczę. Wie pan, panie Poirot, jak to jest, zawsze utrzymywałam, że dobra awantura oczyszcza powietrze, a skąd mogłam wiedzieć, że ktoś zamierza go zamordować tej właśnie nocy? Biedny, stary Reuben.

Poirot wysłuchał ze współczuciem całego tego wybuchu.

- Stałem się przyczyną pani cierpienia. Proszę o wybaczenie. Bądźmy teraz bardziej rzeczowi - praktyczni, dokładni. Pani wciąż upiera się przy swojej myśli, że to pan Trefusis zamordował *sir* Reubena?

Lady Astwell wyprostowała się.

- Instynkt kobiecy nigdy nie kłamie.

- Oczywiście - rzekł Poirot. - Ale kiedy to zrobił?

- Kiedy? Rzecz jasna po tym, jak wyszłam od męża.

- Opuściła pani *sir* Reubena. Za pięć dwunasta wszedł do niego pan Leverson. Czy w ciągu dziesięciu minut sekretarz mógłby przyjść ze swojej sypialni i zamordować go?

- To zupełnie wykonalne.

- Tak wiele rzeczy jest możliwych - rzekł Poirot. - Dałoby się załatwić to w dziesięć minut. O, tak! Ale czy tak się właśnie stało?

- On oczywiście twierdzi, że był w łóżku i mocno spał - odparła lady Astwell - kto jednak wie, czy tak było naprawdę?

- Nikt go nie widział - przypomniał jej Poirot.

- Wszyscy byli w łóżkach i spali twardo - powiedziała lady Astwell triumfująco. - Jasne, że nikt go nie widział.

- Ciekaw jestem - mruknął Poirot do siebie. Nastąpiła krótka pauza.

- *Eh bien*, lady Astwell. Życzę pani dobrej nocy.

George postawił tacę z poranną kawą przy łóżku swego pana.

- Panna Margrave tamtego wieczoru nosiła suknię z jasnozielonego szyfonu, *sir*.

- Dziękuję, George, jesteś niezawodny.

- Zajmuje się nią trzecia pokojówka, *sir*. Na imię jej Gladys.

- Dziękuję, George. Jesteś nieoceniony.

- To nic wielkiego, *sir*.

- Piękny ranek - rzekł Poirot, wyglądając przez okno - i wydaje się, że nikt nie wstał tak wcześnie. Myślę, George, że gdy zechcemy przeprowadzić mały eksperyment, będziemy mieli Basztę

dla siebie.

- Pan mnie potrzebuje?

- Eksperyment nie będzie przykry.

Kiedy przybyli do Baszty, zasłony były jeszcze zaciągnięte. George chciał je odsunąć, ale Poirot powstrzymał go.

- Zostawmy pokój tak, jak jest. Zapal tylko lampę na biurku.

Lokaj posłuchał go.

- Teraz, mój zacny George'u, usiądź w tym fotelu. Upozuj się tak, jakbyś pisał. *Tres bien*\*. Ja wezmę maczugę, zakradnę się z tyłu i uderzę cię w tył głowy.

- Tak jest, *sir*.

- Kiedy cię uderzę, przerwij pisanie. Pojmujesz, że nie mogę być dokładny. Nie mogę uderzyć cię z taką siłą, z jaką zabójca uderzył *sir* Reubena. Gdy dojdziemy do tego punktu, musimy symulować. Uderzam cię w głowę, a ty padasz. Ramiona swobodne, ciało wiotkie. Pozwól, że cię ułożę. Ale nie, nie napinaj mięśni.

Westchnął z irytacją.

- Wspaniale prasujesz spodnie, George, ale nie masz wyobraźni. Pozwól, że zajmę twoje miejsce.

Z kolei Poirot usiadł przy biurku.

- Piszę - oznajmił. - Pracowicie piszę. Ty zakradasz się, uderzasz mnie w głowę maczugą. Łup! Pióro wyslizguje mi się z palców, padam do przodu, ale niezbyt daleko, ponieważ krzesło jest niskie, a biurko wysokie i podtrzymują mnie ramiona. Bądź tak dobry, George, idź do drzwi, stań tam i powiedz mi, co widzisz.

- Aha!

- Tak, George?

- Widzę, jak siedzi pan za biurkiem.

- Siedzę?

- Trochę trudno zobaczyć wyraźnie, będąc tak daleko i przy świetle tak przyćmionym. Czy mogę zapalić tę lampę?

Sięgnął do kontaktu.

- Absolutnie nie - odparł stanowczo Poirot. - Wszystko jest tak, jak trzeba. Tu jestem ja pochylony nad biurkiem, tam ty stoisz przy drzwiach. Podejdź teraz, George, podejdź i połóż mi rękę na ramieniu. George zrobił to posłusznie.

- Oprzyj się na mnie trochę, George, żeby zachować równowagę. *Voilà*.

Bezwładne ciało Herkulesa Poirot osunęło się artystycznie na bok.

- Padam w ten sposób! - zauważył. - Tak, to bardzo dobrze pomyślane. Trzeba teraz zrobić najważniejszą rzecz.

- Tak, *sir*?

- Muszę koniecznie zjeść dobre śniadanie.

Detektyw zaśmiał się serdecznie ze swego żartu.

- Żołądek, George; nie można zapomnieć o żołądku.

George zachował pełne dezaprobaty milczenie. Poirot szedł na dół, chichocząc z zadowoleniem. Był rad z rozwoju sytuacji. Po śniadaniu zawarł znajomość z Gladys, trzecią pokojówką. Był bardzo ciekaw, co mogłaby mu powiedzieć na temat zbrodni. Współczuła Charlesowi, ale nie miała wątpliwości, że jest winny.

- Biedny młody pan, to bardzo przykre, że nie mógł się wtedy opanować.

- On i panna Margrave powinni być w dobrych stosunkach - wysunął przypuszczenie detektyw. - To jedyni młodzi ludzie w tym domu.

Gladys potrząsnęła głową.

- Panna Lily trzymała go na dystans. Nie chciała żadnych flirtów i stawiała sprawę jasno.

- A jemu się podobała?

- Och, to było przejściowe zauroczenie. Za to pan Victor Astwell jest naprawdę zakochany w pannie Lily.

Zachichotała.

- Ach, *vraiment!*\*

Gladys zachichotała znowu.

- Z miejsca się w niej zakochał. Panna Lily jest podobna do lilii, prawda? Taka wysoka i ma takie śliczne, złote włosy.



- Powinna nosić zieloną, wieczorową suknię - rozmarzył się Poirot. - Jest pewien odcień zieleni...

- Ona ma taką, *sir*. Oczywiście nie nosi jej teraz, jak jest żałoba, ale miała ją tego właśnie wieczoru, kiedy zginął *sir* Reuben.

- Powinna być jasnozielona, nie ciemna.

- Jest jasnozielona. Jeśli poczeka pan moment, pokażę panu. Panna Lily właśnie wyszła z psami.

Poirot skinął głową. Wiedział o tym równie dobrze jak Gladys. W rzeczywistości ruszył na poszukiwanie pokojówki, dopiero jak ujrzał, że Lily spokojnie się oddala.

Gladys wybiegła i po chwili wróciła z zieloną, wieczorową suknią na wieszaku.

- *Exquis!* - mruknął Poirot, podnosząc ręce w podziwie. - Proszę pozwolić mi wziąć ją na moment do światła.

Wziął sukienkę od Gladys, odwrócił się i podszedł do okna. Pochylił się nad nią, potem wyciągnął rękę na całą długość.

- Jest cudowna - oświadczył - zachwycająca. Tysiącne dzięki za pokazanie mi jej.

- Drobiazg, *sir*. Wiemy, że Francuzi interesują się damskimi sukniami.

- Jesteś bardzo uprzejma.

Patrzył za nią, kiedy odchodziła z sukienką. Potem spojrział na swoje ręce i uśmiechnął się. W prawej ręce trzymał małe nożyczki do paznokci, w lewej - zręcznie wycięty fragment zielonego szyfonu.

- A teraz - mruknął - nastąpi coś mocnego. Wrócił do swego apartamentu i wezwał George'a.

- Na toaletce znajdziesz złotą szpilkę do krawata.

- Tak, *sir*.

- Na umywalce stoi roztwór karbolu. Zanurz w nim koniec szpilki.

George zastosował się do polecenia. Kaprysy jego pana dawno już przestały go dziwić.

- Gotowe, *sir*.

- *Tres bien!* Podejdz. Podam ci mój palec wskazujący; wbij w niego koniec szpilki.

- Przepraszam, *sir*, chce pan, żebym pana ukłuł?

- Ależ tak, dobrze zrozumiałeś. Musi ukazać się krew, rozumiesz, ale nie za dużo.

George ujął palec swego pana. Poirot zamknął oczy i odchylił głowę. Lokaj ukłuł go w palec, a detektyw wrzasnął głośno.

- *Je vous remercie\**, George - powiedział. - Zrobiłeś to jak trzeba.

Wyjął strzępek zielonego szyfonu z kieszeni i potarł delikatnie palcem.

- Operacja udała się cudownie - oświadczył, patrząc na rezultat. - Nie jesteś ciekaw, George? Popatrz, to godne podziwu.

Kamerdyner spojrział dyskretnie przez okno.

- Przepraszam, *sir*, przyjechał jakiś dżentelmen wielkim samochodem.

- Ach! - Poirot zerwał się z wawo. - Nieuchwytny pan Victor Astwell. Pójdę zawrzeć z nim znajomość.

Poirot usłyszał Victora Astwela, zanim go zobaczył. Z hallu dobiegał gromki głos.

- Uważaj, co robisz, cholerny idioto! W tej skrzyni jest szkło. Niech cię diabli, Parsons, zmiataj z drogi! Połóż to, durniu!

Poirot zwinnie zbiegł ze schodów. Victor Astwell był wielkim mężczyzną. Poirot skłonił się mu grzecznie.

- Kim pan jest, u diabła? - ryknął olbrzym.

Poirot skłonił się ponownie.

- Nazywam się Herkules Poirot.

- Na Boga! Więc Nancy mimo wszystko wezwała pana, co? Położył rękę na ramieniu Poirota i skierował go do biblioteki.

- To pan jest facetem, o którego było tyle szumu - zauważył, oglądając detektywa od stóp do głów. - Przepraszam za mój język. Ten mój szofer jest przeklętym osłem, a Parsons zawsze działa mi na nerwy, skończony stary kretyn. Wie pan, nie znoszę durniów - rzekł, jakby się tłumaczył - ale według tego, co mówią, pan nie jest głupcem, co?

Zaśmiał się jowialnie.

- Ci, którzy tak sądzili, grubo się pomylili.

- Naprawdę? Więc Nancy ściągnęła pana - ma bzika na punkcie sekretarza. I nic dziwnego; Trefusis jest mdły jak mleko - i pija głównie mleko. Facet jest abstynentem. Traci pan czas na darmo, co?

- Jeżeli ma się okazję do obserwowania natury ludzkiej, czas nie jest stracony - rzekł spokojnie Poirot.

- Natury ludzkiej?

Victor Astwell patrzył na niego chwilę, a potem rzucił się na krzesło.

- Mogę coś dla pana zrobić?

- Tak, może mi pan powiedzieć, o co pokłócił się pan z bratem tego wieczoru.

Astwell potrząsnął głową.

- Nie ma to nic wspólnego z tą sprawą - odparł stanowczo.

- Nigdy nie można być pewnym.

- To nie miało nic wspólnego z Charlesem Leversonem.

- Lady Astwell uważa, że ten Charles nie ma nic wspólnego ze zbrodnią.

- Och, Nancy!

- Parsons przypuszcza, że to pan Leverson wszedł tamtej nocy do Baszty, ale nie widział go.

Proszę pamiętać, że nikt go nie widział.

- To bardzo proste. Reuben napadł na młodego Charlesa, zresztą nie bez powodu. Później próbował znęcać się nade mną. Powiedziałem mu parę słów prawdy i żeby go zdenerwować, wziąłem stronę chłopca. Zamierzałem zobaczyć się z nim wieczorem i powiedzieć mu, jaka jest sytuacja. Kiedy poszedłem do pokoju, nie położyłem się do łóżka. Zostawiłem drzwi otwarte i siedziałem na krześle, paląc papierosa. Mój pokój jest na drugim piętrze, a Charles ma pokój sąsiedni.

- Przepraszam, że przerywam - czy pan Trefusis też śpi na tym samym piętrze?

Astwell przytaknął.

- Tak, jego pokój jest za moim.

- Bliżej schodów?

- Nie, z drugiej strony.

Na twarzy Poirota błysnęło zaniepokojenie, ale rozmówca nie zauważył tego.

- Jak mówiłem, czekałem na Charlesa. Usłyszałem trzask frontowych drzwi, jak mi się zdaje, za pięć dwunasta, ale w ciągu dziesięciu minut Charlesa nie było. Kiedy wszedł po schodach,

zobaczyłem, że zatrzymywanie go tego wieczoru nie było dobrym pomysłem.

Prztyknął się znacząco w szyję.

- Rozumiem - mruknął Poirot.

- Biedak nie mógł iść prosto. Wyglądał okropnie. Odniosłem to wówczas do jego stanu. Teraz oczywiście zdaję sobie sprawę, że przyszedł natychmiast po popełnieniu zbrodni.

Poirot wtrącił szybkie pytanie.

- Nie słyszał pan żadnych odgłosów z Baszty?

- Nie, ale musi pan pamiętać, że byłem dokładnie po przeciwnej stronie budynku. Ściany są grube i nie wierzę, żeby można było stamtąd usłyszeć nawet wystrzał z pistoletu.

Poirot skinął głową.

- Spytałem, czy pomóc mu położyć się do łóżka - ciągnął Astwell. - Odpowiedział, że czuje się dobrze, wszedł do pokoju i zatrzasnął drzwi. Wtedy rozebrałem się i poszedłem do łóżka.

Poirot wpatrywał się w zamyśleniu w dywan.

- Jest pan świadom, panie Astwell, że pańskie zeznanie jest niezwykle ważne?

- Przynajmniej tak sędzę - ale co pan ma na myśli?

- Chodzi mi o pańskie zeznanie, że upłynęło dziesięć minut między trzaśnięciem drzwi, a pojawieniem się Leversona na górze. On sam utrzymuje, o ile mi wiadomo, że po wejściu do domu poszedł prosto do łóżka. Ale jest coś więcej. Przyznaję, że oskarżenie sekretarza przez lady Astwell jest bzdurne, ale do chwili obecnej nie można było go wykluczyć. Pańskie zeznanie stwarza mu jednak alibi.

- Jak to?

- Lady Astwell powiada, że opuściła męża za kwadrans dwunasta, a sekretarz położył się o jedenastej. Zbrodnię popełnić mógłby zatem między za piętnaście dwunasta, a powrotem pana Leversona. Jeśli pan mówi, że siedział pan przy otwartych drzwiach, nie mógłby wrócić do swego pokoju, nie będąc zauważony przez pana.

- Tak jest - zgodził się tamten.

- Nie ma drugiej klatki schodowej?

- Nie, żeby dotrzeć do Baszty musiałby przejść obok mego pokoju, a nie przechodził, jestem tego pewien. A tak czy owak, jak już powiedziałem, facet jest łagodny jak ksiądz proboszcz.

- Tak, ależ tak - rzekł Poirot uspokajająco. - Rozumiem doskonale. - Przerwał. - A więc nie chce mi pan powiedzieć, czego dotyczyła pana kłótnia z *sir* Reubenem?

Twarz Astwella poczerwieniała.

- Nie wyciągnie pan ze mnie niczego.

Poirot popatrzył na sufit.

- Zawsze potrafiłem zachować dyskrecję w sprawach związanych z kobietami - mruknął.

Victor Astwell skoczył na równe nogi.

- O do licha, jak to... co pan ma na myśli?

- Miałem na myśli pannę Lily Margrave.

Victor Astwell stał chwilę niezdecydowanie, potem jego rumieniec zbladł, a on znowu usiadł.

- Jest pan dla mnie za sprytny, panie Poirot. Tak, pokłóciliśmy się właśnie o Lily. Reuben uważał ją za wroga; musiał wywęszyc coś o dziewczynie - fałszywe referencje albo coś takiego. Nie wierzę w ani jedno słowo. A potem posunął się dalej, niż miał prawo, mówiąc, że wykrada się nocą z domu na spotkania z jakimś mężczyzną. Mój Boże! Objechałem go; powiedziałem, że lepsi niż on dostawali w czapę za mniejsze gadanie. To go zatkało. Reuben trochę się mnie obawiał, kiedy mnie nachodziło.

- Trudno mu się dziwić - mruknął grzecznie Poirot.

- Myślę często o Lily Margrave - odezwał się Victor innym tonem. - Miła dziewczyna, pod każdym względem.

Poirot nie odpowiedział. Zapatrzył się przed siebie, pogrążony w myślach. Drgnął, wydobywając się z ponurej zadumy.

- Muszę się chyba troszkę przespacerować. Jest tutaj hotel?

- Nawet dwa - odparł Astwell. - Golf Hotel przy polach golfowych i Mitre obok stacji.

- Dziękuję panu. Tak, na pewno muszę pójść na przechadzkę.

Golf Hotel, stojący przy polach golfowych, stykał się prawie z budynkiem klubu. Tam właśnie udał się Poirot w czasie przechadzki, na którą jak obwieścił, zamierzał pójść. Mały detektyw miał własne sposoby. Trzy minuty po wejściu do hotelu był pogrążony w prywatnej rozmowie z zarządzającą, panną Langdon.

- Przykro mi, że zakłócam pani spokój, *mademoiselle*, ale, widzi pani, jestem detektywem.

W tym wypadku szczerść okazała się skuteczna.

- Detektywem! - krzyknęła panna Langdon, patrząc na niego nieufnie.

- Nie jestem ze Scotland Yardu - zapewnił ją Poirot. - Może zwróciła pani uwagę? Nie jestem Anglikiem. Prowadzę prywatne śledztwo w sprawie śmierci *sir* Reubena Astwella.

- Coś podobnego! - panna Langdon wytrzeszczyła na niego oczy.

- Właśnie - rzekł Poirot, skłaniając głowę. - Tylko komuś tak dyskretnemu jak pani mogę ujawnić ten fakt. Sądzę, *mademoiselle*, że będzie pani w stanie mi pomóc. Może mi pani powiedzieć, czy któryś z mieszkających tu w noc morderstwa dżentelmenów był nieobecny wieczorem i wrócił około dwunastej lub pół do pierwszej w nocy?

Panna Langdon otworzyła oczy jeszcze szerzej.

- Nie myśli pan...? - wy dyszała.

- Że miała tu pani mordercę? Nie, ale mam powody przypuszczać, że ktoś z pani gości przeszedł się tego wieczoru w kierunku Mon Repos i mógł widzieć coś, co nie ma znaczenia dla niego, a może być dla mnie bardzo użyteczne.

Zarządzająca kiwnęła głową mądrze, jak ktoś, kto zna dobrze kroniki detektywistyczne.

- Znakomicie rozumiem. Chwileczkę, sprawdzmy; kogo mieliśmy wtedy?

Zmarszczyła brwi, przebiegając w pamięci nazwiska i pomagając sobie od czasu do czasu wyliczaniem ich na palcach.

- Kapitan Swann, pan Elkins, major Blyunt, stary pan Benson. Nie, *sir*, naprawdę nie sądzą, by któryś z nich wychodził.

- A zauważyłaby pani to?

- Och tak, to się nie zdarza często. To znaczy, panowie wychodzą na obiad i tak dalej, ale nie oddalają się po obiedzie, ponieważ nie ma tu dokąd iść, prawda? Jedyłą atrakcją Abbots Cross był golf.

- Ma pani rację - zgodził się Poirot. - A więc, o ile pani pamięta, nikt nie wychodził tego wieczoru?

- Kapitan England z żoną poszli na obiad.

Poirot potrząsnął głową.

- Nie o to mi chodzi. Spróbuję w innym hotelu, Mitre, prawda?

- Och, Mitre - zauważyła panna Langdon. - Oczywiście, stamtąd każdy mógł wyjść na spacer.

Lekceważący ton w jej głosie był słaby, ale wyraźny. Poirot taktownie się oddalił.

Dziesięć minut później scena powtórzyła się, tym razem z panną Cole, szorstką kierowniczką Mitre, hotelu o mniejszych pretensjach i niższych cenach, usytuowanego obok stacji.

- O ile pamiętam, był pewien dżentelmen, który wyszedł późno tego wieczoru i wrócił o pół do pierwszej. Miał zwyczaj wychodzić o tej porze na spacer. Robił to już raz czy dwa przedtem. Zaraz, jak on się nazywał? Chwileczkę, nie mogę sobie przypomnieć.

Przysunęła do siebie wielką księgę i zaczęła przerzucać strony.

- Dziewiętnasty, dwudziesty, dwudziesty pierwszy, dwudziesty drugi. Ach, mam. Naylor, kapitan Humphrey Naylor.

- Mieszkał już tutaj? Zna go pani dobrze?

- Zatrzymał się tu raz, mniej więcej dwa tygodnie wcześniej. Pamiętam, że wyszedł tego wieczoru.

- Przyjechał tu grać w golfa?

- Pewnie tak. Większość panów przyjeżdża w tym celu.

- To prawda. Cóż, dziękuję pani stokrotnie i życzę dobrego dnia.

Wrócił do Mon Repos głęboko zamyślony. Parę razy wyjmował coś z kieszeni i przyglądał się.

- Trzeba to zrobić - mruknął do siebie - natychmiast, kiedy tylko nadarzy się okazja.

Po powrocie pierwszą rzeczą było zapytanie Parsonsa, gdzie można znaleźć pannę Margrave. Dowiedział się, że jest w małym gabinecie i załatwia korespondencję razem z lady Astwell; ta informacja zdawała się sprawić Poirotowi satysfakcję.

Bez trudności odszukał mały gabinet. Lily siedziała przy biurku koło okna, pisząc. Oprócz niej w pokoju nie było nikogo. Poirot starannie zamknął drzwi i podszedł do dziewczyny.

- Mogę zająć pani minutkę, *mademoiselle*?

- Naturalnie.

Lily Margrave odsunęła papiery i obróciła się do niego.

- Co mogę dla pana zrobić?

- Dowiedziałem się, że w tragiczny wieczór, kiedy lady Astwell poszła do męża, pani udała się prosto do łóżka. Czy tak?

Dziewczyna przytaknęła.

- Nie schodziła pani przypadkiem na dół? Potrząsnęła głową.

- Mówiła pani, zdaje się, że tego wieczoru nie wchodziła pani do Baszty o żadnej porze?

- Nie przypominam sobie, żebym tak mówiła, ale istotnie to prawda. Tego wieczoru nie byłam w Baszcie.

Poirot podniósł brwi.

- To ciekawe - mruknął.

- Co ma pan na myśli?

- Bardzo ciekawe - mamrotał dalej Herkules Poirot. - Jak pani zatem wyjaśni to?

Wyjął z kieszeni strzępek poplamionego zielonego szyfonu i podniósł go, by dziewczyna mogła obejrzeć.

Wyraz jej twarzy nie zmienił się, natomiast poczuł raczej, niż usłyszał, jak zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Nie rozumiem, panie Poirot.

- O ile wiem, nosiła pani tego wieczoru zieloną szyfonową suknię. Ten kawałek - popukał delikatnie palcem strzępek - został wydarty właśnie z niej.

- I znalazł go pan w Baszcie? - zapytała ostro dziewczyna. - A gdzież to?

Poirot popatrzył na sufit.

- Może na razie powiemy tylko - w Baszcie?

Po raz pierwszy w oczach dziewczyny pojawił się lęk. Zaczęła coś mówić, potem zamilkła. Poirot obserwował, jak jej małe, białe dłonie zaciskają się na brzegu biurka.

- Zastanawiam się, czy wchodziłam do Baszty tego wieczoru - rozważała. - Może przed obiadem, ale nie sądzę. Jestem prawie pewna, że nie byłam tam. Jeśli ten skrawek był tam cały czas, wydaje mi się niezmiernie dziwne, że policja nie znalazła go natychmiast.

- Policja nie myśli o tym, o czym myśli Herkules Poirot.

- Mogłam tam wpaść na moment tuż przed obiadem - zadumała się Lily. - A może było to



poprzedniego wieczoru. Nosilaam wtedy tę samą suknię. Tak, jestem prawie pewna, że było dzień wcześniej.

- Nie sądzę - rzekł Poirot monotonie.

- Dlaczego?

On tylko kręcił powoli głową.

- Co pan ma na myśli? - szepnęła dziewczyna. Nachyliła się, wpatrując się w niego, a krew odpłynęła jej z twarzy.

- Zauważyła pani, *mademoiselle*, że ten kawałek jest splamiony? Ta plama pochodzi niewątpliwie z krwi ludzkiej.

- Chce pan powiedzieć...

- Chcę powiedzieć, że była pani w Baszcie po popełnieniu zbrodni, nie wcześniej. Żeby nie wpaść w kłopoty, zrobi pani lepiej, mówiąc mi całą prawdę.

Stał teraz wyprostowany, a jego palec wskazywał ją oskarżycielsko.

- Jak pan to odkrył? - spytała Lily bez tchu.

- To nie ma znaczenia, *mademoiselle*. Herkules Poirot wie. Wiem wszystko o kapitanie Humphreyu Naylorze, wiem, że wyszła pani tamtego wieczoru spotkać się z nim.

Lily nagle oparła głowę na ramionach i wybuchnęła łzami. Poirot natychmiast porzucił swe oskarżycielskie nastawienie.

- No, no, moje dziecko - powiedział, klepiąc dziewczynę po ramieniu. - Proszę się nie martwić. Nie da się wprowadzić w błąd Herkulesa Poirota; jak to zrozumiesz, wszystkie kłopoty się skończą. A teraz opowiesz mi całą historię, dobrze? Opowiesz staremu papie Poirotowi?

- Nie jest wcale tak, jak pan myśli. Humphrey - mój brat - nigdy nawet go nie tknął.

- Ach, pani brat? Więc o to chodzi. Jeśli chce pani uchronić go przed podejrzeniami, musi pani opowiedzieć mi całą historię, nie tając niczego.

Lily usiadła, odgarniając włosy z czoła. Po chwili zaczęła mówić cichym, czystym głosem.

- Powiem panu prawdę. Widzę teraz, że byłoby absurdem postąpić inaczej. Naprawdę nazywam się Lily Naylor, a Humphrey jest tylko moim bratem. Kilka lat temu wyjechał do Afryki, odkrył tam kopalnię złota, a raczej odkrył obecność złota. Nie potrafię opowiedzieć panu tego dokładnie, ponieważ nie rozumiem szczegółów technicznych, w każdym razie było mniej więcej tak. Zapowiadało się, że będzie to duże przedsięwzięcie, i brat przyjechał do kraju z listami do *sir* Reubena w nadziei, że uda się go zainteresować sprawą. Nawet teraz nie rozumiem strony prawnej,

ale zdaje się *sir* Reuben wysłał eksperta, który miał zdać mu sprawę i w efekcie oświadczył bratu, że raport eksperta był niepomyślny i że on, Humphrey, popełnił wielką omyłkę. Brat wrócił do Afryki na ekspedycję w głąb lądu i zniknął na jakiś czas. Uważano, że zaginął wraz z wyprawą.

Niedługo potem stworzono spółkę *Złóża Złota Mpala*. Gdy mój brat wrócił do Anglii, doszedł do wniosku, że są to złoża odkryte przez niego. *Sir* Reuben Astwell podobno nie miał nic wspólnego ze spółką, która najwidoczniej sama dokonała odkrycia. Brat nie był jednak usatysfakcjonowany; uważał, że *sir* Reuben rozmyślnie go oszukał. Cała sprawa martwiła go i denerwowała coraz bardziej. Jesteśmy sami na świecie, musiałam zatem pracować na życie. Wpadłam na myśl, by podjąć pracę tutaj i próbować wykryć, czy istnieje związek między *sir* Reubenem a *Złożami Złota Mpala*. Z oczywistych powodów zataiłam prawdziwe nazwisko i, muszę przyznać szczerze, posłużyłam się fałszywymi referencjami. Do tej pracy zgłosiło się wiele kandydatek, większość z nich z lepszymi kwalifikacjami niż ja, więc napisałam piękny list od księżnej Portshire, o której wiedziałam, że wyjechała do Ameryki. Spodziewałam się, że księżna zrobi wielkie wrażenie na lady Astwell, i miałam rację. Z miejsca mnie zatrudniła. Od tej pory stałam się wstrętnym szpiegiem i dopiero niedawno odniosłam sukces. *Sir* Reuben nie należał do ludzi, którzy zdradzają swoje zawodowe sekrety, ale gdy Victor Astwell wrócił z Afryki, nie był tak ostrożny i zaczęłam przypuszczać, że mimo wszystko Humphrey się nie mylił. Brat przyjechał tutaj dwa tygodnie przed morderstwem, ja zaś wykradłam się w nocy, by się z nim spotkać. Powtórzyłam mu, co mówił Victor Astwell, a on bardzo się podniecił i zapewnił mnie, że jestem na dobrym tropie. Potem jednak wszystko zaczęło się psuć; ktoś musiał zobaczyć mnie, jak wymykam się z domu, i donieść o tym *sir* Reubenowi. Stał się podejrzliwy, odnalazł moje referencje i wkrótce wykrył, że zostały sfalszowane. Kryzys nadszedł w dniu morderstwa. Wydaje mi się, że sądził, iż czyham na biżuterię jego żony. Jakikolwiek były jego podejrzenia, nie zgadzał się, bym została dłużej w *Mon Repos*, choć zgodził się nie ścigać mnie z powodu referencji. Lady Astwell trzymała niezłomnie moją stronę i mężnie opierała się *sir* Reubenowi.

Przerwała. Twarz Poirota była bardzo poważna.

- A teraz, *mademoiselle*, przejdźmy do nocy morderstwa.

Lily dzielnie stłumiła łzy i skinęła głową.

- Przede wszystkim, panie Poirot, muszę panu powiedzieć, że mój brat przyjechał znowu, a ja umówiłam się z nim, że wymknę się i spotkam z nim jeszcze raz. Poszłam do pokoju, jak już mówiłam, ale nie położyłam się do łóżka. Poczekalam, aż wszyscy - jak mi się zdawało - usnęli, zeszłam i wymknęłam się przez boczne drzwi. Spotkałam się z Humphreym i w paru pośpiesznych słowach powiadomiłam go, co zaszło. Powiedziałam mu, że papiery, o które mu chodziło, są prawdopodobnie w sejfie *sir* Reubena w *Baszcie*. Zdecydowaliśmy się zaryzykować raz jeszcze i spróbować wydobyć je tego wieczoru.

Poszłam przedtem, by zobaczyć, czy droga jest wolna. W chwili gdy wchodziłam przez boczne drzwi, usłyszałam, jak zegar bije dwunastą. Byłam w połowie schodów prowadzących do *Baszty*, gdy dobiegł mnie odgłos czegoś padającego i okrzyk „O Boże!”. Chwilę później drzwi prowadzące do *Baszty* otworzyły się i wyszedł stamtąd Charles Leveston. W świetle księżyca zupełnie wyraźnie widziałam jego twarz, ale on nie widział mnie, gdyż skuliłam się za nim na schodach, w ciemności.

Stał chwilę, chwiejąc się na nogach. Wyglądał okropnie. Wydawał się nasłuchiwać, potem z trudem opanował się i otworzywszy drzwi do Baszty, zawołał, że nic się nie stało. Głos miał beztroski i jowialny, ale twarz zadawała temu kłam. Czekał jeszcze trochę, potem powoli wszedł na górę i zniknął mi z oczu.

Kiedy poszedł, poczekałam moment i zakradłam się do Baszty. Czułam, że zdarzyło się coś tragicznego. Górne światło była zgaszone, ale paliła się lampa na biurku i w jej blasku zobaczyłam *sir* Reubena leżącego na podłodze. Nie wiem, jak mi się to udało, ale zmusiłam się, by podejść i uklęknąć przy nim. Natychmiast zorientowałam się, że nie żyje, że został uderzony w głowę z tyłu, i że nie mógł być martwy długo; dotknęłam jego ręki i stwierdziłam, że była jeszcze zupełnie ciepła. To było straszne, panie Poirot. Straszne!

Wstrząsnęła się na samo wspomnienie.

- A potem? - spytał Poirot, patrząc na nią przenikliwie.

Lily Margrave kiwnęła głową.

- Tak, panie Poirot, wiem, o czym pan myśli. Dlaczego nie podniosłam alarmu i nie postawiłam na nogi całego domu? Wiem, że powinnam była to zrobić, ale klęcząc przy nim, zrozumiałam błyskawicznie, że moja kłótnia z *sir* Reubenem, wyjście na spotkanie z Humphreyem, fakt, że nazajutrz miałam zostać wyrzucona, stanowiły fatalny ciąg zdarzeń. Mogliby powiedzieć, że wpuściłam Humphreya i że on zabił *sir* Reubena z zemsty. Gdybym zeznała, że widziałam Charlesa Leversona wychodzącego z pokoju, nikt by mi nie uwierzył. To było okropne, panie Poirot! Klęczałam tam i klęczałam, myślałam i myślałam, i im więcej myślałam, tym bardziej traciłam głowę. Wkrótce zauważyłam klucze *sir* Reubena, które wypadły mu z kieszeni. Między nimi był też klucz do sejfu, kombinację znałam, ponieważ lady Astwell powiedziała ją kiedyś przy mnie. Podeszłam do sejfu, otworzyłam go i przetrząsnęłam znalezione tam papiery.

W końcu znalazłam to, czego szukałam. Humphrey miał zupełną rację. *Sir* Reuben był związany ze Złotami Złota Mpala i rozmyślnie oszukiwał Humphreya. To jeszcze bardziej pogarszało sytuację. Stwarzało Humphreyowi znakomity motyw popełnienia zbrodni. Włożyłam papiery do sejfu, zostawiłam klucz w drzwiach i poszłam prosto do swego pokoju. Rano, kiedy pokojówka odkryła ciało, udawałam, że jestem zaskoczona i przerażona jak wszyscy.

Przerwała i popatrzyła żałośnie na Poirota.

- Musi mi pan uwierzyć, panie Poirot. Och, proszę powiedzieć, że mi pan wierzy!

- Wierzę pani, *mademoiselle*; wyjaśniła pani wiele spraw, które mnie intrygowały. Po pierwsze, pani absolutną pewność, że Charles Leverson popełnił zbrodnię, po drugie, usiłowania pani, by nie dopuścić do mojego przyjazdu tutaj.

Lily przytaknęła.

- Obawiałam się pana - przyznała szczerze. - Lady Astwell nie mogła wiedzieć, tak jak to

wiedziała ja, że Charles jest winny, a ja nie mogłam nic powiedzieć. Miałam cień nadziei, że odmówi pan przyjęcia sprawy.

- Pewnie bym to zrobił, gdyby nie wyraźna chęć z pani strony, by trzymać mnie z dala od tej sprawy - rzekł Poirot sucho.

Lily spojrzała na niego szybko, a jej usta zadrżały.

- A teraz, co... co zamierza pan zrobić?

- O ile chodzi o panią, nic. Wierzę w pani historię i akceptuję ją. Mój następny krok, to wyprawa do Londynu i spotkanie z inspektorem Millerem.

- A potem? - spytała Lily.

- A potem - odparł Poirot - zobaczymy.

Za drzwiami obejrzał jeszcze raz kawałeczek splamionego zielonego szyfonu.

- Zdumiewająca inwencja Herkulesa Poirota - mruknął do siebie zadowolony.

Inspektor Miller niezbyt lubił Herkulesa Poirota. Nie należał do grupki inspektorów Scotland Yardu, którzy chętnie podejmowali współpracę z małym Belgiem. Miał zwyczaj mówić, że Poirot jest przereklamowany. W tym wypadku czuł się niezmiernie pewny siebie i w rezultacie powitał detektywa w znakomitym humorze.

- Pracuje pan dla lady Astwell, prawda? Cóż, w tej sprawie goni pan za mirażem.

- Nie ma więc żadnych wątpliwości? Miller mrugnął.

- Nie było nigdy bardziej czystej sprawy; mordercę złapano prawie na gorącym uczynku.

- Pan Levenson złożył już zapewne zeznanie?

- Uważa, że lepiej trzymać buzię na kłódkę - odparł inspektor. - Powtarza w kółko, że poszedł prosto do swego pokoju i nie zbliżał się do wuja. W obliczu faktów to głupia historyjka.

- Na pewno dowody świadczą przeciw niemu - mruknął Poirot. - Jakie wrażenie zrobił na panu ten młody Levenson?

- Cholerny młody dureń.

- Słaby charakter? Inspektor przytaknął.

- Trudno wyobrazić sobie, że młodzieniec tego typu miałby - jak by to powiedzieć - dość ikry, by popełnić taką zbrodnię.

- Wydawać by się mogło, że nie - zgodził się inspektor. - Ale, wybaczy pan, przeszedłem już przez to wiele razy. Przyciśnij słabego, młodego hulakę do kąta, wlej w niego trochę za dużo kolejek, a na krótki czas zamieni się w tygrysa. Słaby człowiek przyparty do muru staje się bardziej niebezpieczny od kogoś silnego.

- Istotnie.

Miller wyprostował się bardziej.

- Oczywiście, to panu pasuje, panie Poirot. Tak czy inaczej, dostanie pan swoje honorarium; naturalnie, by zadowolić milady, musi pan udawać, że prowadzi pan śledztwo. Potrafię to zrozumieć.

- Rozumie pan wiele interesujących rzeczy - mruknął Poirot i odszedł.

Następną wizytę złożył prawnikowi reprezentującemu Charlesa Leversona. Pan Mayhew był szczupłym, zasuszonym, ostrożnym dżentelmenem. Przyjął Poirota z rezerwą. Detektyw miał jednak własne metody wzbudzania zaufania. Po dziesięciu minutach obaj rozmawiali przyjaźnie.

- Rozumie pan - mówił Poirot - w tej sprawie działałam wyłącznie na korzyść pana Leversona. Takie jest życzenie lady Astwell. Jest przekonana, że on nie jest winny.

- Tak, tak, istotnie - rzekł pan Mayhew bez entuzjazmu.

Poirot mrugnął.

- Być może nie przywiązuje pan wielkiej wagi do opinii lady Astwell?

- Jutro może być przekonana o jego winie - odparł sucho prawnik.

- Z pewnością jej intuicja nie jest dowodem - zgodził się Poirot - a na pierwszy rzut oka sprawa przedstawia się bardzo ponuro dla biedaka.

- Szkoda, że opowiedział policji swoją historię. Upieranie się przy niej nie przyniesie nic dobrego.

- Upierał się przy niej w rozmowie z panem? - zapytał Poirot.

Mayhew skinął głową.

- Nie zmienił jej ani na jotę. Powtarza swoje jak papuga.

- I to właśnie podkopuje pańską wiarę w niego - zadumał się detektyw. - Ach, niech pan nie zaprzecza - dodał szybko, podnosząc rękę wstrzymującym gestem. - Zbyt jasno to widać. W głębi serca wierzy pan w jego winę. Niech pan jednak posłucha mnie, Herkulesa Poirota. Przedstawię panu sprawę. Ten młody człowiek wraca do domu po wypiciu wielu koktajli oraz licznych kolejek whisky. Jest pełen - jak to nazywacie? - kawaleryjskiej fantazji i w tym stanie wchodzi do domu, otworzywszy sobie drzwi kluczem, i idzie na chwiejnych nogach do Baszty. Zagląda tam przez drzwi

i w przyćmionym świetle widzi swego wuja, nachylonego nad biurkiem.

Pan Leverson jest pełen, jak powiedzieliśmy, kawaleryjskiej fantazji. Podchodzi do wuja i mówi mu, co o nim myśli. Przeciwstawia mu się, obraża go, wuj milczy, a to go ośmiela, powtarza się więc, mówi wciąż te same rzeczy, coraz głośniejsze. Wreszcie ciągle milczenie wuja budzi jego obawy. Podchodzi bliżej i kładzie rękę na ramieniu siedzącego. Postać wuja załamuje się pod dotknięciem i wali jak kłoda na ziemię.

Pan Leverson trzeźwieje. Krzesło przewraca się z hukiem, a on nachyla się nad *sir* Reubenem. Stwierdza, co się stało, patrzy na swoją rękę pokrytą czymś ciepłym i czerwonym. Wpada w panikę. Oddałby wszystko, by cofnąć krzyk, który przed chwilą wyrwał mu się z ust, roznosząc się w całym domu. Odruchowo podnosi krzesło, pośpiesznie wychodzi przez drzwi i nasłuchuje. Wydaje mu się, że słyszy jakiś dźwięk i natychmiast, wręcz automatycznie, udaje, że rozmawia z wujem przez otwarte drzwi.

Dźwięk nie powtarza się. Pan Leverson jest przekonany, że uległ złudzeniu. Panuje cisza, zakrada się więc do swego pokoju i natychmiast przychodzi mu na myśl, że będzie znacznie lepiej udawać, iż tej nocy nie był w ogóle w pobliżu wuja. Opowiada więc swoją wersję. Parsons, jak pan pamięta, na razie nie mówi niczego, co słyszał. Kiedy zaczął mówić, dla pana Leversona było za późno na zmianę zeznań. Jest głupi, jest uparty, trzyma się swojej wersji. Niech mi pan powie, *monsieur*, czy to nie jest możliwe?

- Tak - odparł prawnik. - Kiedy pan to przedstawia, wydaje się możliwe.

Poirot wstał.

- Ma pan przywilej widywania pana Leversona - przypomniał. - Proszę przedstawić mu historię, którą panu opowiedziałem i zapytać go, czy nie jest prawdziwa.

Po wyjściu z biura adwokata Poirot zatrzymał taksówkę.

- Harley Street trzysta czterdzieści osiem - podał kierowcy.

Lady Astwell przyjęła wyjazd Poirota do Londynu ze zdziwieniem, ponieważ detektyw nie wspominał o swoich zamiarach. Kiedy wrócił po dwudziestoczworgodzinnej nieobecności, Parsons zawiadomił go, że lady Astwell chciałyby go widzieć jak najszybciej. Poirot znalazł gospodynię w buduarze. Leżała na sofie, z głową opartą na poduszkach, i wyglądała zaskakująco źle i mizernie; znacznie gorzej niż w dniu przybycia Poirota.

- A więc wrócił pan, panie Poirot?

- Wróciłem, *madame*.

- Jeździł pan do Londynu? Poirot przytaknął.

- Nie powiedział mi pan o wyjeździe - rzekła lady Astwell ostro.

- Proszę przyjąć przeprosiny, *madame*, zbłądziłem, powinienem był to zrobić. *La prochaine fois*...

- Zrobi pan dokładnie to samo - przerwała lady Astwell z odcieniem humoru. - Najpierw robić, a potem mówić ludziom, oto pańska dewiza.

- Może jest to także pani dewiza, *madame*? - rzekł mrugając detektyw.

- Od czasu do czasu - zgodziła się kobieta. - Po co pojechał pan do Londynu? Teraz już zapewne może mi pan powiedzieć?

- Miałem rozmowę z zacnym inspektorem Millerem, a także ze znakomitym panem Mayhew.

Lady Astwell badała jego twarz wzrokiem

- I teraz myśli pan...?

Poirot wpatrywał się w nią uparcie, - ...że istnieje możliwość, iż Charles Leveron jest niewinny - odparł poważnie.

- Ach! - Lady Astwell zerwała się, strącając dwie poduszki na podłogę.

- Więc miałam rację, miałam rację!

- To tylko możliwość, *madame*, to wszystko.

Coś w jego tonie uderzyło ją. Uniosła się na łokciu, przyglądając mu się przenikliwie.

- Mogę coś zrobić? - spytała.

- Tak. Może mi pani powiedzieć, dlaczego podejrzewa pani Owena Trefusisa.

- Mówiłam panu, że wiem - i to wszystko.

- Niestety, to nie wystarcza - rzekł Poirot sucho. - Proszę wrócić myślą do fatalnego wieczoru. Proszę przypomnieć sobie każdy szczegół, każde najdrobniejsze zdarzenie. Co zwróciło pani uwagę u sekretarza, co pani spostrzegła? Ja, Herkules Poirot, mówię pani, że coś tam musiało być.

Lady Astwell potrząsnęła głową.

- Ledwie zauważyłam go podczas całego wieczoru - odparła. - I na pewno nie myślałam o nim.

- Pani umysł był zajęty czymś innym?

- Tak.

- Myślała pani o niechęci męża do panny Lily Margrave?

- To prawda - skinęła głową lady Astwell. - Wydaje się pan wiedzieć wszystko, panie Poirot.

- Ja wiem wszystko - oświadczył mały Belg majestatycznie.

- Lubię Lily, mógł się pan przekonać sam. Reuben zaczął się awanturować o jakieś jej referencje. Proszę pamiętać, nie twierdzę, że ich nie sfałszowała. Zrobiła to. Ale ja w dawnych czasach robiłam gorsze rzeczy. Trzeba się zdrowo nakombinować, by przekonać tych teatralnych menedżerów. W swoim czasie mogłabym zrobić, napisać czy powiedzieć każdą rzecz. Lily pragnęła tego zajęcia i włożyła w to wiele zręczności i wysiłku, który był... no, był niezupełnie w porządku. Mężczyźni są pod tym względem niemądry; sądząc po awanturze, jaką zrobił, Lily mogła być urzędniczką bankową, która uciekła z milionami. Byłam okropnie niespokojna cały wieczór, ponieważ o ile zwykle potrafiłam przekonać Reubena, czasami okazywało się, że jest naprawdę uparty jak osioł, biedaczysko. Więc, oczywiście, nie miałam czasu przyglądać się sekretarzowi, choć pana Trefusisa w ogóle mało kto zauważa. Po prostu jest i to wszystko.

- Zauważyłem już tę cechę pana Trefusisa - rzekł Poirot. - Nie jest to osobowość, która wybija się, błyszcząca lub jest uderzająca.

- Nie - potwierdziła lady Astwell - Nie jest podobny do Victora.

- Pan Victor Astwell jest, powiedziałbym, wybuchowy.

- To wspaniałe określenie dla niego. Ekspłoduje w całym domu, jak jeden z tych tam, fajerwerków.

- Wyobrażam sobie, że ma porywczy charakter? - podsunął Poirot.

- Och, to prawdziwy szatan, jak się zdenerwuje, ale mówiąc szczerze, nie obawiam się go. Victor szczeka, ale nie gryzie.

Poirot spojrział na sufit.

- Więc nie potrafi mi pani nic powiedzieć' na temat zachowania sekretarza w czasie tego wieczoru? - spytał łagodnie.

- Mówiłam już panu, ja w i e m. To intuicja. Kobieca intuicja...

- To za mało, by powiesić człowieka. Co więcej, to również za mało, by uchronić przed egzekucją. Lady Astwell, jeżeli pani szczerą wiarą w niewinność pana Leversona i podejrzenia pod adresem sekretarza są uzasadnione, czy zgodzi się pani na mały eksperyment?

- Jaki eksperyment? - spytała lady Astwell podejrzliwie.

- Czy pozwoli pani wprowadzić się w stan hipnozy?

- A po cóż to?



Poirot pochylił się ku niej.

- Gdybym pani powiedział, *madame*, że pani intuicja opiera się na pewnych faktach, zanotowanych w podświadomości, byłaby pani sceptyczna. Powiem zatem tylko, że proponowany przeze mnie eksperyment może mieć wielkie znaczenie dla tego nieszczęsnego Charlesa Leverona. Nie odmówi pani?

- Kto ma wprowadzić mnie w trans? - dopytywała się podejrzliwie lady Astwell. - Pan?

- Pewien mój przyjaciel, który przyjedzie lada moment. Słyszę odgłos samochodu.

- Kto to jest?

- Doktor Cazalet z Harley Street.

- Jest dobry? - dopytywała się lady Astwell lękliwie.

- Nie jest szarlatanem, *madame*, jeśli o to pani chodzi. Może pani oddać się w jego ręce zupełnie bezpiecznie.

- Dobrze - westchnęła lady Astwell. - Myślę, że to wszystko bzdury, ale może pan spróbować, jeśli ma pan ochotę. Nikt nie powie, że nie chciałam panu pomóc.

- Tysiącnie dzięki, *madame*.

Poirot spiesznie wyszedł z pokoju. Po paru minutach wrócił, wprowadzając pogodnego, okrągłolicęgo człowieczka w okularach, który całkowicie zniweczył wyobrażenie lady Astwell o tym, jak powinien wyglądać hipnotyzer. Poirot przedstawił go.

- No - zapytała lady Astwell dobrodusznie - jak zaczniemy to błazeństwo?

- Całkiem zwyczajnie, lady Astwell, całkiem zwyczajnie - oświadczył mały doktor. Proszę tylko przechylić się do tyłu - właśnie tak, tak jest dobrze. Nie trzeba się niepokoić.

- Wcale nie jestem niespokojna - odparła lady Astwell.

- Chciałabym widzieć, jak ktoś hipnotyzuje mnie wbrew mojej woli.

Doktor Cazalet uśmiechnął się szeroko.

- Tak, ale jeśli zgodziła się pani, to nie będzie wbrew pani woli, prawda? Tak jest dobrze. Niech pan zgasi tamtą lampę, panie Poirot. A teraz niech pani po prostu zaśnie, lady Astwell.

Zmienił trochę jej pozycję.

- Robi się późno. Jest pani senna - bardzo senna. Powieki są ciężkie, zamykają się... zamykają... zamykają. Niedługo pani zaśnie...

Jego głos szemrał, cichy, łagodny, monotony. Wkrótce nachylił się i podniósł prawą powiekę lady Astwell. Potem odwrócił się do Poirota i skinął z satysfakcją.

- W porządku - powiedział cicho. - Mam kontynuować?

- Bardzo proszę.

Doktor odezwał się ostro i rozkazująco.

- Lady Astwell, śpi pani, ale słyszy mnie pani i może odpowiadać na pytania.

Nieruchoma postać na sofie odpowiedziała bez poruszenia powieką:

- Słyszę pana. Mogę odpowiadać na pytania.

- Lady Astwell, chcę, żeby wróciła pani do tego wieczoru, kiedy został zamordowany pani mąż. Pamięta pani ten wieczór?

- Tak.

- Siedzi pani przy obiedzie, za stołem. Proszę opisać, co pani widzi i czuje.

Leżąca postać poruszyła się odrobinę niespokojnie.

- Mam wielkie zmartwienie. Niepokoję się o Lily.

- Wiemy o tym; proszę powiedzieć, co pani widzi.

- Victor wyjada wszystkie solone migdały; jest łapczywy. Jutro powiem Parsonsowi, żeby nie kładł ich po tej stronie stołu.

- Dalej, lady Astwell.

- Reuben jest dziś wieczór w złym humorze. Nie przypuszczam, żeby to miało coś wspólnego z Lily. To coś związanego z interesami. Victor patrzy na niego dziwnie.

- Niech pani opowie o panu Trefusisie, lady Astwell.

- Lewy mankiet jego koszuli jest wystrzępiony. Używa dużo pomady do włosów. Chciałabym, żeby mężczyźni nie robili tego, to niszczy pokrowce w salonie.

Cazalet spojrział na Poirota, który poruszył głową.

- Jest po obiedzie, lady Astwell, pije pani kawę. Proszę opisać tę scenę.

- Kawa jest dziś dobra. Bywa różnie. Kucharka jest bardzo niesolidna, jeśli chodzi o kawę. Lily wciąż wygląda przez okno, nie wiem dlaczego. Teraz Reuben wchodzi do pokoju; ma dzisiaj jeden ze swoich najgorszych nastrojów i wybucha prawdziwym potokiem obelg na biednego pana Trefusisa.

Pan Trefusis zaciska rękę na nożu do papieru, tym wielkim, z ostrzem ostrym jak sztylet. Jak mocno go ściska, knykcie zupełnie zbielały. Tak mocno wbija go w stół, że aż ułamał się czubek. Trzyma go tak, jak sztylet, kiedy chce się kogoś pchnąć. A teraz wychodzą razem. Lily ma swoją zieloną wieczorową suknię; ładnie wygląda w zielonym, zupełnie jak lilia. Muszę czyścić pokrowce w przyszłym tygodniu.

- Chwileczkę, lady Astwell. Doktor przechylił się do Poirota.

- Chyba mamy to - mruknął. - Ta sprawa z nożem przekonała ją, że sekretarz jest winien.

- Chodźmy teraz do Baszty.

Doktor skinął głową i zaczął raz jeszcze wypytywać lady Astwell wysokim, rozkazującym głosem.

- Ten sam wieczór, późniejsza godzina; jest pani w Baszcie, z mężem. Mieli tam państwo okropną scenę, prawda?

Postać znowu poruszyła się niespokojnie.

- Tak... okropną... okropną. Mówiliśmy sobie przerażające rzeczy.

- Mniejsza o to. Potrafi pani zobaczyć pokój dokładnie, zasłony były zaciągnięte, lampy zapalone.

- Górna lampa nie, tylko lampa na biurku.

- Teraz pani wychodzi, życząc mężowi dobrej nocy.

- Nie. Byłam za bardzo wściekła.

- Widzi go pani ostatni raz, wkrótce zostanie zamordowany. Wie pani, kto go zamordował, lady Astwell?

- Wiem. Pan Trefusis.

- Dlaczego pani tak twierdzi?

- Z powodu wybrzuszenia - wybrzuszenia zasłony.

- A więc zasłona była wybrzuszona?

- Tak.

- Widziała to pani?

- Tak. Prawie dotknęłam tego.

- Czy ukrywał się tam człowiek - pan Trefusis?

- Tak.

- Skąd pani wie?

Po raz pierwszy monotony głos zawahał się i stracił pewność.

- Bo... bo... z powodu noża do papieru. Poirot i doktor wymienili szybkie spojrzenia.

- Nie rozumiem pani, lady Astwell. Mówi pani, że zasłona była wybrzuszona? Ktoś się tam ukrywał? Widziała pani tę osobę?

- Nie.

- Pomyślała pani o panu Trefusisie, ponieważ wcześniej trzymał nóż do papieru?

- Tak.

- Ale pan Trefusis poszedł przecież do łóżka?

- Tak... tak... to prawda, poszedł do swego pokoju.

- Więc nie mógł być za zasłoną?

- Nie, oczywiście, nie było go tam.

- Powiedział mężowi pani dobranoc już wcześniej?

- Tak.

- I nie widziała go pani więcej?

- Nie.

Poruszyła się znowu, rzucając się i pojękując lekko.

- Budzi się - powiedział doktor. - Cóż, myślę, że uzyskaliśmy wszystko, co możliwe.

Poirot skinął głową. Doktor nachylił się nad lady Astwell.

- Budzi się pani - mruknął łagodnie. - Teraz budzi się pani. Za chwilę otworzy pani oczy.

Obaj mężczyźni czekali, a wkrótce lady Astwell usiadła wyprostowana i popatrzyła na nich.

- Zdrzemnęłam się?

- Tak jest, lady Astwell, to po prostu krótka drzemka - rzekł doktor.

Spojrzała na niego.

- Pańskie hokus-pokus, co?

- Mam nadzieję, że nie czuje się pani gorzej.

Lady Astwell ziewnęła.

- Czuję się raczej znużona i zmordowana.

Doktor wstał.

- Poproszę, żeby przyniesiono pani kawę, a my na razie opuścimy panią.

- Czy powiedziałam coś? - zawołała za nimi lady Astwell, kiedy dochodzili do drzwi.

Poirot uśmiechnął się do niej.

- Nic ważnego. Poinformowała nas pani, że pokrowce w salonie wymagają czyszczenia.

- I rzeczywiście. Nie musiał mnie pan wprowadzać w trans, żeby się tego dowiedzieć. Zaśmiała się dobrodusznie.

- Nic więcej?

- Pamięta pani, że pan Trefusis tamtego wieczoru zabrał nóż do przecinania papieru z salonu? - spytał Poirot.

- Nie wiem... na pewno - powiedziała lady Astwell.

- Mógł to zrobić.

- Czy wybrzuszenie zasłony mówi pani coś? Lady Astwell zmarszczyła brwi.

- Chyba coś pamiętam - powiedziała powoli. - Nie... już uciekło, a jednak...

- Proszę się nie denerwować - wtrącił szybko Poirot. - To nie jest ważne.

Doktor wszedł z Poirotem do jego pokoju.

- Cóż - rzekł Cazalet - myślę, że to wyjaśnia sprawę.

- Niewątpliwie gdy *sir* Reuben zwymyślał sekretarza, ten ostatni ścisnął mocno nóż do papieru i zmusił się do opanowania, by nie odpowiedzieć podobnie. Świadomość lady Astwell była zajęta problemem Lily Margrave, ale jej podświadomość zauważyła to zdarzenie i błędnie zinterpretowała. To zaszczepiło w niej mocne przekonanie, że Trefusis zamordował *sir* Reubena. Teraz dochodzimy do wybrzuszenia kotary. To jest ciekawa rzecz. Z tego, co pan powiedział mi o Baszcie, wnioskuję, że biurko stoi tuż przy oknie. Oczywiście na oknie wiszą zasłony?

- Tak, *mon ami*, aksamitne, czarne zasłony.

- I jest dość miejsca we framudze, aby ktoś mógł się tam ukryć?

- Myślę, że byłoby tam dosyć przestrzeni.

- Więc jest przynajmniej możliwe - powiedział powoli doktor - że ktoś schował się w pokoju, ale nie mógł to być sekretarz, którego widzieli oboje, jak opuszcza pokój. Nie mógł to być Victor Astwell, gdyż Trefusis spotkał go wychodząc, i nie mogła być Lily Margrave. Ktokolwiek to był, musiał wejść do pokoju przed *sir* Reubenem. Powiedział mi pan dosyć dokładnie, jak się przedstawia sytuacja. A co z kapitanem Naylorem? Czy mógłby być tym ukrywającym się człowiekiem?

- To niewykluczone - zgodził się Poirot. - Z całą pewnością jadł obiad w hotelu, ale trudno dokładnie ustalić, o której potem wyszedł. Wrócił około pół do pierwszej.

- Więc mógłby to być on - rzekł doktor - a jeżeli tak, popełnił zbrodnię. Miał motyw, a broń była pod ręką. Ten pomysł jednak nie odpowiada panu?

- Ja osobiście mam inną myśl - zwierzył się Poirot. - Niech mi pan powie teraz, *monsieur le docteur*, czy - jeśli to sama lady Astwell popełniła zbrodnię - zdradziłaby to w transie hipnotycznym?

Doktor gwizdnął.

- A więc do tego pan zmierza? Że to lady Astwell jest zbrodniarką? Oczywiście - to jest możliwe, choć nigdy do tej pory nie pomyślałem o tym. Była u niego ostatnia i nikt już potem nie widział go żywego. Jeżeli chodzi o pańskie pytanie, odpowiedziałbym - nie. Lady Astwell mogła wejść w trans hipnotyczny z silnym postanowieniem, by nie powiedzieć niczego na temat swojego udziału w zbrodni. Odpowiadałaby na moje pytania zgodnie z prawdą, ale milczałaby w kwestiach związanych ze swoją rolą. Nie oczekiwałbym jednak, że będzie tak upierać się przy winie pana Trefusisa.

- Rozumiem - rzekł Poirot. - Nie powiedziałem, że uważam lady Astwell za sprawczynię. To jest tylko sugestia.

- To interesujące - dodał doktor po chwili. - Zakładając, że Charles Leverson jest niewinny, mamy wiele możliwości. Humphrey Naylor, lady Astwell, a nawet Lily Margrave.

- Jest jeszcze ktoś, o kim pan nie wspomniał. Victor Astwell. Według tego, co sam mówi, siedział w pokoju, przy otwartych drzwiach, czekając na powrót Charlesa Leversona, ale to tylko jego własne słowa, rozumie pan?

- Ten wybuchowy facet, tak? - zapytał doktor. - Ten, o którym pan mi opowiadał?

- Właśnie.

Doktor podniósł się z miejsca.

- Cóż, muszę wracać do miasta. Poinformuje mnie pan, jak się sprawy ułożyły?

Po wyjściu doktora Poirot zadzwonił na George'a.

- Filiżankę herbaty ziołowej, George. Moje nerwy są wzburzone.

- Tak jest, *sir*. Zaraz ją przygotuję.

Dziesięć minut później przyniósł swemu panu parującą filiżankę. Poirot z przyjemnością wciągnął aromat. Wypił łyk i powiedział głośno do siebie:

- To polowanie różni się od wszystkich innych. Żeby złowić lisa, pędzisz konno z psami. Krzyczysz, galopujesz, wszystko jest kwestią szybkości. Ja sam nie strzelam jeleni, ale wiem, że trzeba przez długie godziny czołgać się na brzuchu. Mój przyjaciel Hastings wytłumaczył mi to dokładnie. Tutaj nie można użyć żadnej z tych metod. Zastanówmy się nad domowym kotem. Przez długie, bardzo nudne godziny obserwuje on mysia norę, nie rusza się, nie marnotrawi energii - ale nie odchodzi.

Westchnął i odstawił filiżankę na spodek.

- Poleciałem ci spakować rzeczy na parę dni. Jutro, mój zacny George'u, pojedziesz do Londynu i przywieziesz wszystko, co potrzebne na dwa tygodnie.

- Dobrze, *sir* - rzekł George. Jak zwykle nie okazał żadnej emocji.

Pozornie stała obecność Herkulesa Poirot w Mon Repos najwyraźniej niepokoiła wiele osób. Victor Astwell w rozmowie ze szwagierką zaprotestował:

- No dobrze, Nancy. Nie wiesz, jacy są ci faceci. Znalazł sobie wygodną kwaterę i najwyraźniej zamierza spędzić tu jakiś miesiąc, obciążając ciebie przez cały ten czas kilkoma gwineami dziennie.

Lady Astwell odpowiedziała, że jest w stanie zajmować się swoimi sprawami bez wtrącania się osób trzecich.

Lily Margrave gorliwie próbowała kryć swoje wzburzenie. W swoim czasie była zdania, że Poirot uwierzył w jej historię. Teraz nie była tego pewna.

Poirot nie rozgrywał zupełnie spokojnej partii. Piątego dnia pobytu przyniósł na obiad mały zestaw do pobierania odcisków palców. Metoda wydawała się raczej niezdarna, ale być może nie tak bardzo, ponieważ nikt nie śmiał odmówić. Dopiero kiedy detektyw udał się do łóżka, Victor Astwell wyraził swój pogląd.

- Rozumiesz, co to znaczy, Nancy. On czyha na kogoś z nas.

- Nie gadaj od rzeczy, Victorze.

- No a jakie inne znaczenie mogła mieć ta jego cholerna książeczka?

- Pan Poirot wie, co robi - odparła lady Astwell z zadowoleniem, patrząc znacząco na pana Trefusisa.

Innym razem Poirot zainicjował grę, polegającą na odtwarzaniu śladów stóp na papierze. Następnego ranka, wchodząc swoim miękkim, kocim krokiem do biblioteki, detektyw przestraszył Owena Trefusisa, który podskoczył na krześle, jakby ktoś do niego strzelił.

- Niech mi pan wybaczy, panie Poirot - powiedział sztywno - ale przestraszył mnie pan.

- Naprawdę? Jak to możliwe? - zapytał detektyw niewinnie.

- Przyznam - rzekł sekretarz - że sądziłem, iż sprawa przeciw Charlesowi Leversonowi została całkowicie przesądzona. Pan najwidoczniej jest innego zdania.

Poirot wyglądał przez okno. Nagle odwrócił się do rozmówcy.

- Powiem panu coś w zaufaniu, panie Trefusis.

- Tak?

Poirot nie śpieszył się z rozpoczęciem. Czekał chwilę, wahając się. Kiedy zaczął mówić, pierwsze słowa zbiegły się z odgłosem otwierania i zamknięcia frontowych drzwi. Jak na człowieka, mówiącego w zaufaniu, odezwał się dosyć głośno, a jego głos zagłuszył odgłos kroków w hallu.

- Powiem to panu w zaufaniu. Pojawił się nowy dowód. Wynika z nich, że gdy Charles Leverson wszedł pamiętnego wieczoru do Baszty, *sir* Reuben już nie żył.

Sekretarz patrzył na niego.

- Ale cóż to za dowód? Dlaczego o nim nie słyszeliśmy?

- Pan usłysz - rzekł mały człowiek tajemniczo. - Na razie tylko pan i ja znamy ten sekret.

Wyszedł zwawo z pokoju i prawie zderzył się z Victorem Astwellem w hallu.

- Właśnie pan przyszedł, *monsieur*?

Astwell skinął głową.

- Okropna pogoda - powiedział dysząc ciężko. - Zimno i wietrznie.

- Ach - odparł Poirot. - Nie zamierzam iść dzisiaj na przechadzkę. Ja, jak kot, siedzę przy ogniu i grzeję łapki.



- *Ça marche\**, George - powiedział wieczorem do wiernego lokaja, zacierając ręce. - Siedzą jak na rozżarzonych węglach - pora na skok! Trudna sprawa grać rolę kota, czekać, ale to działa, działa wprost cudownie. Jutro będą dalsze wyniki.

Następnego dnia Trefusis musiał pojechać do miasta. Wybrał ten sam pociąg co Victor Astwell. Jak tylko wyjechali, Poirot rzucił się w wir gorączkowej działalności.

- Chodź, George, bierzmy się do roboty. Gdyby nadchodziła pokojówka, musisz odwlec jej wejście. Mów jej słodkie słówka i trzymaj ją na korytarzu.

Najpierw udał się do pokoju sekretarza i zaczął go gruntownie przeszukiwać. Nie pominął żadnej szuflady czy półki. Potem uporządkował wszystko pośpiesznie i uznał rewizję za zakończoną. George pilnujący wejścia, chrząknął z szacunkiem.

- Pozwoli pan, *sir*?

- Tak, mój zacny George?

- Te buty, *sir*. Te dwie pary brązowych, na drugiej półce, i lakierki, na półce poniżej. Ustawiając je, zmienił pan kolejność.

- Cudownie! - krzyknął Poirot, podnosząc ręce. - Ale nie martwmy się tym. Zapewniam cię, że to nie jest ważne. Pan Trefusis nie dostrzega takich błahostek.

- Jeżeli pan tak uważa.

- To twoja sprawa, widzieć takie rzeczy - powiedział Poirot, klepnąwszy kamerdynera po plecach. - To przynosi ci zaszczyt.

Lokaj nie odpowiedział, a kiedy później, tego samego dnia, procedura powtórzyła się w pokoju Victora Astwella, nie skomentował faktu, że bielizna pana Astwella nie wróciła do szuflad dokładnie w tym samym porządku. Jednak przynajmniej w tym drugim wypadku wydarzenia dowiodły, że George miał rację, a Poirot mylił się. Victor Astwell wieczorem wpadł do salonu rozwścieczony.

- Słuchaj, ty przeklęty belgijski łobuzie, co to ma znaczyć, że przeszukujesz mój pokój? Co u diabła spodziewasz się tam znaleźć? Nie pozwolę sobie na to, słyszysz? To są skutki trzymania w domu wścibskiego małego szpiega.

Poirot rozłożył wymownie ręce, a z jego ust popłynął potok słów. Przepraszał stokrotnie, tysiącrotnie, milion razy. Był niezręczny, natrętny, zakłopotany. Tłumaczył się, że pozwolił sobie na zbyt wiele. Na koniec rozwścieczony dżentelmen uspokoił się, wciąż burcząc.

I znowu, wieczorem, Poirot, popijając swoją ziołową herbatkę, mruknął.

- To działa, George, tak - to działa.

- Piątek jest moim szczęśliwym dniem - zauważył Poirot w zadumie.

- Rzeczywiście, *sir*.

- Nie jesteś przypadkiem przesądny, George?

- Wolę nie siadać do stołu trzynasty, *sir*, i jestem przeciwny przechodzeniu pod drabiną. Nie mam natomiast żadnych przesądów związanych z piątkiem.

- To dobrze - odparł Poirot - ponieważ dzisiaj będzie nasze zwycięstwo.

- Naprawdę, *sir*?

- Jesteś takim entuzjastą, George, że nawet nie spytałeś, co zamierzam zrobić.

- A co pan zamierza?

- Dzisiaj urządzę ostateczne staranne przeszukanie Baszty.

Istotnie, po śniadaniu, uzyskawszy pozwolenie lady Astwell, Poirot udał się na miejsce zbrodni. Domownicy widzieli, jak o różnych porach dnia, pełzając na czworakach, bada drobiazgowo czarne portierey i stając na krześle, ogląda ramy obrazów, wiszących na ścianie. Lady Astwell po raz pierwszy okazała niepokój.

- Muszę przyznać, że on zaczyna działać mi na nerwy. Ma coś w rękawie, a ja nie wiem, co to jest. Sposób, w jaki porusza się po podłodze, zupełnie jak pies, przyprawia mnie wręcz o dreszcze. Chciałabym wiedzieć, czego szuka? Lily, moja droga, chcę, żebyś poszła na górę i zobaczyła, gdzie on teraz jest. Nie, zresztą wolę, żebyś została ze mną.

- Może ja pójdę, lady Astwell? - ofiarował się sekretarz, wstając zza biurka.

- Jeżeli pan ma ochotę, panie Trefusis.

Owen Trefusis opuścił pokój i wspiął się po schodach do Baszty. Na pierwszy rzut oka pokój wydawał się pusty, na pewno nie było tam śladu Herkulesa Poirota. Sekretarz wracał właśnie na dół, kiedy jego uszy zarejestrowały jakiś dźwięk; potem zobaczył małego człowieka, w połowie spiralnych schodów prowadzących do sypialni na górze.

Detektyw, poruszając się na czworakach, trzymał w ręku kieszonkową lupę, przez którą starannie oglądał coś na deskach obok dywanu pokrywającego schody. Nagle wydał pomruk i schował lupę do kieszeni. Potem wstał, trzymając coś w dwóch palcach. W tym momencie uświadomił sobie obecność młodego człowieka.

- Aha! Pan Trefusis. Nie słyszałem, jak pan wszedł.

W tej chwili był zupełnie innym człowiekiem. Promieniowały z niego triumf i uniesienie. Trefusis przyglądał się mu zdziwiony.

- O co chodzi, panie Poirot? Wygląda pan na bardzo uradowanego.

Mały detektyw wypiął pierś.

- Rzeczywiście. Na koniec znalazłem to, czego szukałem od początku. Trzymam w palcach rzecz konieczną do skazania zbrodniarza.

- A więc - podniósł brwi sekretarz - to nie był Charles Leverson?

- To nie był Charles Leverson - rzekł Poirot. - Aż do tej chwili, choć znałem zbrodniarza, nie byłem pewny jego nazwiska, ale teraz wszystko jest jasne.

Zszedł po schodach i klepnął ramię sekretarza.

- Muszę natychmiast jechać do Londynu. Proszę przekazać to lady Astwell w moim imieniu. Poprosi ją pan, by wszyscy zgromadzili się w Baszcie dziś wieczór, o dziewiątej? Przyjdę tam i ujawnię prawdę. Och, ależ jestem zadowolony.

I w płasie wymknął się z Baszty. Trefusis został, patrząc za nim.

Parę minut później Poirot pojawił się w bibliotece, pytając każdego, czy nie ma małego, tekturowego pudełka.

- Niestety nie wziąłem czegoś takiego - wyjaśniał - a mam coś bardzo cennego, co muszę tam włożyć.

Trefusis wyjął z jednej z szuflad biurka mały kartonik i Poirot okazał najwyższe zadowolenie.

Pośpieszył na górę ze swoim skarbem; spotkał na podeście George'a i wręczył mu pudełeczko.

- W środku jest coś niezmiernie ważnego - wyjaśnił.

- Umieść je w drugiej szufladzie mojej toaletki, obok kasetki na biżuterię, w której są moje perłowe spinki do mankietów.

- Dobrze, *sir*.

- Nie zgnieć pudełka. Bądź bardzo ostrożny. Wewnątrz jest coś, na czym powiesimy zbrodniarza.

Jego powrót odbył się bez ostentacji. Wierny George, zgodnie z poleceniem, wpuścił go przez boczne drzwi.

- Wszyscy są w Baszcie? - zapytał Poirot.

- Tak, *sir*.

Wymierali szeptem parę słów i Poirot triumfalnym krokiem zwycięzcy wkroczył do pokoju, w którym przed niespełną miesiącem popełniono morderstwo. Przemknął wzrokiem po zebranych. Zjawili się wszyscy: lady Astwell, Victor Astwell, Lily Margrave, sekretarz i kamerdyner Parsons. Ten ostatni kręcił się niepewnie przy drzwiach.

- George powiedział mi, że będę potrzebny - powiedział Parsons do Poirota. - Nie wiem, czy aby na pewno miał rację.

- W zupełności - odparł Poirot. - Proszę zostać. Wyszedł na środek pokoju.

- To była bardzo ciekawa sprawa - zaczął wolno, z namysłem. - Ciekawa, ponieważ *sir* Reubena Astwella mógł zamordować każdy. Kto dziedziczy jego pieniądze? Charles Levenson i lady Astwell. Kto widział się z nim ostatni? Lady Astwell. Kto posprzeczał się z nim gwałtownie? Znowu lady Astwell.

- O czym pan mówi - krzyknęła lady Astwell - Nie rozumiem, ja...

- Ale jeszcze ktoś pokłócił się z *sir* Reubenem - ciągnął Poirot w zamyśleniu. - Ktoś jeszcze wyszedł od niego tego wieczoru blady z wściekłości. Zakładając, że lady Astwell opuściła męża żywego za kwadrans dwunasta, zostało jeszcze dziesięć minut, podczas których ten ktoś mógł zejść z drugiego piętra, powalić go i dokonać morderstwa, a potem wrócić do swego pokoju.

Victor Astwell skoczył na równe nogi z krzykiem.

- Co u diabła... - przerwał, dławiąc się z furii.

- W napadzie wściekłości zabił pan kiedyś człowieka w Afryce Zachodniej.

- Nie wierzę w to - zawołała Lily Margrave.

- To prawda, Lily - odparł Astwell - ale były tam sprawy, o których ten człowiek nie wie. Facet, którego zabiłem, był czarownikiem, który zarżnął piętnaścioro dzieci. Uważam, że byłem do tego uprawniony.

Lily zbliżyła się do Poirota.

- Panie Poirot - powiedziała poważnie. - Pan się myli. Jeśli nawet człowiek ma gwałtowny temperament, wybucha i mówi różne rzeczy, nie znaczy to, że jest zdolny popełnić morderstwo. Wiem - powiadam panu, że wiem - iż pan Astwell jest niezdolny do takiej rzeczy.

Poirot popatrzył na nią z bardzo szczególnym uśmiechem. Potem ujął jej rękę i pogłaskał ją łagodnie.

- Widzi pani, *mademoiselle*, pani ma również intuicję. Zatem wierzy pani panu Astwellowi?

Lily powiedziała spokojnie.

- Pan Astwell jest dobrym człowiekiem i jest uczciwy. Nie ma nic wspólnego z aferą Złóż Złota Mpala. Jest na wskroś przyzwoity i obiecałam go poślubić.

Victor Astwell podszedł do niej i wziął jej drugą rękę.

- Przysięgam na Boga, panie Poirot, że nie zabiłem swego brata.

- Wiem, że pan go nie zabił - rzekł Poirot.

Jego oczy ogarnęły pokój.

- Słuchajcie, przyjaciele. W śnie hipnotycznym lady Astwell wspomniała, że widziała tego wieczoru wyrzucenie portierny.

Wszyscy spojrzeli ku oknu.

- Chce pan powiedzieć, że ukrył się tam włamywacz? - zawołał Victor Astwell. - Co za cudowne wyjaśnienie!

- Ach - rzekł łagodnie Poirot. - Ale to nie była ta zasłona.

Okręcił się i wskazał kotarę maskującą małą klatkę schodową.

- *Sir* Reuben spał w swojej sypialni w noc poprzedzającą zbrodnię. Jadł śniadanie w łóżku i wezwał pana Trefusisa, by dać mu instrukcje. Nie wiem, co pan Trefusis zostawił w tej sypialni, ale było coś takiego. Kiedy powiedział dobranoc *sir* Reubenowi i lady Astwell, przypomniał sobie o tym przedmiocie i wszedł na górę, żeby go zabrać. Zapewne ani mąż, ani żona nie zwrócili na niego uwagi, ponieważ rozpoczęli już gwałtowną dyskusję. Byli w środku kłótni, kiedy pan Trefusis zszedł znowu po schodach. Rzeczy, które sobie mówili, były tak intymnej i osobistej natury, że pan Trefusis znalazł się w bardzo niezręcznej sytuacji. Było jasne, że oboje sądzili, iż wyszedł z pokoju już jakiś czas temu. Obawiając się, by gniew *sir* Reubena nie zwrócił się ku niemu, zdecydował się zostać tam, gdzie był, i wyśliznąć się później. Kiedy lady Astwell opuszczała pokój, stał za zasłoną. Podświadomie zapamiętała zarys jego postaci. Kiedy lady Astwell wyszła, Trefusis próbował niepostrzeżenie się wykraść, ale *sir* Reuben przypadkowo odwrócił głowę i uświadomił sobie obecność sekretarza. Będąc już w złym humorze, *sir* Reuben obrzucił sekretarza obelgami i oskarżył go o rozmyślne podsłuchiwanie i szpiegowanie. *Messieurs et mesdames*, zgłębiam psychologię. W całym okresie badania tej sprawy nie szukałem wybuchowego mężczyzny czy kobiety, ponieważ gniew ma własny wentyl bezpieczeństwa. Pies, który szczeka, nie gryzie. Nie, szukałem człowieka o łagodnym usposobieniu, człowieka cierpliwego i opanowanego, który od dziewięciu lat gra rolę popychadła. Nie ma większego napięcia, od tego, które trwa latami, nie ma większej urazy od tej, która narasta powoli. Przez dziewięć lat *sir* Reuben lżył i poniewierał swojego sekretarza i ten przez dziewięć lat trwał w milczeniu. Wreszcie jednak przychodzi dzień, w którym napięcie osiąga punkt kulminacyjny. Coś pęka! To zdarzyło się tej nocy. *Sir* Reuben siada znowu przy biurku, ale jego sekretarz zamiast skierować się potulnie i pokornie do drzwi, bierze ciężką drewnianą maczugę i uderza człowieka, który znęcał się nad nim o jeden raz za dużo.

Zwrócił się do Trefusisa, który wpatrywał się w niego jak skamieniały.

- Pańskie alibi było bardzo proste. Pan Astwell myślał, że jest pan w swoim pokoju, ale nikt nie widział pana wchodzącego tam. Po uderzeniu *sir* Reubena właśnie wymykał się pan z Baszty, kiedy usłyszał pan jakiś odgłos i spiesznie ukrył się pan za zasłoną. Był pan tam, kiedy wszedł Charles Levenson, był pan tam również, kiedy zjawiła się Lily Margrave. Wkrótce potem przekradł się pan przez cichy dom do swojej sypialni. Czy pan temu zaprzecza?

Trefusis zaczął coś jąkać.

- Ja... ja nigdy...

- Ach! Skończmy z tym. Przez ostatnie dwa tygodnie grał pan komedię. Pokazałem, że się zaciska się wokół pana. Odciski palców, ślady stóp, przeszukanie pańskiego pokoju z artystycznym poprzekładaniem rzeczy. To wszystko wzbudziło w panu popłoch; leżał pan bezsennie, bojąc się i zastanawiając, czy zostawił pan odciski palców albo ślady stóp w tamtym pokoju.

Ustawicznie przebiegał pan myślą zdarzenia tamtej nocy, przypominając sobie, co pan zrobił lub czego pan zaniechał, i w ten sposób doprowadziłem pana do stanu, w którym powinęła się panu noga. Widziałem w pańskich oczach strach, kiedy podniosłem coś na schodach, na których stał pan, ukrywając się tamtej nocy. Potem urządziłem wielki pokaz: pudełeczko, powierzenie go George'owi i mój wyjazd.

Poirot odwrócił się do drzwi.

- George?

- Jestem, *sir*.

Kamerdyner wysunął się naprzód.

- Zechcesz opowiedzieć państwu, jakie były moje instrukcje.

- Umieściwszy pudełko tam, gdzie mi pan polecił, miałem zostać ukryty w garderobie w pańskim pokoju. O pół do czwartej po południu do pokoju wszedł pan Trefusis; podszedł do szuflady i wyjął pudełko, o którym mowa.

- A w tym pudełku - ciągnął Poirot - była zwykła szpilka. Zawsze mówię prawdę. Znalazłem coś na schodach tego ranka. Jest takie angielskie powiedzenie. „Szukaj szpilki i podnieś ją, a będziesz miał szczęście cały dzień”. Ja osobiście mam szczęście, znalazłem mordercę.

Zwrócił się do sekretarza.

- Widzi pan? Sam się pan zdradził.

Nagle Trefusis załamał się. Opadł na krzesło, szlochając z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Byłem szalony - jęknął. - Byłem szalony. Ale, och, mój Boże, on wymyślał mi i zadreślał mnie nie do wytrzymania. Przez całe lata nienawidziłem go i gardziłem nim.

- Wiedziała! - krzyknęła lady Astwell.

Rzuciła się naprzód z twarzą promieniejącą dzikim triumfem.

- Wiedziała, że ten człowiek zabił. Stała bezlitosna i triumfująca.

- I miała pani rację - rzekł Poirot. - Można nazywać rzeczy w różny sposób, ale fakt jest faktem. Pani „intuicja”, lady Astwell, okazała się prawdziwa. Gratuluję pani.

## Dwadzieścia cztery kosy

Herkules Poirot jadł obiad w towarzystwie swego przyjaciela, Henry'ego Bonningtona, w Gallant Endeavour, na King's Road w Chelsea.

Pan Bonnington lubił Gallant Endeavour. Podobała mu się leniwa atmosfera, smakowało jedzenie, które uznawał za „zwyczajne”, „angielskie” i „nie robione z różnych paskudztw”. Lubiał opowiadać jedzącym z nim ludziom, gdzie zwykł siadywać Augustus John, i zwracać ich uwagę na nazwiska słynnych artystów w księdze gości. Sam pan Bonnington nie był bynajmniej artystą, ale odczuwał pewną dumę z artystycznej działalności innych.

Molly, sympatyczna kelnerka, powitała pana Bonningtona jak starego przyjaciela. Szczyciła się tym, że pamiętała upodobania swoich klientów dotyczące jedzenia.

- Dobry wieczór, *sir* - powiedziała, kiedy obaj mężczyźni zajęli miejsca przy narożnym stoliku. - Ma pan dziś szczęście, jest indyk z nadzieniem orzechowym, pańskie ulubione danie, jeśli się nie mylę? A jaki wyśmienity mamy ser stilton! Na początek będzie pan jadł zupę czy rybę?

Pan Bonnington rozważył ten problem.

- Tylko żadnych pańskich francuskich frykasów - powiedział ostrzegawczo do Poirota, studiującego menu.

- Dobrze, smakowicie ugotowane angielskie jedzenie.

- Przyjacielu - odparł Poirot. - Nie proszę o nic więcej! Bez zastrzeżeń oddaję się w pańskie ręce.

- Hmm... hmm... - odparł pan Bonnington i zajął się troskliwie tą sprawą.

Dokonawszy wyboru potraw i wina, pan Bonnington rozsiadł się wygodnie z westchnieniem, a Molly oddaliła się spiesźnie.

- Pocziwa dziewczyna - rzekł z aprobatą. - Była kiedyś piękna - artyści często ją malowali. Zna się przy tym również na jedzeniu i to jest znacznie ważniejsze. Kobiety z reguły mają niewłaściwe podejście do jedzenia. Niejedna kobieta, wychodząc z mężczyzną, myśli tylko o sobie i nie zauważa nawet, co je. Zamawia pierwsze z brzegu danie.

Herkules Poirot potrząsnął głową.

- *Cest temble!*

- Dzięki Bogu, mężczyźni nie są tacy - rzekł pan Bonnington z zadowoleniem.

- Nigdy? - Herkules Poirot mrugnął.



- No, może wtedy, kiedy są bardzo młodzi - przyznał pan Bonnington. - Szczeniaki! Młodzi ludzie dzisiaj są jednakowi - bez energii, bez wigoru. Nie są mi potrzebni - ani ja im - dodał lojalnie. - Może to oni mają rację. Ale wystarczy posłuchać, jak niektórzy z nich gadają, że nikt po sześćdziesiątce nie ma prawa do życia! Zachowują się tak, że człowiek się zastanawia, czy większość z nich nie pomogła swoim starszym krewnym odejść z tego świata.

- Możliwe, że to zrobili.

- Ładne masz myśli, Poirot. Ta policyjna praca podkopuje twoje ideały.

Herkules Poirot uśmiechnął się.

- *Tout de même*\* byłoby interesujące zrobić wykaz zgonów ludzi po sześćdziesiątce w wyniku wypadków. Zapewniam cię, że to nasunęłoby interesujące spostrzeżenia.

- Kłopot z tobą polega na tym, że zaczynasz szukać zbrodni, zamiast czekać, aż znajdzie cię sama.

- Proszę o wybaczenie - rzekł Poirot. - Mówię tylko o tym, co nazywasz fachem. Opowiedz mi, przyjacielu, o swoich sprawach. Jak ci się wiedzie?

- Bałagan! Tak się mają sprawy w dzisiejszych czasach. Za dużo zamieszania i za dużo pięknych słówek. Piękne słówka pomagają ukryć bałagan. Zupełnie tak jak mocno przyprawiony sos ukrywa fakt, że ryba pod nim nie jest najlepszego gatunku! Daj mi porządny filet z soli bez żadnego paskudnego sosu.

To właśnie podała mu w tym momencie Molly, wywołując pomruk aprobaty.

- Wiesz, co lubię, dziewczyno.

- Przecież przychodzi pan tu regularnie, prawda? Powinna wiedzieć, co pan lubi.

- Czy ludzie jedzą stale to samo? - rzekł Poirot. - Czy nie lubią zmian?

- Panowie nie robią tego, *sir*. Panie lubią urozmaicenie, a dżentelmenom zawsze smakuje to samo.

- Co ci powiedziałem? - mruknął Bonnington. - Kobiety mają z zasady fatalny pogląd na jedzenie!

Rozejrzał się po restauracji.

- Ten świat to zabawne miejsce. Widzisz tego brodatego, starego dziwaka, tam w kącie? Molly powie ci, że przychodzi zawsze we wtorki i czwartki wieczorem. Przychodzi tu już prawie dziesięć lat - stanowi po prostu punkt orientacyjny. A jednak nikt nie zna jego nazwiska, nie wie, gdzie mieszka i czym się zajmuje. Kiedy się człowiek nad tym zastanowi, to wydaje się dziwne.

Kiedy kelnerka przyniosła indyka, zapytał:

- Widzę, że Stary Ojciec Czas wciąż jest tutaj?

- Tak jest, *sir*. Wtorki i czwartki to jego dni. Ale nie, był przecież w ostatnim tygodniu w poniedziałek! To mnie zaniepokoiło. Wydawało mi się, że pomyliłam daty i że to musi być wtorek. Ale następnego wieczoru przyszedł również, to znaczy, że poniedziałek był po prostu nadliczbowy, że tak powiem.

- Interesujące odstępstwo od zwyczaju - mruknął Poirot. - Ciekaw jestem, co było powodem.

- Cóż, *sir*, jeśli mnie pan pyta, to uważam, że był zaniepokojony lub zmartwiony.

- Dlaczego tak pani myśli? Z powodu jego zachowania?

- Nie, *sir*. Ściśle mówiąc nie z powodu zachowania. Był bardzo spokojny, jak zawsze. Nigdy nie mówi nic, oprócz „dobry wieczór”, kiedy przychodzi i wychodzi. Nie, chodzi o jego zamówienie.

- Zamówienie?

- Panowie pewnie będą się ze mnie śmiać - zarumieniła się Molly - ale jeśli dżentelmen przychodzi tu przez dziesięć lat, musi się znać jego upodobania. Nie znosił puddingu z baranym łojem ani jeżyn i nigdy nie widziałam, żeby brał gęstą zupę, a w ten poniedziałek zamówił zaciąganą zupę pomidorową, befsztyk, pudding z cynaderek i placek z jeżynami! Wydawało się, że nie obchodzi go to, co zamówił!

- Wie pani - rzekł Herkules Poirot - uważam, że to niezwykle interesujące.

Molly odeszła usatysfakcjonowana.

- No, Poirot - powiedział pan Bonnington, śmiejąc się z cicha - przedstaw nam parę wniosków w twoim najlepszym stylu.

- Wolalbym najpierw wysłuchać twoich.

- Pragniesz, żebym był Watsonem, co? Cóż, stary poszedł do lekarza, a ten zmienił mu dietę.

- Na zaciąganą zupę pomidorową, stek, pudding z cynaderek i jeżynowy placek? Nie potrafię wyobrazić sobie lekarza, który to robi.

- Nie wierz w to, stary. Lekarze są w stanie zalecić ci wszystko.

- Czy to jedyne wyjaśnienie, jakie ci się nasuwa?

- Cóż, poważnie mówiąc - rzekł Bonnington - jest tylko jedno możliwe wytłumaczenie. Nasz nieznaną przyjaciel znajdował się pod wpływem potężnej emocji. Był tak wzburzony, że dosłownie nie zwracał uwagi na to, co zamawia lub je.

Przerwał na chwilę.

- Za moment powiesz mi, że wiesz, o czym myślał. Powiesz, być może, iż układał sobie plan morderstwa.

Zaśmiał się z własnego pomysłu.

Herkules Poirot nie śmiał się.

Przyznał później, że w tym momencie był poważnie zaniepokojony. Utrzymywał, że powinien już wówczas przeczuwać, co się dzieje.

Przyjaciele zapewniają go, że ta myśl jest zupełnie absurdalna.

Jakieś trzy tygodnie później Herkules Poirot i Bonnington spotkali się znowu - tym razem miejscem spotkania było metro.

Skinęli głowami, kołysząc się na sąsiednich uchwytach. Na stacji Picadilly Circus pasażerowie tłumnie wysiedli, a oni znaleźli miejsca na przodzie wagonu - spokojny punkt, ponieważ nikt wtedy nie wsiadał ani nie wysiadał.

- Już jest lepiej - rzekł Bonnington - Ludzka rasa to sami egoiści, nie przesuną się w głąb wagonu, choćby się ich błagało!

Poirot wzruszył ramionami.

- Czego chcesz? Życie jest tak niepewne.

- Właśnie. Dzisiaj jesteś, jutro już cię nie ma - oświadczył Bonnington z pewnego rodzaju ponurą satysfakcją. - A jeżeli o tym mowa, to pamiętasz tego starego, którego zauważyliśmy w Gallant Endavour? Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że przeniósł się do lepszego świata. Nie pokazał się tam cały tydzień. Molly jest tym bardzo poruszona.

Herkules Poirot wyprostował się. Jego zielone oczy lśniły.

- Naprawdę? - dopytywał się. - Naprawdę?

- Pamiętasz - powiedział Bonnington - jak sugerowałem, że lekarz zmienił mu dietę? To oczywiście bzdura, ale nie zdziwiłbym się, gdyby zasięgnął porady lekarza w sprawie swego zdrowia i to, co mu lekarz powiedział, spowodowało wstrząs. Właśnie z tego powodu zamówił dania, nie zauważając, co robi. Zupełnie możliwe, że ten wstrząs przyśpieszył jego odejście ze świata. Lekarze powinni uważać na to, co mówią pacjentom.

- Zwykle tak robią - odparł Herkules Poirot.

- To moja stacja. Do widzenia. Pewnie nie dowiemy się nigdy, kim był ten stary, ani nawet nie

poznamy jego nazwiska. Śmieszny świat!

Wysiadł pośpiesznie z wagonu.

Herkules Poirot siedział zachmurzony, jakby nie wydawało mu się, że świat jest bardzo śmieszny.

Poszedł do domu i wydał pewne polecenia wiernemu kamerdynerowi George'owi.

Herkules Poirot przesunął palcem po liście nazwisk. Był to wykaz zgonów w pewnym rejonie. Jego palec zatrzymał się.

- Henry Gascoigne, sześćdziesiąt sześć lat. Mógłbym sprawdzić na początek jego.

Później, tego samego dnia, Herkules Poirot siedział w gabinecie doktora MacAndrew, przy King's Road. Doktor MacAndrew był wysokim, rudym Szkotem, o inteligentnej twarzy.

- Gascoigne? - powiedział. - Tak, istotnie. Ekscentryczny staruszek. Mieszkał sam, w jednym z tych opuszczonych, starych domów, które wyburza się teraz, by zbudować nowe domy z eleganckimi mieszkaniami. Nie był moim pacjentem, ale widywałem go na ulicy i wiedziałem, kim był. Pierwsi zaniepokoiли się mleczarze. Pod drzwiami zaczęły się gromadzić butelki z mlekiem. W końcu sąsiedzi zawiadomili policję, która wyłamała drzwi i znalazła go. Spadł ze schodów i skręcił kark. Był ubrany w stary szlafrok z wystrzępionym sznurem - mógł się łatwo zaplątać.

- Rozumiem - rzekł Poirot. - To był po prostu wypadek.

- Tak jest.

- Miał krewnych?

- Jest jakiś siostrzeniec. Odwiedzał wuja raz w miesiącu. Nazywa się Lorrimer, George Lorrimer. Również jest lekarzem, mieszka w Wimbledonie.

- Przejął się śmiercią starszego pana?

- Nie wiem, czy się przejął. Wydaje mi się, że był do niego przywiązany, ale nie znał go zbyt dobrze.

- Jak długo pan Gascoigne nie żył, gdy go pan zobaczył?

- Ach! Zaczynamy być oficjalni. Nie mniej niż czterdzieści osiem godzin i nie więcej niż siedemdziesiąt dwie. Znalaziono go szóstego rano. W tej chwili mamy więcej informacji. W kieszeni szlafroka miał list, napisany trzeciego i wysłany tego samego dnia po południu, który mógł zostać dostarczony około dziewiątej dwadzieścia wieczorem. To pozwala ustalić, że zginął trzeciego, po dziewiątej dwadzieścia. To zgadza się z zawartością jego żołądka i procesami trawienia. Jadł mniej więcej dwie godziny przed śmiercią. Badałem go rano szóstego i stan zwłok wskazywał, że zginął

sześćdziesiąt godzin wcześniej - to jest trzeciego, około dziesiątej wieczór.

- To się chyba zgadza. Proszę mi powiedzieć, kiedy widziano go żywego po raz ostatni?

- Tego samego wieczoru, na King's Road, około siódmej. To był czwartek trzeciego i on jadł obiad w restauracji Gallant Endeavour o siódmej trzydzieści. Zdaje się, że zawsze tam jadał w czwartki. Nawiasem mówiąc, był artystą, bardzo marnym artystą.

- Nie zostawił innych krewnych? Tylko tego siostrzeńca?

- Jest jeszcze brat bliźniak. Cała historia jest dziwna. Nie widzieli się od lat. Zdaje się, że drugi brat, Anthony Gascoigne, poślubił bardzo bogatą kobietę, porzucił sztukę i bracia w związku z tym się pokłócili. Jednak jest dosyć dziwną rzeczą, że zmarli tego samego dnia. Starszy bliźniak odszedł również trzeciego, o trzeciej po południu. Spotkałem się już raz z wypadkiem śmierci bliźniaków w tym samym dniu, i to w różnych częściach świata! Przypuszczalnie zbieg okoliczności, ale zdarza się.

- A żona tego drugiego brata żyje?

- Nie, zmarła parę lat temu.

- Gdzie mieszkał Anthony Gascoigne?

- Miał dom na Kingston Hill. Z tego, co mówił mi doktor Lorrimer, był samotnikiem.

Poirot skinął głową zadumany. Szkot popatrzył na niego bystrze.

- Co właściwie chodzi panu po głowie, panie Poirot? - zapytał bez ogródek. - Odpowiedziałem na pańskie pytania, co uznałem za mój obowiązek, po obejrzeniu pańskich listów uwierzytelniających. Nie mam jednak pojęcia, o co tu chodzi.

- Pan mówi o zwykłym wypadku - rzekł Poirot. - To, o czym myślę, jest równie proste - zwyczajne zepchnięcie ze schodów.

Doktor MacAndrew wydawał się zaskoczony.

- Inaczej mówiąc - morderstwo! Ma pan jakieś podstawy do takich podejrzeń?

- Nie - odparł detektyw. - To jest raczej przypuszczenie.

- Musi więc być coś... - upierał się tamten. Poirot nie odpowiedział.

- Jeżeli podejrzewa pan tego siostrzeńca, Lorrimera, nie zawaham się przed oświadczeniem, że myli się pan całkowicie. Lorrimer grał w brydża w Wimbledonie, od ósmej trzydzieści aż do północy. To go wyłącza ze śledztwa.

- I pewnie zostało to zweryfikowane. Policja jest ostrożna.

- Może ma pan coś przeciw niemu? - spytał doktor.

- Nie wiedziałem o jego istnieniu, dopóki pan o nim nie wspomniał.

- A więc podejrzewa pan kogoś innego?

- Nie, nie. Wcale tak nie jest. To sprawa rutynowych przyzwyczajęń ludzkiego zwierzęcia. To jest niezwykle ważne. A w wypadku zmarłego pana Gascoigne coś mi tu nie pasuje. Widzi pan, nic się nie zgadza.

- Naprawdę nie rozumiem.

- Kłopot polega na tym, że na niedobrej rybie jest za dużo sosu.

- Słucham pana?

Herkules Poirot uśmiechnął się.

- Zaraz zapragnie pan zamknąć mnie jako obłąkanego, *monsieur le docteur*. Naprawdę jednak nie jestem umysłowo chory. Jestem tylko człowiekiem ceniącym sobie porządek i metodę, zaniepokojonym, gdy natyka się na fakt, który nie pasuje do całości. Dziękuję panu i przepraszam za kłopot.

Wstał, a doktor podniósł się również.

- Wie pan - rzekł MacAndrew - mówiąc szczerze, nie widzę nic podejrzanego w śmierci Henry'ego Gascoigne. Ja twierdzę, że spadł - pan, że ktoś go zepchnął. To wszystko jest mętne.

Herkules Poirot westchnął.

- Tak. To robota fachowca. Ktoś dobrze to załatwił.

- Pan wciąż uważa... Detektyw rozłożył ręce.

- Jestem człowiekiem upartym, lubię swoje małe pomysły, choć nic ich nie potwierdza! Przy okazji - czy Henry Gascoigne miał sztuczne zęby?

- Nie, miał własne, znakomicie utrzymane. W jego wieku to godne podziwu.

- Więc dbał o zęby. Czy były białe i dobrze wyczyszczone?

- Tak, zwróciłem na to uwagę. Zęby z wiekiem mają tendencję do żółknięcia, ale jego były w dobrym stanie.

- Nie zmieniły koloru?

- Nie, nie sędzę, żeby był palaczem, jeśli o to panu chodzi.

- Nie myślałem dokładnie o tym - to był po prostu daleki strzał, który nie trafił. Do widzenia, doktorze, i dziękuję za pańską uprzejmość.

Uścisnął dłoń doktora i wyszedł.

- A teraz - mruknął - czas na ten daleki strzał.

W Gallant Endeavour usiadł przy tym samym stoliku, który zajmował z Benningtonem. Tym razem nie obsługiwała go Molly. Molly, jak powiedziała jej koleżanka, wyjechała na urlop.

Była dopiero siódma i Poirot nie miał trudności z nawiązaniem rozmowy na temat starego pana Gascoigne.

- Tak - potwierdziła dziewczyna - bywał tu przez całe lata. Żadna z nas jednak nie знаła jego nazwiska. Przeczytałyśmy o śledztwie w gazecie, było tam jego zdjęcie. „Słuchaj, powiedziałam do Molly, czy to nie nasz Stary Ojciec Czas?”, jak go nazywałyśmy.

- Jadł tu obiad w dniu swojej śmierci, prawda?

- Ma pan rację, w czwartek trzeciego. Zawsze przychodził tu w czwartki. Wtorki i czwartki, punktualnie jak w zegarku.

- Pewnie nie pamięta pani, co jadł?

- Zaraz, to była ostra zupa indyjska, pudding z polędwicy czy baranina? - nie, miałam rację, pudding, placek jabłkowo-jeżynowy, no i ser. I pomyśleć, że potem poszedł do domu i spadł z tych schodów, jeszcze w tym samym dniu. Mówili, że to przez wystrzępiony sznur od szlafroka. Oczywiście jego ubrania były zawsze okropne - niemodne, włożone byle jak, wytarte, a jednak robił wrażenie, jakby był kimś ważnym! Och, tutaj mamy najróżniejszych ciekawych klientów.

Odeszła.

Herkules Poirot jadł filet z soli. Jego oczy świeciły zielono.

- Dziwne - powiedział do siebie - jak najbystrzejsi ludzie potykają się na szczegółach. Bonnington byłby zainteresowany.

Ale nie nadszedł jeszcze czas na leniwą pogawędkę z Bonningtonem.

Herkules Poirot, uzbrojony w list polecający z pewnych wpływowych sfer, nie natrafił na trudności w spotkaniu z okręgowym koronerem.

- Dziwna postać, ten zmarły Gascoigne - zauważył. - Samotny, ekscentryczny starzec. Ale jego zgon zdaje się wzbudzać niezwykle zainteresowanie.

Popatrzył z ciekawością na swego gościa. Herkules Poirot starannie dobierał słowa.

- Są pewne okoliczności związane ze sprawą, które czynią śledztwo pożądanym.

- Więc jak mogę panu pomóc?

- O ile wiem, do pańskiej kompetencji należy decyzja, czy dokumenty przedstawione w sądzie mają zostać zniszczone, czy wzięte w depozyt, według pańskiego uznania. W kieszeni szlafroka Henry'ego Gascoigne znaleziono pewien list, prawda?

- Tak jest.

- List od jego siostrzeńca, doktora George'a Lorrimera?

- Dokładnie tak. List został przedstawiony w śledztwie, jako pomocny w ustaleniu czasu zgonu.

- I potwierdzał on zeznanie lekarza?

- Właśnie.

- Czy ten list można jeszcze zobaczyć?

Poirot czekał niespokojnie na odpowiedź.

Kiedy usłyszał, że list jest jeszcze dostępny, odetchnął z ulgą.

Uważnie przeczytał przyniesiony wreszcie list. Był napisany dość nieczytelnie, wiecznym piórem. Brzmiał, jak następuje:

*Drogi wuju Henry,*

*Przykro mi donieść ci, że nie udało mi się załatwić spotkania z wujem Anthonyem. Nie okazał żadnego entuzjazmu co do Twojej wizyty i nie dał mi żadnej odpowiedzi na Twoją prośbę, by puścić w niepamięć to, co było. Jest, oczywiście, ciężko chory i ma skłonności do majaczenia. Mam wrażenie, że jego koniec jest bardzo bliski. Chyba z trudnością przypomina sobie, kim jesteś.*

*Przykro mi, że Cię zawiodłem, ale zapewniam, że zrobiłem, co było w mojej mocy.*

*Twój kochający siostrzeniec*

*George Lorrimer*

List był datowany trzeciego listopada. Poirot spojrział na stempel na kopercie - godzina 16.30, 03.11.

- Wszystko w najlepszym porządku - mruknął.



Następnym celem Poirota było Kensington Hill. Po niewielkich kłopotach, dzięki dobrodusznemu uporowi, udało mu się porozmawiać z Amelią Hill, gospodynią i kucharką zmarłego Anthony'ego Gascoigne.

Pani Hill była początkowo sztywna i podejrzliwa, ale uroczą uprzejmość dziwnie wyglądającego cudzoziemca wzruszyła by nawet kamień. Pani Hill zaczęła mięknąć.

Przyłapała się na tym, jak wiele kobiet przed nią, że wylewa swoje żale przed tym naprawdę sympatycznym słuchaczem.

Przez czternaście lat zajmowała się gospodarstwem pana Gascoigne - a nie było to łatwe zajęcie! Naprawdę nie! Wiele kobiet ugięłoby się pod brzemieniem, które ona musiała dźwigać! Nie można zaprzeczyć, że biedny pan był dziwakiem. Nadzwyczaj oszczędny - był to rodzaj manii - choć był przecież tak bogaty! Ale pani Hill służyła mu wiernie, zносиła jego humory i, naturalnie, spodziewała się jakiegoś dowodu pamięci. Ale nie - nic w ogóle! Tylko stary testament, w którym zostawił wszystkie pieniądze pani, a gdyby zmarła wcześniej niż on, przekazywał wszystko bratu Henry'emu. Testament był napisany przed wielu laty. To nie jest w porządku!

Poirot stopniowo odciągnął ją od głównego tematu nie zaspokojonej chęci zysku. To była naprawdę wielka niesprawiedliwość! Nie można jej było winić za to, że czuła się zraniona i zaskoczona. Powszechnie było wiadomo, że pan Gascoigne miał węża w kieszeni. Mówiono nawet, że zmarły odmówił wsparcia własnemu bratu. Pani Hill musiała o tym słyszeć.

- To w tej sprawie przyszedł do niego doktor Lorrimer? - spytała pani Hill. - Wiedziałam, że chodzi o brata, ale myślałam, że to brat chciał się pogodzić. Pokłócili się przed wielu laty.

- O ile mi wiadomo, pan Gascoigne odmówił stanowczo?

- Rzeczywiście - potwierdziła pani Hill. - „Henry? - powiedział dosyć słabo. - Co z tym Henrym? Nie widziałem go od lat i nie chcę widzieć. Kłótniwy z niego facet”. I to wszystko.

Konwersacja wróciła znowu do szczególnych krzywd pani Hill i nieczulej postawy prawnika zmarłego pana Gascoigne.

Herkulesowi Poirotowi udało się z trudem wyjść bez zbyt gwałtownego przerwania rozmowy.

I wreszcie, już po obiedzie, udał się do Elmcrest, domu na Dorset Road w Wimbledonie - rezydencji doktora George'a Lorrimera.

Doktor był w domu. Poirot został skierowany do gabinetu przyjęć, gdzie wkrótce zjawił się Lorrimer, najwyraźniej odszedłszy od stołu.

- Nie jestem pacjentem, doktorze - wyjaśnił Poirot. - Moje zjawienie się tu jest być może śmiałością - jestem jednak starym człowiekiem i wierzę w proste i jasne załatwianie spraw. Nie lubię prawników i ich pokrętnych, rozwlekłych metod.

Na pewno wzbudził zainteresowanie Lorrimera. Doktor był gładko wygolonym mężczyzną,

średniej tuszy. Miał brązowe włosy, ale jego rzęsy były prawie białe, a oczy blade i jakby wypłowiałe. Był rzeński i nie pozbawiony humoru.

- Prawnicy? - podchwycił, unosząc brwi. - Nienawidzę prawników! Obudził pan moją ciekawość. Proszę usiąść.

Poirot usiadł i wręczył doktorowi jedną ze swoich wizytówek.

Białe rzęsy Lorrimera zamrugały. Poirot nachylił się konfidencjonalnie.

- Dużą część moich klientek stanowią kobiety.

- Naturalnie - rzekł Lorrimer z lekkim mrugnięciem.

- Powiada pan, naturalnie - zgodził się Poirot. - Kobiety nie wierzą policji. Wolą prywatne śledztwo. Nie życzą sobie, by ich kłopoty stały się własnością publiczną. Przyszła do mnie przed paru dniami starsza kobieta. Była nieszczęśliwa z powodu męża, z którym pokłóciła się wiele lat wcześniej. Ten małżonek był pańskim wujem, zmarłym panem Gascoigne.

Twarz George'a Lorrimera stała się purpurowa.

- Moim wujem? Bzdura! Jego żona zmarła wiele lat temu.

- Nie pańskim wujem, Anthonym Gascoigne. Pańskim wujem Henrym Gascoigne.

- Wuj Henry? Ależ on nie był żonaty!

- Ależ był - kłamał Poirot w żywe oczy. - Co do tego nie ma wątpliwości. Dama przedstawiła metrykę ślubu.

- To kłamstwo! - wrzasnął George Lorrimer. Jego twarz była teraz fioletowa jak śliwka. - Nie wierzę w to. Jest pan bezwstydnym kłamcą.

- Gorzej być nie mogło, prawda? Popełnił pan morderstwo bez żadnej korzyści.

- Morderstwo? - głos Lorrimera zadrżał. Wytrzeszczył blade oczy z przerażenia.

- Przy okazji - rzekł Poirot. - Widzę, że zjadł pan znowu jeżynowy placek. Niemądry zwyczaj. Mówi się, że jeżyny mają masę witamin, ale mogą śmiertelnie szkodzić w inny sposób. W tym wypadku wyobrażam sobie, że pomogą nałożyć stryczek na pańską szyję, doktorze Lorrimer.

- Widzisz, *mon ami*, gdzie pomyliłeś się w swoim podstawowym założeniu - rzekł Poirot, promieniejąc pogodą i wymachując ręką do swego przyjaciela. - Człowiek będący pod wpływem silnego stresu nie decyduje się na robienie czegoś, czego do tej pory nie robił. Idzie po linii najmniejszego oporu. Człowiek niespokojny mógłby zejść na obiad ubrany w pizamę, ale będzie to zawsze jego własna pizama, nie cudza.

Człowiek, który nie lubi zawieszistej zupy, puddingu z łożem i jeżyn, nagle pewnego wieczoru zamawia wszystkie te trzy dania. Ty utrzymujesz, że przyczyną jest zaabsorbowanie czymś innym. A ja twierdzę, że człowiek mający umysł zajęty czymś innym, zamawia automatycznie te same dania, które do tej pory najczęściej zamawiał.

*Eh bien*, jakie mogłoby być inne wyjaśnienie? Po prostu nie potrafiłem znaleźć racjonalnego wytłumaczenia. Zaniepokoiłem się! Coś tu nie grało. Incydent nie pasował do niczego! Mam systematyczny umysł i lubię, jak wszystko się zgadza. Zamówienie obiadowe pana Gascoigne nie dawało mi spokoju.

Potem powiedziałeś mi, że ten człowiek zniknął. Nie przyszedł we wtorek i w czwartek, pierwszy raz od lat. To podobało mi się jeszcze mniej. Nagle przyszła mi do głowy dziwna hipoteza. Jeżeli miałem rację, ten człowiek nie żył. Przeprowadziłem śledztwo. Ten człowiek istotnie nie żył. Spokojnie i porządnie umarł. Innymi słowy był jak niedobra ryba, pokryta sosem!

Widziano go na King's Road o siódmej. Jadł obiad o pół do ósmej - dwie godziny przed śmiercią. Wszystko się zgadzało - zawartość żołądka, list. O wiele za dużo sosu! W ogóle nie można było dostrzec ryby!

Oddany siostrzeniec napisał list, oddany siostrzeniec miał alibi na czas zgonu. Śmierć była zwyczajna - upadek ze schodów. Zwykły wypadek? A może zwykłe morderstwo? Każdy uzna, że to pierwsze.

Oddany siostrzeniec jest jedynym żyjącym krewnym. Oddany siostrzeniec będzie dziedziczył - a czy jest coś do odziedziczenia? Wiedziano, że wuj był biedakiem.

Ale jest jeszcze brat. A brat w swoim czasie poślubił bogatą kobietę. I ten brat żyje teraz w wielkim domu na Kensington Road, wygląda zatem, że żona musiała zostawić mu wszystkie pieniądze. Widzisz ten ciąg zdarzeń? Bogata żona zostawia pieniądze Anthony'emu, Anthony zostawia je Henry'emu, a ten przekazuje wszystko George'owi - łańcuch staje się kompletny.

- Wszystko to jest piękną teorią - rzekł Bonnington. - A co zrobiłeś?

- Jeżeli człowiek wie już wszystko, zwykle uzyskuje to, czego pragnie. Henry zmarł dwie godziny po posiłku - tym zajmowało się właściwie śledztwo. Przypuśćmy jednak, że tym posiłkiem był nie obiad, lecz lunch. Postaw się na miejscu George'a. Potrzebuje pilnie pieniędzy. Anthony Gascoigne jest umierający, ale jego śmierć nie jest korzystna dla George'a. Pieniądze przechodzą na Henry'ego, a on może żyć jeszcze wiele lat. Więc Henry musi również umrzeć, im wcześniej, tym lepiej, ale ta śmierć musi nastąpić po zgonie Anthony'ego, a George musi mieć alibi na ten czas. Henry ma zwyczaj jadać obiady dwa razy tygodniowo w restauracji i to staje się podstawą alibi George'a. Będąc człowiekiem przezornym, najpierw wypróbował plan. W poniedziałek wieczór odgrywa rolę wuja w wiadomej restauracji. Rzecz udaje się bez przeszkód. Wszyscy uważają go za wuja. George jest zadowolony. Czeka tylko na moment, w którym wuj Anthony zacznie naprawdę umierać. Chwila nadchodzi. Píše do Henry'ego list po południu drugiego listopada, ale datuje go na trzeciego. Wychodzi do miasta po południu trzeciego, wpada do wuja i realizuje swój plan. Gwałtowne pchnięcie i wuj Henry spada ze schodów. George odnajduje napisany przez siebie list i

wkłada go do kieszeni szlafroka wuja. O siódmej trzydzieści jest już w Gallant Endeavour, z brodą, krzaczastymi brwiami, kompletnie ucharakteryzowany. Nie ma wątpliwości, że pan Henry Gascoigne był żywy o siódmej trzydzieści. Potem błyskawiczna metamorfoza w toalecie, szybka jazda samochodem do Wimbledonu i wieczór przy brydżu. Alibi doskonałe.

Pan Bonnington popatrzył na niego.

- A stempel na liście?

- Och, to było bardzo proste. Stempel był zamazany. Został przerobiony z drugiego na trzeciego listopada. Nie można tego zauważyć, chyba że się specjalnie sprawdza. I wreszcie były kosy.

- Kosy?

- Dwadzieścia cztery kosy zapieczone w placku! Albo jeżyny, jeśli wolisz być dosłowny. Rozumiesz, George nie był mimo wszystko wystarczająco dobrym aktorem. Pamiętasz tego aktora, który do roli Otella czernił całe ciało? Takim właśnie aktorem trzeba być w zbrodni. George wyglądał jak wuj, chodził i mówił jak on, miał jego brodę i brwi, ale zapomniał jeść jak wuj. Zamówił dania, które lubił sam. Jeżyny barwią zęby, zęby zmarłego nie były przebarwione, a przecież Henry Gascoigne jadł tego wieczoru jeżyny w Gallant Endeavour. Jednak w jego żołądku nie było jagód. Zapytałem o to tego ranka. Przy tym George był dość głupi, by zatrzymać brodę i resztę przebrania. Och! Jak się już szuka, znajduje się mnóstwo dowodów. Wstąpiłem do George'a i wziąłem go krzykiem. To był koniec! On znowu jadł jeżyny, nawiasem mówiąc. Łakomy facet - bardzo się troszczy o jedzenie. *Eh bien*, jego łakomstwo będzie wisieć razem z nim, chyba że się bardzo mylę.

Kelnerka przyniosła dwie porcje placka jabłkowo-jeżynowego.

- Zabierz to - rzekł Bonnington. - Nigdy za wiele ostrożności. Przynieś mi małą porcję puddingu z sago.

## Sen

Herkules Poirot przyjrzał się uważnie domowi. Jego oczy błędziły chwilę po otoczeniu, sklepach, budynkach wielkiej fabryki po prawej, tanich blokach mieszkalnych po lewej stronie.

Jeszcze raz spojrzął na Northway House - relikw minionych lat - lat wolnej przestrzeni i wolnego czasu, kiedy jego zamożną wyniosłość otaczały zielone pola. Teraz dom był anachronizmem, zatopionym i zapomnianym w gorączkowym morzu współczesnego Londynu i nawet jeden człowiek na pięćdziesięciu nie potrafił powiedzieć, gdzie się on znajduje.

Co więcej, niewiele osób mogło powiedzieć, do kogo należy, choć właściciel był jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Ale pieniądze mogą zarówno stłumić rozgłos, jak i narobić szumu. Benedict Farley, ekscentryczny milioner, wolał nie reklamować wyboru swojej rezydencji. Rzadko pokazywał się publicznie. Od czasu do czasu zjawiał się na posiedzeniach zarządu, jego pochylona postać, wydatny nos i chrapliwy głos z łatwością dominowały wśród zgromadzonych. Oprócz tego był postacią legendarną. Znano jego niezwykłą opryskliwość, niewiarygodną hojność, jak również szczegóły z życia osobistego - dwudziestoośmioletni połatany szlafrok, niezmienną dietę złożoną z kapuśniaku i kawioru, nienawiść do kotów. Wszystkie te szczegóły były powszechnie znane.

Herkules Poirot znał je również. To było wszystko, co wiedział o człowieku, do którego się wybierał. List, który miał w kieszeni płaszcza, powiedział mu trochę więcej.

Obejrząwszy w spokoju i ciszy melancholijny zabytek dawnych lat, wszedł po schodach i nacisnął dzwonek przy frontowych drzwiach. Spojrzął na swój ładny ręczny zegarek, który ostatnio zastąpił ulubioną, starą „cebule”. Była dokładnie dziewięć trzydzieści. Jak zawsze Herkules Poirot był punktualny co do minuty.

Po stosownej przerwie drzwi się otworzyły. Przedstawiciel gatunku doskonałych kamerdynerów rysował się na tle oświetlonego hallu.

- Pan Benedict Farley? - zapytał Poirot. Bezosobowe spojrzenie zbadało go od stóp do głów obojętnie, lecz skutecznie.

*En gros et en detail\**, pomyślał Poirot ze zrozumieniem.

- Jest pan umówiony? - zapytał uprzejmy głos.

- Tak.

- Pańskie nazwisko, *sir*?

- Herkules Poirot.

Kamerdyner cofnął się z ukłonem. Poirot wszedł do domu. Lokaj zamknął za nim drzwi.

Zanim jednak zręczne ręce zabrały kapelusz i laskę gościa, nastąpiła jeszcze jedna formalność.

- Wybacz pan, *sir*. Kazano mi zapytać o list.

Poirot z namysłem wyjął złożony list i wręczył go kamerdynerowi. Ten zaledwie spojrzał i zwrócił go z ukłonem. Poirot włożył go na powrót do kieszeni. Treść listu była prosta.

*Northway House, W.8*

*Pan Herkules Poirot*

*Szanowny Panie*

*Pan Benedict Farley chciałby skorzystać z pańskiej rady. Jeżeli odpowiada to panu, byłby wdzięczny, gdyby odwiedził go pan pod powyższym adresem jutro (czwartek) o pół do dziesiątej wieczór.*

*Z poważaniem*

*Hugo Comworthy*

*(sekretarz)*

*PS Proszę wziąć list z sobą.*

Kamerdyner uwolnił Poirota od laski, kapelusza i płaszcza.

- Zechce pan pójść do pokoju pana Cornworthy'ego? Poprowadził detektywa szerokimi schodami. Poirot szedł za nim, podziwiając bogate i krzykliwe *objects d'art*. Jego upodobania artystyczne były zawsze trochę mieszczańskie.

Na piętrze kamerdyner zapukał do drzwi.

Herkules Poirot uniósł lekko brwi. To była pierwsza fałszywa nuta. Najlepsi lokaje nie pukają do drzwi - a to był niewątpliwie znakomity lokaj!

Taki był pierwszy kontakt z dziwactwami milionera.

Głos z wnętrza pokoju zawołał. Kamerdyner otworzył drzwi (znowu Poirot wyczuł świadome odejście od ogólnie przyjętych zwyczajów) i zaanonsował:

- Dżentelmen, którego pan oczekiwał.

Poirot wszedł do pokoju. Był dość duży, umeblowany bardzo skromnie, jak pokój służący do pracy. Szafki na dokumenty, informatory, kilka foteli i okazałe biurko, założone porządnie poukładanymi papierami. Kąty pokoju były ciemne, gdyż jedyne źródło światła stanowiła lampa z wielkim, zielonym abażurem, stojąca na małym stoliku, obok jednego z foteli. Była ustawiona tak, by

oświetlać każdego, kto ukazywał się w drzwiach. Herkules Poirot zamrugał lekko, stwierdzając, że żarówka w lampie ma co najmniej sto pięćdziesiąt watów. W fotelu siedziała szczupła postać w połatanym szlafroku - Benedict Farley. Jego głowa była wysunięta do przodu w charakterystycznej pozie, wydatny nos sterczał jak ptasi dziób. Czub białych włosów wznosił się nad czołem jak u kakadu. Oczy połyskiwały zza grubych szkielek, kiedy przyglądał się podejrzliwie gościowi.

- Hej - odezwał się w końcu, a jego głos był ostry i szorstki, ze zgrzytliwym tonem - więc to pan jest Herkules Poirot, co?

- Do usług - odparł grzecznie Poirot i skłonił się, trzymając rękę na oparciu krzesła.

- Niech pan siada, niech pan siada - rzekł stary człowiek z rozdrażnieniem.

Herkules Poirot usiadł w oślepiającym świetle lampy. Spoza niej starzec przypatrywał mu się uważnie.

- Skąd mogę wiedzieć, że jest pan Herkulesem Poirotem - dopytywał się niespokojnie. - Powie mi to pan - co?

Poirot ponownie wyjął list z kieszeni i wręczył go Farleyowi.

- Tak - przyznał milioner niechętnie - To jest to, co napisał Cornworthy.

Złożył list i zwrócił go.

- Więc to pan?

- Zapewniam pana, że nie ma tu żadnego oszustwa! - oświadczył Poirot z lekkim skinieniem ręki.

Benedict Farley nagle zachichotał.

- Tak właśnie mówi magik, wyciągając królika z cylindra! Te słowa są częścią sztuczki, jak pan wie.

Poirot nie odpowiedział. Farley nagle dodał:

- Uważa mnie pan za podejrzliwego staruszka, co? No i jestem. Nie wierzyć nikomu! To moje motto. Nie może pan wierzyć nikomu, jeśli jest pan bogaty. Tak, nikomu.

- Życzył pan sobie zasięgnąć mojej rady? - napomknął delikatnie Poirot.

Stary człowiek przytaknął.

- Korzystaj z rady eksperta i nie licz się z kosztami. Zauważył pan, że nie pytałem o pańskie honorarium? I nie zamierzam pytać! Proszę przysłać mi potem rachunek - nie rozgniewam się. Cholerni durnie z mleczarni sądzili, że mogą mi policzyć za jajka dwa dziewięć, podczas gdy

rynkowa cena wynosiła dwa i siedem - kupa oszustów! Nie daję się oszwabić! Jednak człowiek wybitny, to co innego. Jest wart swoich pieniędzy. Sam jestem na szczycie, więc wiem.

Herkules Poirot nie odpowiedział. Słuchał uważnie, z lekko przechyloną głową.

Mimo beznamietnego wyrazu twarzy odczuwał pewne rozczarowanie. Nie potrafił go zdefiniować. Na razie Benedict Farley zachowywał się dość typowo, to znaczy odpowiadał popularnemu wyobrażeniu o sobie, a jednak Poirot czuł się zawiedziony.

- Ten człowiek - powiedział z niesmakiem do siebie - jest oszustem, zwyczajnym oszustem.

Znał innych milionerów, ludzi również ekscentrycznych, ale niemal w każdym wypadku wyczuwał pewną siłę, wewnętrzną energię, wzbudzającą szacunek. Jeżeli nosili połatany szlafrok, to dlatego, że lubili go nosić. Natomiast szlafrok Benedicta Farleya wydawał się Poirotowi niezbędnym rekwizytem teatralnym. Każde słowo, które wypowiedział, służyło - Poirot był pewien - wyłącznie do wywołania efektu.

- Życzył pan sobie zasięgnąć mojej porady, panie Farley? - powtórzył obojętnie.

Nagle sposób bycia milionera zmienił się.

Nachylił się ku niemu. Jego głos przeszedł w krakanie.

- Tak. Tak... Chcę usłyszeć, co pan powie... co pan myśli... Zwróć się do najlepszego! To mój sposób! Najlepszy lekarz... najlepszy detektyw... Sprawa leży między nimi dwoma.

- Na razie, *monsieur*, nic nie rozumiem.

- Naturalnie - warknął Farley. - Nie zacząłem jeszcze mówić.

Pochylił się jeszcze raz i rzucił pytanie.

- Panie Poirot, co pan wie na temat snów?

Brwi Poirota uniosły się. Tego się w każdym razie nie spodziewał.

- Do tego celu polecałbym „Księgę snów Napoleona” albo najnowszego psychologa z Harley Street.

- Próbowałem obu tych sposobów... - odparł trzeźwo Farley.

Nastąpiła pauza, po czym milioner zaczął mówić, najpierw szeptem, potem jego głos stawał się coraz głośniejszy.

- To wciąż ten sam sen - noc po nocy. Boję się, powiadam panu, boję się... Zawsze jest tak samo. Siedzę w sąsiednim pokoju. Siedzę przy biurku i piszę. Stoi tam zegar, spoglądam na niego i widzę godzinę - dokładnie dwadzieścia po trzeciej. Zawsze ta sama pora, rozumie pan. I kiedy widzę



godzinę, wiem, że muszę to zrobić. Nie chcę tego, robię to z ciężkim sercem... ale muszę...

Jego głos wznosił się przeraźliwie.

- A co to jest, co musi pan zrobić? - zapytał niewzruszony Poirot.

- Dwadzieścia osiem po trzeciej - powiedział Farley ochryłym głosem - otwieram drugą szufladę po prawej w moim biurku, wydaję rewolwer, który tam trzymam, ładuję go i podchodzę do okna. A potem... potem...

- Tak?

- Potem zabijam się - wyszeptał Farley.

Zapanowała cisza.

- I to jest ten pański sen? - spytał Poirot.

- Tak.

- Taki sam każdej nocy?

- Tak.

- Co dzieje się, kiedy się pan zabije?

- Budzę się.

Poirot pokiwał głową wolno i z namysłem.

- Jeśli chodzi o rewolwer, czy trzyma go pan właśnie w tej szufladzie?

- Tak.

- Dlaczego?

- Zawsze tak było. Jest przygotowany.

- Przygotowany do czego?

- Człowiek z moją pozycją musi się pilnować - odparł Farley z irytacją. - Wszyscy bogaci ludzie mają wrogów.

Poirot nie kontynuował tematu. Milczał chwilę.

- Po co właściwie mnie pan sprowadził? - spytał wreszcie.

- Powiem panu. Najpierw radziłem się lekarzy - dokładnie mówiąc, trzech lekarzy.

- Tak?

- Pierwszy oświadczył, że to kwestia diety. Był starszym człowiekiem. Drugi był młody, miał nowoczesne poglądy. Zapewnił mnie, że wszystko jest związane z pewnym wydarzeniem z wczesnego dzieciństwa o tej właśnie porze dnia, o trzeciej dwadzieścia osiem. Tak mocno pragnę zapomnieć o tym zdarzeniu, że przyjmuje to formę samounicestwienia. To jego tłumaczenie.

- A trzeci lekarz?

Głos Benedicta Farleya zabrzmiał gniewem.

- Ten też był młody. Miał śmieszna teorię! Twierdził, że jestem zmęczony życiem, że moje życie jest tak nieznośne, iż pragnę rozmyślnie je zakończyć! Ponieważ jednak uświadomienie sobie tego faktu byłoby przyznaniem się do przegranej, w okresie świadomości odmawiam pogodzenia się z prawdą. Kiedy śpię, hamulce nie działają i robię to, co chciałbym naprawdę zrobić. Kończę z sobą.

- On uważa, że naprawdę chce pan, oczywiście nieświadomie, popełnić samobójstwo?

Benedict Farley krzyknął ostro.

- To jest niemożliwe - niemożliwe! Mam wszystko, czego chcę - co można dostać za pieniądze! To absurdalne - niewiarygodne jest nawet sugerowanie czegoś podobnego!

Poirot przyglądał się mu z zainteresowaniem. Może coś w trzęsących się rękach, w przeraźliwości drżącego głosu ostrzegło go, że zaprzeczenie było zbyt gwałtowne, że jego upór był sam w sobie podejrzany. Zadowolił się zrobieniem uwagi:

- A gdzie tu miejsce dla mnie, *monsieur*?

Benedict Farley nagle uspokoił się. Zapukał zdecydowanie palcem w stojący obok stół.

- Jest inna możliwość. Jeśli mam rację, pan jest człowiekiem, który o tym wie. Jest pan sławny, miał pan setki spraw - fantastycznych, nieprawdopodobnych spraw! Jeżeli ktokolwiek wie, to pan.

- Wie o czym?

Głos Farleya opadł do szeptu.

- Przypuśćmy, że ktoś chce mnie zabić... Czy mogliby zrobić to w taki sposób? Mogliby wywoływać u mnie ten sen, noc po nocy?

- Ma pan na myśli hipnozę?

- Tak.

Herkules Poirot rozważył tę kwestię.

- Przypuszczam, że to możliwe - powiedział wreszcie. - Jest to w większym stopniu problem dla lekarza.

- Nie spotkał pan takiego przypadku w swojej praktyce?

- Dokładnie takiego samego, nie.

- Rozumie pan, do czego zmierzam? Wmawia mi się sen, ten sam sen, noc po nocy - i pewnego dnia sugestia jest zbyt silna - i postępuję zgodnie z nią. Robię to, o czym śniłem tak często - zabijam się!

Herkules Poirot potrząsnął głową.

- Nie uważa pan tego za możliwe?

- Możliwe? - Poirot potrząsnął głową. - To nie jest słowo, którego bym użył.

- Ale uważa pan to za nieprawdopodobne?

- Zupełnie nieprawdopodobne.

- Lekarze też tak twierdzą... - mruknął Farley. Potem jego głos znowu wzniósł się w przenikliwym krzyku.

- Dlaczego mam ten sen? Dlaczego? Dlaczego? Herkules Poirot potrząsnął głową.

- Jest pan pewny, że nic takiego nie zdarzyło się w pańskiej praktyce? - zapytał Farley.

- Nigdy.

- To właśnie chciałem wiedzieć.

Poirot delikatnie odchrząknął.

- Pozwoli pan, że o coś zapytam?

- O co chodzi? O co chodzi? Pytaj pan, o co pan chce.

- Kogo podejrzewa pan o chęć zabicia pana?

- Nikogo - warknął Farley. - Nikogo w ogóle.

- Ale ten pomysł przyszedł panu do głowy - upierał się Poirot.

- Chciałem wiedzieć, czy istnieje taka możliwość.

- Według mojego doświadczenia - nie. Nawiasem mówiąc, czy był pan kiedykolwiek hipnotyzowany?

- Oczywiście, że nie. Uważa pan, że poddałbym się podobnemu błazeństwu?

- Zatem można powiedzieć, że pańska teoria jest zupełnie nieprawdopodobna.

- Ale ten sen, głupcze, ten sen?

- Sen jest oczywiście godny uwagi - rzekł Poirot w zadumie. Przerwał i po chwili kontynuował.

- Chciałbym zobaczyć scenę, na której rozgrywa się dramat - biurko, zegar i rewolwer.

- Oczywiście, zabiorę pana do sąsiedniego pokoju. Owijając się fałdami połatanego szlafroka, stary człowiek podniósł się prawie z fotela. Potem nagle, jakby coś go uderzyło, opadł na siedzenie.

- Nie - oświadczył. - Tam nie ma nic do oglądania. Opowiedziałem panu wszystko, co było do opowiedzenia.

- Ale powinienem zobaczyć wszystko osobiście...

- Nie ma takiej konieczności - warknął Farley. - Przekazał mi pan swoją opinię i na tym koniec.

Poirot wzruszył ramionami.

- Jak pan sobie życzy - wstał. - Przykro mi, panie Farley, że nie byłem w stanie panu pomóc.

Benedict Farley patrzył prosto przed siebie.

- Nie życzę sobie żadnych krętaństw - burknął. - Przedstawiłem panu fakty, a pan nie potrafił nic z nimi zrobić. To zamyka sprawę. Może mi pan przysłać rachunek za konsultację.

- Nie omieszkam tego zrobić - odparł sucho detektyw. Skierował się ku drzwiom.

- Niech pan zaczeka - zawołał go milioner. - Ten list - chcę go z powrotem.

- List od pańskiego sekretarza?

- Tak.

Poirot podniósł brwi. Włożył rękę do kieszeni, wyjął z niej złożoną kartkę i wręczył starcowi. Ten przyjrzał się jej dokładnie i położył na stojącym obok stole.

Herkules Poirot jeszcze raz podszedł do drzwi. Był zaintrygowany. Jego umysł pracował nad historią, którą mu opowiedziano. Jednak wśród tej pracy umysłowej, męczyło go przekonanie, że coś tu nie pasuje. I że dotyczy to jego samego, a nie Benedicta Farleya.

Kiedy miał rękę na klamce, pojął wszystko. On, Herkules Poirot, popełnił błąd! Jeszcze raz zawrócił do pokoju.

- Przepraszam stokrotnie! Zainteresowany pańskim problemem popełniłem głupstwo. Ten list,

który panu wręczyłem, przez pomyłkę wyjąłem z prawej kieszeni, zamiast z lewej...

- Co to znaczy? Co to znaczy?

- List, który panu wręczyłem, to przeprosiny mojej praczki w sprawie prasowania kołnierzyków - Poirot uśmiechał się przepraszająco. Sięgnął do lewej kieszeni. Oto pański list.

Benedict Farley chwycił go.

- Dlaczego, do diabła, nie uważa pan na to, co pan robi - burknął.

Poirot odzyskał wiadomość od praczki, przeprosił wdzięcznie jeszcze raz i opuścił pokój.

Przystanął na moment na obszernym podeście. Naprzeciw niego stała wielka dębowa skrzynia z oparciem, a przed nią refektarzowy stół. Na stole leżały magazyny. Obok stał stolik z kwiatami i dwa fotele. Przypominało to poczekalnię u dentysty.

Kamerdyner czekał w hallu na dole, by go wypuścić.

- Czy mogę wezwać taksówkę, *sir*?

- Dziękuję, wieczór jest ładny. Przejdę się.

Herkules Poirot czekał chwilę na chodniku na przerwę w ruchu ulicznym, by przejść na drugą stronę. Jego czoło było zmarszczone.

- Nie - rzekł do siebie. - Nic nie rozumiem. To wszystko nie ma sensu. To godne pożałowania, ale muszę przyznać, że ja, Herkules Poirot, jestem zupełnie zbity z tropu.

To był, jakby można określić, pierwszy akt dramatu. Akt drugi rozegrał się w tydzień później. Rozpoczął go telefon od Johna Stillingfleet, doktora medycyny.

Doktor odezwał się z niezwykłym brakiem dobrych lekarskich obyczajów.

- To ty, Poirot, stary koniu? Mówi Stillingfleet.

- Tak, przyjacielu. Co się stało?

- Mówię z Northway House, rezydencji Benedicta Farleya.

- Ach, tak? - w głosie Poirota zabrzmiało zainteresowanie. - Co z panem Farleyem?

- Nie żyje. Zastrzelił się dziś po południu.

Nastąpiła cisza.

- Tak... - odezwał się wreszcie Poirot.

- Zauważyłem, że nie podskoczyłeś ze zdziwienia. Wiesz coś o tym, stary koniu?

- Dlaczego tak sądzisz?

- No cóż, to nie jest błyskotliwa dedukcja ani telepatia, ani nic podobnego. Znaleźliśmy notatkę Farleya, że miałeś z nim spotkanie tydzień temu.

- Rozumiem.

- Mamy tu łagodnego inspektora policji - musi być ostrożny, kiedy któryś z tych milionerów strzeli sobie w łeb. Jest ciekawy, czy nie mógłbyś rzucić trochę światła na tę sprawę. Jeżeli tak, może byś wpadł?

- Przyjdę natychmiast.

- To fajnie, stary. Przykra robota, co?

Poirot powtórzył tylko, że przyjeżdża natychmiast.

- Nie chcesz wypaplać tajemnic przez telefon? Słusznie. Do zobaczenia.

Kwadrans później Poirot siedział w bibliotece, niskim, długim pokoju, w tylnej części parteru Northway House. W pokoju było jeszcze pięć osób. Inspektor Barnett, doktor Stillingfleet, pani Farley, wdowa po milionerze, Joanna Farley, jego jedyna córka, i Hugo Cornworthy, jego prywatny sekretarz.

Wśród nich inspektor Barnett wyglądał na dyskretnego wojskowego. Doktor Stillingfleet, którego profesjonalny sposób bycia różnił się całkowicie od stylu prezentowanego przez telefon, był wysokim trzydziestolatkiem o pociągłej twarzy. Pani Farley najwyraźniej była znacznie młodsza od męża. Była przystojną, ciemnowłosą kobietą. Miała zaciśnięte usta, a jej czarne oczy nie objawiały żadnych uczuć. Wydawała się całkowicie opanowana.

Joanna Farley miała jasne włosy i piegowatą twarz. Wydatny nos i podbródek odziedziczyła najwyraźniej po ojcu.

Jej oczy były przenikliwe i inteligentne. Hugo Cornworthy był przystojnym, młodym człowiekiem, ubranym z wielką dbałością. Wydawał się bystry i kompetentny.

Po powitaniach i prezentacjach Poirot opowiedział zwięźle i jasno okoliczności swojej wizyty i historię, jaką mu przedstawił Benedict Farley. Nie mógł uskarżać się na brak zainteresowania.

- Najbardziej zadziwiająca historia, jaką kiedykolwiek słyszałem! - oświadczył inspektor. - Sen? Czy wiedziała pani coś o tym, pani Farley?

Skinęła głową.

- Mąż wspominał mi o tym. Był bardzo zaniepokojony. Powiedziałam mu, że to niestrawność -

wie pan, że jego dieta była dziwna - i zaproponowałam, żeby wezwał doktora Stillingfleeta.

Młody człowiek potrząsnął głową.

- Nie konsultował się ze mną. Jak wynika z opowieści pana Poirota, udał się na Harley Street.

- Chciałbym usłyszeć pańskie zdanie na ten temat, doktorze - rzekł Poirot. - Pan Farley powiedział mi, że zasięgnął rady trzech specjalistów. Co pan sądzi o wysuniętych przez nich teoriach?

Stillingfleet zachmurzył się.

- Trudno powiedzieć. Musi pan wziąć pod uwagę, że to, co przekazał panu, nie było dokładnie tym, co powiedzieli mu lekarze. To była interpretacja laika.

- Ma pan na myśli, że użył niewłaściwej terminologii?

- Niekoniecznie. Uważam, że oni przedstawiali mu sprawę, używając terminów zawodowych, które on trochę przeinaczał, a potem przedstawiał po swojemu.

- Więc to, co mi mówił, nie jest dokładnie tym, co mówili mu lekarze?

- Właśnie. Po prostu nadawał wszystkiemu trochę odmienne znaczenie, jeżeli mnie pan rozumie.

Poirot skinął głową w zamyśleniu.

- Czy wiadomo, z kim się konsultował?

Pani Farley potrząsnęła głową, a Joanna Farley zauważyła:

- Nikt z nas nie miał pojęcia, że w ogóle zasięgał czyjejś rady.

- Mówił pani o swoim śnie? - zapytał Poirot.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- A panu, panie Cornworthy?

- Nie, nic mi nie mówił. Napisałem list do pana pod jego dyktando, ale nie miałem pojęcia, dlaczego chciał się pana poradzić. Myślałem, że może ma to coś wspólnego z jakimiś kłopotami w interesach.

- Jakie są okoliczności śmierci pana Farleya?

Inspektor Barnett popatrzył pytająco na panią Farley i doktora Stillingfleeta, a potem przyjął na siebie rolę mówcy.

- Pan Farley miał zwyczaj pracować każdego popołudnia w swoim pokoju na pierwszym

piętrze. O ile wiem, miała nastąpić wielka fuzja przedsiębiorstw...

Spojrzał na Hugona Cornworthy'ego, który podpowiedział:

- Zjednoczone Przedsiębiorstwa Autobusowe.

- W związku z tym - kontynuował inspektor - pan Farley zgodził się udzielić wywiadu dwóm przedstawicielom prasy. Bardzo rzadko robił coś podobnego, o ile mi wiadomo - raz na pięć lat. Według zeznań tych reporterów, jednego z „Associated Newsgroups”, a drugiego z „Amalgamated Presssheets”, przyszedli oni na spotkanie kwadrans po trzeciej. Czekali na pierwszym piętrze, obok drzwi pokoju pana Farleya, co było zwyczajowym miejscem dla ludzi oczekujących na spotkanie z panem Farleyem. Dwadzieścia po trzeciej przybył posłaniec z biura Zjednoczonych Linii Autobusowych z ważnymi papierami. Został skierowany do pokoju pana Farleya, któremu wręczył dokumenty. Pan Farley odprowadził go do drzwi i stamtąd powiedział do dziennikarzy: „Przykro mi, panowie, że muszę was jeszcze przetrzymać, ale mam pewną bardzo pilną sprawę do załatwienia. Postaram się skończyć jak najszybciej”. Obaj panowie, pan Adams i pan Stoddard, zapewnili pana Farleya, że będą na niego czekać. Wrócił do pokoju, zamknął drzwi - i nigdy już nie widziano go żywego.

- Proszę mówić dalej - ponaglił go Poirot.

- Niedługo po czwartej pan Cornworthy wyszedł z sąsiedniego pokoju i zdziwił się, widząc czekających dziennikarzy. Potrzebował podpisu pana Farleya pod paroma listami i pomyślał, że będzie też lepiej przypomnieć mu o tych dwu dżentelmenach. Wobec tego wszedł do pokoju pana Farleya. Ku swemu zaskoczeniu nie zobaczył go początkowo i pomyślał, że pokój jest pusty. Potem zauważył but wystający zza biurka (które jest usytuowane przed oknem). Szybko podszedł i znalazł pana Farleya leżącego na ziemi bez życia, z rewolwerem obok. Pan Cornworthy wybiegł z pokoju i polecił kamerdynerowi, by zadzwonił po doktora Stillingfleet. Zgodnie z jego radą pan Cornworthy zawiadomił również policję.

- Czy słyszano strzał? - spytał Poirot.

- Nie. Tu jest bardzo duży ruch, a okno na podeście było otwarte. Przy hałasie ciężarówek i dźwiękach klaksonów byłoby mało prawdopodobne, by ktoś usłyszał strzał.

Poirot skinął głową z namysłem.

- Jaki jest przypuszczalny czas śmierci?

- Badałem ciało tuż po przyjeździe tutaj - odparł Stillingfleet - to jest trzydzieści dwie minuty po czwartej. Pan Farley nie żył co najmniej od godziny.

Twarz Poirota była bardzo poważna.

- A więc wydaje się możliwe, że śmierć nastąpiła w porze, którą mi wymienił - to znaczy dwadzieścia osiem minut po trzeciej.



- Dokładnie - rzekł Stillingfleet.
- Czy na rewolwerze były jakieś odciski palców?
- Tak, jego własne.
- A rewolwer? Inspektor podjął opowieść.

- Był to ten, który trzymał w drugiej szufladzie po prawej stronie biurka, tak jak panu powiedział. Pani Farley z wszelką pewnością zidentyfikowała go. Co więcej jest tylko jedno wejście do tego pokoju, drzwi prowadzące na podest. Dwaj dziennikarze siedzieli naprzeciw drzwi i przysięgają, że nikt nie wszedł do pokoju od czasu, kiedy pan Farley rozmawiał z nimi, do chwili wejścia pana Cornworthy'ego, parę minut po czwartej.

- Więc są wszelkie powody, by sądzić, że pan Farley popełnił samobójstwo.

Inspektor Barnett uśmiechnął się.

- Nie byłoby wątpliwości, gdyby nie jedna rzecz.
- A mianowicie?
- List napisany do pana.

Poirot uśmiechnął się również.

- Rozumiem! Tam gdzie wmieszany jest Herkules Poirot, powstaje podejrzenie morderstwa!
- Właśnie - rzekł inspektor sucho. - Jednak, po pańskich wyjaśnieniach...

Poirot przerwał mu.

- Momencik.

Zwrócił się do pani Farley.

- Czy pani mąż został kiedyś zahipnotyzowany?
- Nigdy.
- A czy zajmował się zagadnieniem hipnozy? Interesował się tą sprawą?
- Nie sądzę.

Nagle jej opanowanie zawiodło.

- Ten przerażający sen! To niesamowite! Śniło mu się to... noc po nocy... a potem... to jest tak, jakby został zaszczuty na śmierć!

Poirot przypomniał sobie Benedicta Farleya mówiącego: „Robię to, o czym śniłem tak często - zabijam się!”

- Czy przyszło pani kiedykolwiek do głowy, że pani mąż zamierza popełnić samobójstwo?

- Nie... a przynajmniej... czasami bywał bardzo dziwny. Wdarł się głos Joanny Farley, jasny i pogardliwy.

- Ojciec nigdy by się nie zabił. Za bardzo dbał o siebie.

- To nie jest tak, że samobójstwo popełniają tylko ludzie, którzy grożą, że to zrobią, panno Farley - wyjaśnił doktor Stillingfleet. - Dlatego właśnie samobójstwa wydają się czasem niewytłumaczalne.

Poirot podniósł się.

- Jeżeli można, chciałbym zobaczyć pokój, gdzie zdarzyła się tragedia.

- Oczywiście. Doktorze Stillingfleet... Doktor poszedł z detektywem na górę.

Pokój Benedicta Farleya był znacznie większy niż znajdujący się obok pokój sekretarza. Jego luksusowe urządzenie składało się z głębokich, krytych skórą foteli, grubego wełnianego dywanu i wspianego olbrzymiego biurka.

Poirot stanął za biurkiem, gdzie widniała ciemna plama na dywanie koło okna. Przypomniał sobie milionera mówiącego: „Dwadzieścia osiem po trzeciej otwieram drugą szufladę po prawej w moim biurku, wydaję rewolwer, który tam trzymam, ładuję go i podchodzę do okna. A potem - potem strzelam do siebie”.

Pokiwał wolno głową.

- Okno było otwarte, jak teraz?

- Tak. Ale wtedy nikt nie mógł wejść.

Poirot wysunął głowę. Nie było tam gzymsu ani parapetu, ani żadnych rur. Nawet kot nie mógłby się tam dostać. Naprzeciw wznosił się ślepy mur fabryki, bez żadnych okien.

- Dziwny pokój wybrał sobie ten bogacz na swoje sanktuarium, z takim widokiem - zauważył Stillingfleet. - Wygląda to jak więzienny mur.

- Tak - zgodził się Poirot. Cofnął głowę i wpatrywał się w ceglana ścianę. - Uważam, że ta ściana jest ważna.

Stillingfleet popatrzył na niego zaintrygowany.

- Masz na myśli jej znaczenie psychologiczne?

Poirot podszedł do biurka. Bezwiednie - a przynajmniej tak wyglądało - wziął parę szczypiec, nazywanych szczypcami leniucha. Nacisnął uchwyt i szczypce rozwarły się na pełną szerokość. Delikatnie podniósł nimi wypaloną zapałkę, leżącą parę stóp od krzesła, i przeniósł ją ostrożnie do kosza na papiery.

- Kiedy skończysz się tym bawić... - powiedział poirytowany Stillingfleet.

- Genialny wynalazek - zamruczał Poirot i odłożył szczypce na biurko.

- Gdzie były pani Farley i panna Farley w chwili śmierci? - spytał.

- Pani Farley wypoczywała w swoim pokoju, piętro wyżej. Panna Farley malowała w swojej pracowni na ostatniej kondygnacji.

Herkules Poirot dłuższą chwilę bębnił bezmyślnie palcami po blacie biurka.

- Chciałbym zobaczyć pannę Farley. Myślisz, że mógłbym poprosić, żeby przyszła tutaj na chwilę?

- Jeśli chcesz.

Lekarz popatrzył na niego z ciekawością i opuścił pokój. Po chwili drzwi otworzyły się i weszła Joanna Farley.

- Nie ma pani nic przeciw temu, bym zadał pani parę pytań?

Poprzyła na niego chłodno.

- Proszę pytać, o co pan chce.

- Czy wiedziała pani, że ojciec trzyma rewolwer w biurku?

- Nie.

- Gdzie była pani i pani matka - to znaczy macocha - dobrze mówię?

- Tak, Louise jest drugą żoną mego ojca. Jest starsza ode mnie tylko o osiem lat. Mówił pan o...

- Gdzie były panie w czwartek, w ostatnim tygodniu? To znaczy, w czwartek wieczorem.

- W czwartek? Zaraz. Och, tak, poszłyśmy do teatru, na „Zaśmiał się piesek”.

- Pani ojciec nie chciał paniom towarzyszyć?

- On nigdy nie chodził do teatru.

- A co zwykle robił wieczorami?

- Siedział tu i czytał.

- Nie był bardzo towarzyskim człowiekiem?

Dziewczyna popatrzyła mu prosto w oczy.

- Mój ojciec miał niezwykle nieprzyjemną osobowość. Nikt, kto żył z nim blisko, nie mógł go lubić.

- To, *mademoiselle*, bardzo szczerą wypowiedź.

- Oszczędzam pański czas, panie Poirot. Zdaję sobie sprawę, do czego pan dąży. Moja macocha wyszła za ojca dla pieniędzy. Ja mieszkam tutaj, ponieważ nie mam pieniędzy, żeby mieszkać gdzie indziej. Pragnę poślubić pewnego mężczyznę, ale jest biedny; ojciec zadbał, żeby stracił pracę. Chciał, żebym wyszła dobrze za mąż - to proste, skoro miałam zostać jego spadkobierczynią!

- Majątek ojca przechodzi na panią?

- Tak. Zostawił Louise, mojej macosze, ćwierć miliona wolne od podatku, ale reszta przechodzi na mnie. - Zaśmiała się nagle. - Więc widzi pan, miałam wszelkie powody, by pragnąć jego śmierci!

- Widzę, *mademoiselle*, że odziedziczyła pani też inteligencję ojca.

- Ojciec był mądry - powiedziała w zadumie. - Czuło się w jego obecności, że miał moc... siłę napędową... ale to wszystko zmieniło się w gorycz... nie zostało nic ludzkiego...

- *Grand Dieu\**, jakim jestem idiotą - szepnął Herkules Poirot.

Joanna Farley skierowała się do drzwi.

- Jeszcze coś? - zapytała.

- Dwa małe pytania. Te szczypcy - podniósł je - zawsze leżały na biurku?

- Tak. Ojciec używał ich do podnoszenia przedmiotów. Nie lubił się schylać.

- I jeszcze jedno. Czy ojciec miał dobry wzrok? Patrzyła na niego.

- Ach, nie - prawie nie widział, to znaczy nie widział bez okularów. Od dziecka miał zły wzrok.

- A w okularach?

- Widział zupełnie dobrze.

- Mógł czytać gazety i drobną czcionkę?

- O tak.

- To wszystko, *mademoiselle*.

Dziewczyna wyszła z pokoju.

- Byłem głupi - mruzczał Poirot. - Miałem to cały czas pod nosem. A ponieważ było tak blisko, nie widziałem tego.

Jeszcze raz wychylił się przez okno. Na dole, w wąskim przejściu między fabryką a domem dostrzegł mały, ciemny przedmiot.

Poirot skinął głową zadowolony i zszedł na dół.

Pozostali siedzieli jeszcze w bibliotece. Poirot zwrócił się do sekretarza.

- Chcę, żeby pan, panie Cornworthy, opowiedział mi szczegółowo okoliczności, w jakich pan Farley zwrócił się do mnie. Kiedy, na przykład, podyktował ten list?

- W środę po południu - o pół do szóstej, o ile pamiętam.

- Czy były jakieś specjalne polecenia dotyczące wysłania go?

- Poleciał mi wysłać go osobiście.

- I pan to zrobił?

- Tak.

- Wydał lokajowi jakieś instrukcje, dotyczące przyjęcia mnie?

- Tak. Powiedział, bym zawiadomił Holmesa (Holmes jest kamerdynerem), że o pół do dziesiątej przyjdzie pewien dżentelmen. Miał zapytać go o nazwisko, miał także poprosić o pokazanie listu.

- Nie sądzi pan, że to trochę niezwykle środki ostrożności?

Cornworthy wzruszył ramionami.

- Pan Farley był dosyć dziwnym człowiekiem.

- Czy były jeszcze inne instrukcje?

- Tak. Powiedział, żebym wziął sobie wolny wieczór.

- I zrobił pan tak?

- Owszem, zaraz po obiedzie poszedłem do kina.

- O której pan wrócił?

- Około jedenastej piętnaście.
- Czy widział pan pana Farleya jeszcze tego wieczoru?
- Nie.
- I nie wspominał o tej sprawie następnego ranka?
- Nie.

Poirot przerwał na chwilę, po czym wrócił do tematu.

- Kiedy przyszedłem, nie zostałem wprowadzony do pokoju pana Farleya.
- Nie. Poleciał mi, bym kazał Holmesowi wprowadzić pana do mojego pokoju.
- Dlaczego? Wie pan? Cornworthy potrząsnął głową.
- Nigdy nie kwestionowałem żadnych rozkazów pana Farleya - rzekł sucho. - Rozgniewałby się, gdybym zrobił coś takiego.
- Zwykle przyjmował gości w swoim własnym pokoju?
- Zwykle, choć nie zawsze. Czasami rozmawiał z nimi w moim pokoju.
- Wiadomo, z czego to wynikało? Hugo Cornworthy zastanowił się.
- Nie... nie wiem... nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Poirot zwrócił się do pani Farley.

- Pozwoli pani, że zadzwonię po kamerdynera?
- Oczywiście, panie Poirot.

Na dźwięk dzwonka zjawił się Holmes, niezmiernie poprawny i wytworny.

- Pani dzwoniła, *madame*?

Pani Farley wskazała gestem Poirota. Holmes zwrócił się do niego grzecznie:

- Słucham, proszę pana?
- Jakie polecenia otrzymałeś na czwartek wieczór, kiedy przyszedłem?

Holmes odchrząknął.

- Po obiedzie pan Cornworthy zawiadomił mnie, że pan Farley oczekuje pana Poirota o

dziwiętej trzydziści. Miałem upewnić się co do nazwiska dżentelmena i sprawdzić informację, oglądając list. Potem miałem zaprowadzić go do pokoju pana Cornworthy'ego.

- Kazano ci także zapukać do drzwi?

Wyraz niesmaku przemknął przez oblicze kamerdynera.

- To było jedno z poleceń pana Farleya. Miałem zawsze pukać, kiedy zapowiadałem gości - to znaczy interesantów - dodał.

- Aha, to mnie zdziwiło! Czy otrzymałeś jeszcze jakieś rozkazy związane ze mną?

- Nie, *sir*. Kiedy pan Cornworthy przekazał mi, co mam panu powiedzieć, wyszedł.

- Która była godzina?

- Za dziesięć dziewiąta, *sir*.

- Widziałeś potem pana Farleya?

- Tak, *sir*. Zaniósłem mu szklanę gorącej wody, jak zwykle o dziewiątej.

- Czy siedział we własnym pokoju, czy u pana Cornworthy'ego?

- Był we własnym pokoju.

- Zauważyłeś może coś niezwykłego w tym pokoju?

- Niezwykłego? Nie, *sir*.

- Gdzie była pani Farley i panna Farley?

- Poszły do teatru, *sir*.

- Dziękuję, Holmes, to wystarczy.

Holmes uklonił się i wyszedł. Poirot zwrócił się do wdowy po milionerze.

- Jeszcze jedno pytanie, pani Farley. Czy pani mąż miał dobry wzrok?

- Nie. Nie radził sobie bez szkieł.

- Był krótkowidzem?

- Tak. Bez okularów był zupełnie bezradny.

- Miał kilka par okularów?

- Tak.

- Ach - rzekł Poirot, siadając wygodnie. - Sądzę, że to zamyka sprawę...

W pokoju panowała cisza. Wszyscy patrzyli na małego człowieczka, który z zadowoleniem gładził wąsy. Na twarzy inspektora malowało się zdumienie. Doktor Stillingfleet zmarszczył brwi, Cornworthy patrzył nie rozumiejąc, pani Farley wpatrywała się w niego zwyczajnie zdziwiona, a Joanna Farley wydawała się poruszona.

Ciszę przerwała pani Farley.

- Nie rozumiem, panie Poirot. - W jej głosie brzmiał niepokój. - Ten sen...

- Tak - potwierdził Poirot. - Ten sen jest bardzo ważny. Pani Farley zadrżała.

- Nigdy dotąd nie wierzyłam w zjawiska nadnaturalne... ale teraz... ten sen, powtarzający się co noc...

- To zadziwiające - oświadczył doktor Stillingfleet. - Zadziwiające! Gdybym nie słyszał tego od ciebie, Poirot, i gdybyś nie miał wiadomości prosto od krowy... - zakaszłał z zakłopotaniem, przyjmując znowu profesjonalny sposób bycia - proszę wybaczyć, pani Farley. Gdyby sam pan Farley nie opowiedział tej historii...

- Właśnie - rzekł Poirot. Jego półprzymknięte oczy otworzyły się nagle. Były bardzo zielone. - Gdyby Benedict Farley nie opowiedział mi tego sam...

Przerwał na moment, patrząc na zaciekawione twarze.

- Tamtego wieczora zdarzyły się pewne rzeczy, których zupełnie nie potrafiłem zrozumieć. Po pierwsze, dlaczego nalegano, bym przyniósł ten list z sobą?

- Dla identyfikacji - podsunął Cornworthy.

- Nie, nie, mój drogi młodzieńcze. To śmieszny pomysł. Musiał być bardziej przekonujący powód. Ponieważ pan Farley nie tylko zażądał pokazania tego listu, lecz w końcu zmusił mnie do oddania go. Co więcej, nawet go nie zniszczył! Znalazłem go wśród jego papierów dziś po południu. Dlaczego zatrzymał list?

Przerwał mu głos Joanny Farley.

- Na wypadek, gdyby coś mu się stało, chciał, by sprawa jego dziwnego snu została ujawniona.

Poirot skinął aprobująco głową.

- Jest pani bystra, *mademoiselle*. Tak musiało być - to jedyna możliwość - jedyny powód zatrzymania listu! W chwili śmierci pana Farleya historia dziwnego snu musiała wyjść na jaw. Ten sen był bardzo ważny. Był sprawą najwyższej wagi!



- Przejdę teraz - ciągnął - do drugiego punktu. Po wysłuchaniu opowieści poprosiłem pana Farleya, by pokazał mi biurko i rewolwer. Był skłonny to zrobić, a potem nagle odmówił. Dlaczego?

Tym razem nikt nie śpieszył się z odpowiedzią.

- Postawię pytanie w inny sposób. Co było w tamtym pokoju, czego pan Farley nie chciał mi pokazać?

Wciąż panowała cisza.

- Tak, to trudny problem. A jednak istniał jakiś powód, ważny powód, dla którego pan Farley przyjął mnie w pokoju sekretarza i odmówił kategorycznie zaprowadzenia mnie do swego pokoju. Było tam coś, czego absolutnie nie mógł mi pokazać. Teraz przejdę do trzeciej niewytłumaczalnej sprawy, która zdarzyła się tamtego wieczoru. Kiedy wychodziłem, pan Farley poprosił, bym oddał mu list, który otrzymałem. Przez przeoczenie dałem mu notatkę od mojej praczki. Popatrzył na pismo i odłożył je obok. Tuż przed opuszczeniem pokoju odkryłem pomyłkę i naprawiłem błąd. Potem wyszedłem z domu - i przyznaję - byłem kompletnie dezorientowany. Cała sprawa, a zwłaszcza ostatni incydent, wydawały mi się zupełnie niewytłumaczalne. Popatrzył na słuchaczy.

- Nie rozumiecie tego?

- Naprawdę nie pojmuję, co ma do tego twoja praczka, Poirot.

- Moja praczka - odparł detektyw - była bardzo ważna. Ta paskudna kobieta, która rujnuje moje kołnierzyki, okazała się pierwszy raz w życiu pożyteczna. Na pewno rozumiecie - pan Farley spojrział na notatkę (wystarczyłoby jedno spojrzenie, żeby się zorientował, że to niewłaściwy list), a jednak nie powiedział nic. Dlaczego? Ponieważ nie mógł go odczytać!

- Nie miał okularów? - zapytał ostro inspektor Barnett.

- Miał - uśmiechnął się Poirot. - Miał okulary na nosie. Dlatego cała sprawa jest tak interesująca.

Pochylił się do przodu.

- Sen pana Farleya był bardzo ważny. Śnił, że popełnia samobójstwo. I niedługo potem popełnił samobójstwo. Można więc przyjąć, że był sam w pokoju i został tam znaleziony z leżącym obok rewolwerem, a nikt nie wchodził ani nie wychodził z pokoju w czasie, gdy padł strzał. Co to oznacza? To oznacza, że musiało to być samobójstwo!

- Tak - powiedział Stillingfleet.

Poirot potrząsnął głową.

- Przeciwnie - oświadczył. - To było morderstwo. Niezwykłe i bardzo pomysłowo zaplanowane morderstwo.

Znowu pochylił się do przodu, stukając palcami w stół, a jego zielone oczy lśniły.

- Dlaczego pan Farley nie pozwolił mi tego wieczoru wejść do swego pokoju? Co takiego tam było, czego absolutnie nie mogłem zobaczyć? Myślę, przyjaciele, że tam był sam Benedict Farley! Tak, tak, nie mówię głupstw. Dlaczego pan Farley, z którym rozmawiałem, nie potrafił dostrzec różnicy między dwoma całkowicie niepodobnymi listami? Ponieważ, *mes amis*\*, to był człowiek widzący normalnie w bardzo silnych okularach. Szkła, które nosił, czyniły dobrze widzącego człowieka ślepcem. Prawda, doktorze?

- Rzeczywiście tak jest - mruknął Stillingfleet.

- Dlaczego rozmawiając z panem Farleyem, czułem, że rozmawiam z szarlatanem, z aktorem grającym na scenie? Proszę rozważyć scenerię. Przyćmiony pokój, oślepiające zielonkawe światło padające od strony postaci siedzącej w fotelu. Co dostrzegam - słynny połatany szlafrok, wydatny nos (podrobiony za pomocą specjalnej masy), biały czub włosów, mocne soczewki skrywające oczy. Jaki mamy dowód, że pan Farley miał taki sen? Wyłącznie jego opowieść i zeznanie pani Farley. Jaki jest dowód, że Benedict Farley trzymał rewolwer w swoim biurku? Znowu tylko jego historia i słowo pani Farley. Dwoje ludzi zorganizowało tę pułapkę na naiwnych - pani Farley i Hugo Cornworthy. On napisał list do mnie, dał instrukcje kamerdynerowi, wyszedł ostentacyjnie do kina, ale wrócił natychmiast, korzystając z klucza, poszedł do pokoju, ucharakteryzował się i odegrał rolę Benedicta Farleya. I tak dochodzimy do dzisiejszego popołudnia. Nadarza się sposobność, wyczekiwana przez pana Cornworthy'ego. Na podeście czeka dwóch świadków, którzy przysięgną, że nikt nie wchodził ani nie wychodził z pokoju pana Farleya. Cornworthy czeka, aż zwięźszy się ruch uliczny. Potem wychyla się z okna i szczypcami leniucha, które porwał z sąsiedniego pokoju, trzyma przed oknem Farleya pewien przedmiot. Benedict Farley podchodzi do okna. Cornworthy cofa szczypce i kiedy Farley wychyla się, a ciężarówki przejeżdżają ulicą, zabija go z przygotowanego rewolweru. Pamiętajcie, że naprzeciw jest ślepy mur. Nie może być świadka zbrodni. Cornworthy oczekuje pół godziny, bierze trochę papierów, ukrywa między nimi rewolwer i szczypce, wychodzi na podest i idzie do sąsiedniego pokoju. Kładzie ponownie szczypce na biurku, upuszcza rewolwer, po przyciśnięciu do niego palców zmarłego i wybiega z wiadomością o „samobójstwie” pana Farleya. Urządza wszystko tak, żeby list do mnie został znaleziony, i żebym musiał zjawić się z moją historią - historią, którą usłyszałem z własnych ust pana Farleya - o jego niezwykłym „śnie”, o dziwnym przymusie zabicia się! Kilka naiwnych osób będzie dyskutować na temat teorii hipnozy, ale głównym rezultatem będzie potwierdzenie, bez żadnych wątpliwości, że rewolwer trzymała własna ręka Benedicta Farleya.

Oczy Herkulesa Poirota przesunęły się na twarz wdowy. Z pełnym satysfakcji niesmakiem zauważył śmiertelną bladość i ślepy strach...

- A we właściwym czasie - zakończył łagodnie - osiągnęliby szczęśliwy finał. Czwierć miliona funtów i dwoje serc bijących wspólnym rytmem...

John Stillingfleet, doktor medycyny, i Herkules Poirot szli wzdłuż Northway House. Po ich prawej stronie wznosił się ceglany mur fabryki. Ponad nimi, po lewej, były okna pokoi Benedicta Farleya i Hugona Cornworthy'ego. Herkules Poirot zatrzymał się i podniósł mały przedmiot -

czarnego pluszowego kotka.

- *Voilà* - powiedział. - To właśnie trzymał Cornworthy szczypcami przed oknem Farleya. Pamiętasz, że on nienawidził kotów? Naturalnie popędził do okna.

- Dlaczego, na miłość boską, Cornworthy nie wyszedł i nie usunął tego?

- A jak miał to zrobić? Byłoby to zdecydowanie podejrzane. Mimo wszystko, gdyby zabawka została znaleziona przez kogokolwiek innego, pomyślałby, że zgubiło ją bawiące się dziecko.

- Tak - westchnął doktor. - Tak właśnie mogłaby sądzić zwyczajna osoba. Ale nie zacny stary Herkules! Czy wiesz, stary koniu, że do końca byłem przekonany, iż wywodziś jakąś górnolotną teorię o psychologicznym „zasugerowaniu” morderstwa? Założyłbym się, że tych dwoje też tak myślało! Pechowy facet, ten Farley. Rany boskie, jak ona pękła! Cornworthy mógłby się wywinąć z tego, gdyby ona nie wpadła w histerię i nie usiłowała zniszczyć twojej urody rzucając się na ciebie z pazurami. W porę ją powstrzymałem.

Przerwał na chwilę.

- Podoba mi się ta dziewczyna - powiedział. - Ma charakter i urodę. Pewnie zostałbym uznany za łowcę posagów, gdybym spróbował ją poderwać?...

- Spóźniłeś się, przyjacielu. Jest już ktoś *sur le tapis*\*. Śmierć ojca otworzyła jej drogę do szczęścia.

- Biorąc wszystko pod uwagę, miała doskonały motyw do usunięcia nieprzyjemnego rodzica.

- Motyw i sposobność nie wystarczą. Trzeba mieć poza tym usposobienie zbrodniarza.

- Ciekaw jestem, czy ty kiedykolwiek popełnisz zbrodnię, Poirot? - zastanowił się Stillingfleet.  
- Założę się, że udałoby ci się wymigać. Ściśle mówiąc, to byłoby zbyt łatwe dla ciebie - odrzuciłbyś całą sprawę jako zdecydowanie niesportową.

- To jest - odparł Poirot - typowo angielski pomysł.

# Szaleństwo Greenshawa

## I

Dwaj mężczyźni okrążyli zagajnik.

- Jesteśmy - powiedział Raymond West. - To tutaj.

Horace Bindler, zachwycony, głęboko zaczerpnął tchu.

- Ależ mój drogi - zawołał. - To cudowne. - Jego głos wzniósł się w ekstatycznym zachwycie, potem opadł w pełnym czci lęku. - Nie do wiary. Nie z tego świata! Najznakomitszy zabytek tamtej epoki.

- Tak myślałem, że ci się spodoba - rzekł Raymond West z zadowoleniem.

- Że mi się spodoba? Ależ mój drogi - Horace'owi brakło słów. Odpiął rzemyk aparatu fotograficznego i wziął się do roboty. - To będzie jedna z pereł mojej kolekcji - dodał uszczęśliwiony. - Nie sądzisz, że to dosyć zabawne mieć kolekcję rozmaitych koszmarnych obiektów? Ten pomysł przyszedł mi do głowy pewnego wieczoru przed siedmioma laty, podczas kąpieli. Mój ostatni, najlepszy klejnot jest w Campo Santo w Genui, ale myślę, że ten naprawdę go bije. Jak to się nazywa?

- Nie mam pojęcia - odparł Raymond.

- Przypuszczam, że ma jakąś nazwę?

- Musi mieć. Wiem, że w okolicy nie nazywano tego nigdy inaczej niż Szaleństwo Greenshawa.

- Greenshaw jest człowiekiem, który to zbudował?

- Tak. W tysiąc osiemset sześćdziesiątym lub siedemdziesiątym, czy coś koło tego. Miejscowy człowiek legenda, który odniósł sukces. Goły chłopak, który doszedł do ogromnego majątku. Co do powodów zbudowania tego domu, miejscowa opinia jest podzielona. Jedni uważają, że było to zwykle demonstrowanie bogactwa, inni są zdania, że chciał zrobić wrażenie na swoich wierzycielach. Jeżeli chodzi o tych ostatnich, to nie zaimponował im. Zbankrutował albo niewiele mu do tego brakowało. Stąd nazwa Szaleństwo Greenshawa.

Aparat Horace'a pstrykał.

- No - powiedział z satysfakcją. - Przypomnij mi, żebym pokazał ci numer trzysta dziesięć z mojej kolekcji. Niesamowite marmurowe obmurowanie kominka we włoskim stylu. - Patrząc na dom, dodał - Nie wyobrażam sobie, jak ten Greenshaw to wszystko wymyślił.

- Chyba zwyczajnie. Musiał zwiedzać zamki nad Loarą. Stąd te wieżyczki. Potem, fatalnym zbiegiem okoliczności, pojechał na Daleki Wschód. Wpływ Taj Mahal jest niewątpliwy. Podoba mi

się skrzydło mauretańskie i ślady weneckiego pałacu.

- Ciekawe, jak w ogóle znalazł architekta, którego porwały te pomysły.

Raymond wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że z tym nie było trudności. Zapewne architekt przeszedł na emeryturę dobrze zaopatrzony na resztę życia, podczas gdy biedny Greenshaw zbankrutował.

- Możemy obejrzeć go z drugiej strony? - zapytał Horace. - A może wkroczyliśmy na teren prywatny?

- Wkroczyliśmy na sto procent - rzekł Raymond. - Nie sędzę jednak, żeby miało to jakieś znaczenie.

Poszedł w kierunku narożnika domu, a Horace, podskakując, pośpieszył w jego ślady.

- Ale kto tu mieszka, mój drogi? Sieroty czy turyści? To nie może być szkoła. Nie ma boiska ani dziarskiej atmosfery.

- Och, pewnie ktoś z Greenshawów - rzucił Raymond przez ramię. - Dzięki temu dom nie popadł w ruinę. Odziedziczył go starszy syn Greenshawa. Kawał kutwy. Mieszkał tutaj, w narożnym skrzydle. Nigdy nie wydał ani grosza. Prawdopodobnie nie miał ani grosza do wydania. Teraz mieszka tu jego córka. To stara, bardzo ekscentryczna dama.

Mówiąc to, Raymond gratulował sobie pomysłu zabawienia swego gościa wizytą w Szaleństwie Greenshawa. Ci krytycy literaccy zawsze zapewniają, że są spragnieni weekendu na wsi, po czym gdy przyjadą, twierdzą, że wieś jest niesłychanie nudna. Jutro będą niedzielne gazety, a na dziś Raymond West wymyślił wizytę w Szaleństwie Greenshawa. Pogratulował sobie tego pomysłu. Wycieczka wzbogaci znaną kolekcję okropieństw Horace'a Bindlera.

Obeszli narożnik domu i dotarli do zaniedbanego trawnika. W jednym jego rogu znajdował się wielki sztuczny ogród skalny, a nad nim nachylała się postać, na której widok Horace ścisnął z zachwytem ramię Raymonda.

- O Boże - zawołał - czy widzisz, co ona ma na sobie? Sukienkę w gałązki. Zupełnie jak służąca - z czasów, kiedy jeszcze były służące. Jedno z moich umiłowanych wspomnień dotyczy pobytu w pewnym domu na wsi, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, gdzie prawdziwa służąca przychodziła rano w szeleszczącej sukni z perkalu i czepku. Tak, chłopcze, naprawdę w czepku. Z muślinu i ze wstążkami. Nie, może to pokojówka miała wstążki. W każdym razie była to prawdziwa służąca i przynosiła ogromną mosiężną konew z gorącą wodą. Co za niezwykły dzień mamy dzisiaj.

Postać w perkalowej sukience wyprostowała się i zwróciła ku nim z rydlem w dłoni. Sam jej widok zaskakiwał. Splątane, stalowoszare loki opadały pasmami na jej plecy, na głowę miała wciśnięty słomkowy kapelus, przypominający podobne, zakładane koniom we Włoszech. Perkalowa sukienka, którą nosiła, opadała jej prawie do kostek. Z ogorzałej, niezbyt czystej twarzy, patrzyły na nich badawczo bystre oczy.

- Muszę przeprosić za najście, panno Greenshaw - powiedział Raymond West, kiedy zbliżyli się do niej - ale pan Horace Bindler, który przyjechał do mnie...

Horace uklonił się, zdejmując kapelusz.

- ... jest niezwykle zainteresowany... ee... historią i... ee... pięknymi budynkami.

Raymond West mówił ze spokojem znanego autora, który wie, że jest znakomitością, i to pozwala mu wejść tam, gdzie inni ludzie nie mogą.

Panna Greenshaw spojrzała na rozciągające się za nią bogactwo.

- To piękny dom - potwierdziła ze zrozumieniem. - Zbudował go mój dziadek, oczywiście przed moim urodzeniem. Miał podobno oświadczyć, że chce zaskoczyć tutejszych ludzi.

- Powiedziałbym, że mu się udało, *madam* - rzekł Horace Bindler.

- Pan Bindler jest znanym krytykiem literackim - wyjaśnił Raymond West.

Panna Greenshaw najwyraźniej nie miała poważania dla krytyków literackich. Pozostała obojętna.

- Uważam ten dom - rzekła panna Greenshaw - za pomnik geniuszu mojego dziadka. Różni durnie przychodzą tu i pytają, dlaczego nie sprzedam go i nie przeprowadzę się do mieszkania. Co robiłabym w jakimś mieszkaniu? To mój dom i żyję w nim. Zawsze tu mieszkałam.

Zamyśliła się, pogrążając w przeszłości.

- Było nas trzy. Laura wyszła za mąż za wikarego. Papa nie chciał dać jej pieniędzy, mówił, że duchowny nie powinien być zainteresowany sprawami światowymi. Zmarła przy porodzie. Dziecko zmarło również. Nettie uciekła z instruktorem jazdy konnej. Papa, oczywiście, wydziedziczył ją. Przystojny człowiek, ten Harry Fletcher, ale nic dobrego. Nie sądzę, żeby Nettie była z nim szczęśliwa. W każdym razie nie żyła długo. Mieli syna. Pisuje do mnie czasem, ale, rzecz jasna, nie jest Greenshawem. Ja jestem ostatnią z Greenshawów.

Wyprostowała pochylone plecy z pewną dumą i poprawiła zawadiacko nałożony kapelusz. Potem odwróciła się nagle.

- O co chodzi, pani Cresswell?

Zbliżająca się od strony domu osoba wyglądała absurdalnie odmiennie w zestawieniu z panną Greenshaw. Pani Cresswell miała wspaniale uczesane siwobłękitne włosy, spiętrzone w starannie ułożone pukle i loki. Jej uczesanie mogło być przygotowane na bal kostiumowy, na którym miałyby wystąpić w roli francuskiej markizy. Reszta jej niemłodej sylwetki była odziana w coś, co miało być szeleszczącym czarnym jedwabiem, ale było jedynie jedną z błyszczących odmian sztucznego jedwabiu. Choć nie była dużą kobietą, miała okazały biust. Mówiła niespodziewanie głębokim

głosem. Miała znakomitą dykcję, tylko lekkie wahanie przy słowach zaczynających się na „h” i następnie wymawianie ich z przesadnym wydechem budziło podejrzenie, że w młodości miała kłopoty z opuszczaniem tej głoski.

- Chodzi o tę rybę, proszę pani - powiedziała pani Cresswell - ten kawałek dorsza. Nie dostarczono go. Prosiłam Alfreda, żeby po niego poszedł, ale odmówił.

Niespodziewanie panna Greenshaw zachichotała.

- Odmówił, co?

- Alfred, *madam*, jest bardzo nieposłuszny.

Panna Greenshaw podniosła dwa ubrudzone ziemią palce do ust, gwizdnęła przeraźliwie i natychmiast wrzasnęła.

- Alfred, Alfred, chodź tutaj.

W odpowiedzi na to wezwanie zza rogu domu ukazał się młody człowiek z łopatą w rękę. Miał zuchwałą, przystojną twarz, a kiedy podszedł, rzucił wyraźnie wrogie spojrzenie na panią Cresswell.

- Pani mnie wołała? - spytał.

- Tak, Alfredzie. Słyszałam, że odmówiłeś pójścia po rybę. Co to znaczy?

Alfred odezwał się gburowato.

- Pójdę, jeśli pani sobie tego życzy. Musi pani mi tylko powiedzieć.

- Chcę tego. Chcę rybę na kolację.

- Tak jest, proszę pani. Już idę.

Spojrzał zuchwale na panią Cresswell, która zaczerwieniła się i mruknęła pod nosem.

- Naprawdę, to nie do zniesienia.

- A teraz, kiedy się zastanowię, uważam, że dwóch obcych gości to właśnie to, czego potrzebujemy, prawda, pani Cresswell?

Pani Cresswell wydawała się zdziwiona.

- Przepraszam, *madom*...

- Do tego, co pani wie - rzekła panna Greenshaw, kiwając głową. - Spadkobierca nie może być świadkiem testamentu. - Mam rację? - zwróciła się do Raymonda Westa.

- Słusznie - odparł West.

- Znam prawo wystarczająco, by o tym wiedzieć. A obaj panowie są ludźmi cieszącymi się poważaniem.

Cisnęła rydel na koszyk z chwastami.

- Zechcą panowie pójść ze mną do biblioteki?

- Z przyjemnością - odparł Horace skwapliwie.

Poprowadziła ich przez oszklone drzwi i ogromny żółtozłoty salon, z wypłowiałym brokatem na ścianach i zakurzonymi pokrowcami na meblach, potem przez wielki, ciemny hali schodami na górę, do pokoju na pierwszym piętrze.

- Biblioteka mojego dziadka - oznajmiła.

Horace rozejrzał się z niezwykłą przyjemnością. Był to pokój, w jego rozumieniu, pełen okropności. Głowy sfinksów ukazywały się na najbardziej nieprawdopodobnych sprzętach, stała też ogromna rzeźba z brązu, przedstawiająca, jak sądził, Pawła i Wirginię, i wielki zegar z brązu z klasycystycznymi motywami, który miał wielką ochotę sfotografować.

- Piękny zbiór książek - rzekła panna Greenshaw. Raymond już rozglądał się wśród książek. O ile się mógł zorientować po pobieżnym przejrzeniu, nie było wśród nich ani jednej naprawdę ciekawej książki, żadnej książki, która byłaby przeczytana. Stały tam pięknie oprawione komplety klasyków, w które ludzie urządzający wnętrza zaopatrywali biblioteki dżentelmenów dziewięćdziesiąt lat temu. Włączono także trochę powieści z minionego okresu. Nie nosiły jednak najmniejszych śladów czytania.

Panna Greenshaw gmerała w szufladach olbrzymiego biurka. Wreszcie wyciągnęła pergaminowy dokument.

- Mój testament - wyjaśniła. - Trzeba zostawić komuś swoje pieniądze - a przynajmniej tak mówią. Gdybym zmarła bez testamentu, przypuszczam, że dostałby je syn handlarza koni. Przystojny facet, ten Harry Fletcher, ale prawdziwy łobuz. Nie wiem, dlaczego jego syn miałby odziedziczyć tę posiadłość. Nie - ciągnęła dalej, jakby odpowiadając na nie wypowiedziany zarzut. - Podjęłam decyzję. Zostawiam wszystko Cresswell.

- Gospodyni?

- Tak. Wyjaśniłam to jej. Zostawię jej w testamencie wszystko, co mam, i nie będę musiała płacić jej pensji. To zaoszczędzi mi mnóstwo wydatków, a jednocześnie ograniczy jej żądania. Nie wypowie mi i nie odejdzie w dowolnej chwili. Jest bardzo pretensjonalna, prawda? Ale jej ojciec miał mały zakład hydrauliczny. Ona sama nie ma powodów do zadzierania nosa.

Tymczasem rozłożyła pergamin. Wzięła pióro, umoczyła je w atramencie i podpisała: „Katherine Dorothy Greenshaw”.

- W porządku - powiedziała. - Widzieliście, jak podpisywałam, teraz podpiszcie obaj i



dokument stanie się legalny.

Wręczyła pióro Raymondowi. Zawahał się moment, czując nieoczekiwaną niechęć do spełnienia jej prośby. Potem pośpiesznie nabazgrał swój dobrze znany podpis, o który proszono codziennie w co najmniej sześciu listach.

Horace wziął pióro i dodał swój własny, filigranowy podpis.

- Gotowe - oświadczyła panna Greenshaw. Podeszła do biblioteki, stanęła, patrząc na nich niepewnie, potem otworzyła szklane drzwiczki, wyjęła książkę i włożyła do niej złożony dokument.

- Mam swoje schowki na różne rzeczy.

- „Tajemnica lady Audley” - zauważył Raymond West, rzucając spojrzenie na tytuł, kiedy wkładała książkę na miejsce.

Panna Greenshaw znowu zachichotała.

- Niegdyś był to bestseller - zauważyła. - Niepodobna do pańskich książek.

Niespodziewanie szturchnęła Raymonda przyjaźnie pod żebro. Raymond był zaskoczony, że zna go jako pisarza. Choć nazwisko Raymond West było w literaturze znane, nie mógł uznawać swoich książek za poczytne. Z nadejściem wieku średniego trochę złagodniał, ale jego książki nadal zajmowały się brudną stroną życia.

- Zastanawiam się - spytał Horace z zapartym tchem - czy mógłbym sfotografować ten zegar?

- Proszę bardzo. Pochodzi, zdaje się, z wystawy paryskiej.

- To bardzo możliwe.

Horace zrobił zdjęcie.

- Ten pokój nie był używany od czasów dziadka. Biurko jest pełne jego starych dzienników. Myślę, że mogłyby być zajmujące. Nie mam dosyć dobrego wzroku, by je czytać. Chciałabym je opublikować, ale wymagałoby to wiele pracy.

- Mogłaby pani kogoś do tego zaangażować - zaproponował Raymond West.

- Naprawdę? Wie pan, to jest pomysł. Zastanowię się nad tym.

Raymond West spojrział na zegarek.

- Nie będziemy dłużej nadużywać pani uprzejmości.

- Miło było poznać panów - odparła panna Greenshaw wdzięcznie. - Kiedy usłyszałam, jak nadchodzicie, myślałam, że to policjant.

- Dlaczego policjant? - spytał Horace, który nigdy nie pominął okazji do zadania pytania.

Panna Greenshaw zareagowała nieoczekiwanie.

- Jeśli nie znasz godziny, zapytaj policjanta - zanuciła i z tym wiktoriańskim żartem trąciła Horace'a łokciem i wybuchnęła śmiechem.

- To było cudowne popołudnie - westchnął Horace, kiedy wracali do domu. - Naprawdę ten dom ma wszystko. Jedyne, czego brakuje w tej bibliotece, to trup. Przypomnij sobie te staroświeckie książki kryminalne o morderstwie w bibliotece - to jest właśnie taka biblioteka, jaką ci autorzy mieli na myśli.

- Jeżeli chcesz podyskutować o morderstwie, musisz pomówić z moją ciotką Jane.

- Z twoją ciotką Jane? Masz na myśli pannę Marple? - Horace był zdezorientowany.

Uroczą starą damą, której przedstawiono go poprzedniego wieczoru, wydawała się ostatnią osobą, kojarzącą się z morderstwem.

- O tak - rzekł Raymond. - Morderstwa to jej specjalność.

- Ależ mój drogi, to intrygujące. Co właściwie masz na myśli?

- Tylko to - odparł Raymond. - Sparafrazował: „Jedni popełniają morderstwa, drudzy bywają wmieszani w morderstwa, jeszcze innym morderstwa narzucają się same”. Ciocia Jane należy do tej trzeciej kategorii.

- Żartujesz.

- Ani trochę. Mogę skontaktować cię z byłym komisarzem Scotland Yardu, kilkoma okręgowymi komisarzami policji i paroma inspektorami Urzędu Śledczego do spraw Kryminalnych.

Uszczęśliwiony Horace oświadczył, że nie ma kresu dziwom. Przy stole zdali sprawozdanie z popołudniowych zdarzeń Joan West, żonie Raymonda, Lou Cbdey, jej siostrzenicy, i starej pannie Marple, opisując ze szczegółami wszystko, co panna Greenshaw im powiedziała.

- Ja myślę jednak - rzekł Horace - że w tym całym układzie jest coś złowieszczonego. Ta przypominająca księżną gospodyni... a może arszenik w czajniku herbaty, teraz, kiedy wie, że jej pani sporządziła testament na jej korzyść?

- Powiedz nam, ciociu Jane - spytał Raymond - czy zostanie tam popełnione morderstwo? Jak myślisz?

- Sądzę - odparła panna Marple, zwijając wełnę z poważną miną - że nie powinieneś żartować na te tematy tak często, jak to robisz, Raymondzie. Arszenik jest zupełnie możliwy. Tak łatwo go zdobyć. Prawdopodobnie jest w szopie na narzędzia ogrodowe, w postaci środka chwastobójczego.

- Och, kochanie - przerwała Joan West czule. - Czy nie byłoby to jednak zbyt oczywiste?

- No dobrze, zrobiła testament - powiedział Raymond - choć nie sądzę, żeby biedaczka posiadała coś oprócz tego kłopotliwego domu, a kto mógłby go chcieć?

- Może wytwórnia filmowa - rzekł Horace - lub hotel czy jakaś instytucja.

- Oni chcieliby kupować za grosze - wtrącił Raymond, ale panna Marple potrząsnęła głową.

- Wiesz, kochany Raymondzie, że nie mogę zgodzić się z tobą. To znaczy, w sprawie pieniędzy. Ten dziadek był najwyraźniej jednym z tych rozrzutników, którzy szybko robią pieniądze i jeszcze szybciej je wydają. Mógł umrzeć w biedzie, jak mówisz, ale nie mógł zostać bankrutem, gdyż wówczas jego syn nie posiadałby tego domu. A ten syn, jak to się często zdarza, miał zupełnie inne usposobienie niż ojciec. Był skąpcem. Oszczędzał każdy grosz. Powiedziałabym, że w ciągu całego życia odłożył bardzo znaczną sumę. Panna Greenshaw wyraźnie odziedziczyła po nim to, że nie lubi wydawać pieniędzy. Tak, myślę, że ma w kieszeni ładną sumkę.

- W takim razie - rzuciła Joan West - ciekawa jestem... może zaproponować jej Lou?

Spojrzeli na Lou, siedzącą milcząco przy ogniu.

Lou była siostrzenicą Joan. Ostatnio jej małżeństwo, jak sama mówiła, rozleciało się i została z dwójką małych dzieci i skromną sumą pieniędzy na ich utrzymanie.

- Myślę sobie - rzekła Joan - że jeśli ta panna Greenshaw naprawdę chce kogoś, kto przejrzałby dzienniki i przygotował książkę do druku...

- To jest pomysł - oświadczył Raymond.

- To jest praca dla mnie - i sprawiłaby mi przyjemność - powiedziała Lou cicho.

- Napiszę do niej - rzekł Raymond.

- Ciekawa jestem - wtrąciła panna Marple w zamyśleniu - co miała na myśli ta starsza dama, mówiąc o policjancie.

- Och, to po prostu był żart.

- To mi przypomina - pokiwała głową energicznie panna Marple - tak, to mi bardzo przypomina pana Naysmitha.

- Kto to był pan Naysmith? - spytał ciekawie Raymond.

- Miał pasiekę - i układał świetne akrostychy do niedzielnej gazety. I dla zabawy lubił wprowadzać ludzi w błąd. Ale to czasem prowadzi do kłopotów.

Wszyscy milczeli chwilę, zastanawiając się nad panem Naysmithem, ale nie widząc żadnego

podobieństwa między nim i panną Greenshaw, stwierdzili, że ciocia Jane stała się może na starość trochę rozkojarzona.

Horace Bindler wrócił do Londynu, nie zebrawszy więcej okropności do swojej kolekcji, a Raymond West napisał do panny Greenshaw list, że zna pewną panią Louise Oxley, która jest dość kompetentna, by podjąć się pracy nad dziennikami. Po upływie paru dni nadszedł list, pisany staroświeckim, pajęczym pismem, w którym panna Greenshaw zawiadamiała, że zamierza skorzystać z usług pani Oxley, i ustaliła termin spotkania z nią.

Lou zjawiała się punktualnie, uzgodniono znakomite warunki finansowe i następnego dnia zaczęła pracę.

- Jestem ci ogromnie wdzięczna - powiedziała Raymondowi. - Ta praca bardzo mi odpowiada. Mogę zaprowadzić dzieci do szkoły, pójść do posiadłości i zabrać je w powrotnej drodze. Fantastyczny układ! Tę starą kobietę trzeba zobaczyć, żeby uwierzyć.

Wieczorem, po pierwszym dniu pracy, wróciła i opisała swój dzień.

- Prawie nie widziałam tej gospodyni. Przyniosła kawę i biszkopty o pół do dwunastej, z zaciśniętymi ustami, bardzo sztywna i afektowana. Ledwie odezwała się do mnie. Myślę, że jest bardzo niezadowolona z zatrudnienia mnie tam. Toczy się tam, jak się zdaje, zażarta wojna między nią a ogrodnikiem, Alfredem. To miejscowy chłopak, dosyć leniwy; on i gospodyni nie rozmawiają ze sobą. Panna Greenshaw powiedziała w swój wielkopański sposób: „Zawsze, od kiedy pamiętam, toczyła się wojna między ogrodnikami i służbą domową. Tak było również za czasów mego ojca. Wówczas w ogrodzie pracowało trzech mężczyzn i chłopiec, a w domu osiem dziewcząt, ale wciąż były tarcia”.

Następnego dnia Lou wróciła, przynosząc świeże nowiny.

- Coś podobnego! Dziś rano zostałam poproszona o zatelefonowanie do siostrzeńca.

- Siostrzeńca pani Greenshaw?

- Tak. On jest, zdaje się, aktorem występującym w zespole, który przyjechał na sezon letni do Boreham on Sea. Naprawdę śmieszne. Staruszka nie chce znać swojej gospodyni. Uważam, że pani Cresswell zrobiła coś, co ją zdenerwowało.

- Jutro nadamy następny odcinek tego sensacyjnego serialu - mruknął Raymond.

- To zupełnie jak serial, prawda? Pojednanie z siostrzeńcem (własna krew jest bliższa), sporządzi się nowy testament i zniszczy stary.

- Ciociu Jane, wyglądasz bardzo poważnie.

- Naprawdę, moje dziecko? Czy słyszałaś coś więcej o policjancie?

Lou wydawała się zdezorientowana.

- Nie wiem nic o policjancie.

- Ta jej uwaga - rzekła panna Marple - musi coś znaczyć, moja droga.

Lou przyszła następnego dnia do pracy w pogodnym nastroju. Weszła przez otwarte frontowe drzwi - drzwi i okna w tym domu były zawsze pootwierane. Panna Greenshaw zdawała się nie lękać włamywaczy i prawdopodobnie miała rację, ponieważ większość rzeczy w tym domu ważyła parę ton i nie miała żadnej wartości rynkowej.

Lou minęła Alfreda na podjeździe. Gdy go dostrzegła, stał oparty o drzewo, paląc papierosa, ale jak tylko pochwycił jej spojrzenie, zajął się miotłą i zaczął pilnie zmiatać liście. Leniwy młodzieniec, pomyślała, ale przystojny. Jego rysy przypominały jej kogoś. Kiedy przechodziła przez hali, kierując się na górę do biblioteki, spojrzała na wiszący nad kominkiem wielki portret Nathaniela Greenshawa, przedstawionego u szczytu wiktoriańskiego powodzenia, rozpartego w wielkim fotelu, z rękami spoczywającymi na złotej dewizce, widocznej na okazałym brzuchu. Kiedy jej spojrzenie przesunęło się z brzucha na twarz o mocnej szczęce, krzaczastych brwiach i bujnym wąsie, przyszło jej na myśl, że ten Nathaniel Greenshaw musiał być przystojny jako młody mężczyzna. Był może trochę podobny do Alfreda...

Weszła do biblioteki, zamknęła za sobą drzwi, otworzyła maszynę do pisania i wyjęła dzienniki z bocznej szuflady biurka. Przez otwarte okno ujrzała w przelocie pannę Greenshaw w ciemnobrązowej perkalowej sukni, schylającą się nad ogródkiem skalnym i pielącą pracowicie. Ostatnio były dwa wilgotne dni, na czym skorzystały chwasty.

Lou, dziewczyna wychowana w mieście, stwierdziła, że jeśli będzie miała kiedyś ogród, nigdy nie będzie w nim ogródka skalnego, który wymaga ręcznego pielienia. Potem zasiadła do pracy.

Kiedy pani Cresswell o pół do dwunastej weszła do biblioteki z kawą na tacy, była wyraźnie w złym humorze. Trzasnęła tacą o stół i powiedziała do całego świata.

- Goście na lunch - a w domu nie ma nic do jedzenia! Chciałabym wiedzieć, co mam robić? I ani śladu Alfreda.

- Jak przyszedłam, zamiatał podjazd - oświadczyła Lou.

- Nie wątpię. Miłe, niemęczące zajęcie.

Pani Cresswell wyszła energicznie z pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Lou uśmiechnęła się do siebie. Była ciekawa, jak wygląda „siostrzeniec”.

Wypiła kawę i znowu zasiadła do roboty. Była tak zaabsorbowana, że czas upływał jej szybko. Nathaniel Greenshaw, zacząwszy prowadzić dziennik, nie mógł się oprzeć potrzebie szczerości. Czytając fragment odnoszący się do osobistych wdzięków barmanki z pobliskiego miasteczka, Lou pomyślała, że będzie on wymagał gruntownego przeredagowania.

Z tych rozmyślań wyrwał ją dochodzący z ogrodu krzyk. Skoczywszy na równe nogi, pobiegła do otwartego okna. Panna Greenshaw, zataczając się, szła od strony ogródka skalnego do domu.

Przyciskała ręce do piersi, a między nimi sterczał pierzasty pręt, w którym osłupiała Lou rozpoznała strzałę.

Głowa panny Greenshaw w sponiewieranym słomkowym kapeluszu opadła na piersi. Wołała do Lou zamierającym głosem:

- ...zastrzelił... zastrzelił mnie... z łuku... pomocy...

Lou rzuciła się do drzwi. Nacisnęła klamkę, ale drzwi nie otworzyły się. Po paru chwilach daremnych wysiłków stwierdziła, że są zamknięte. Popędziła z powrotem do okna.

- Jestem zamknięta na klucz!

Panna Greenshaw odwrócona plecami do Lou i słaniająca się na nogach, wołała do gospodyni w następnym oknie.

- Dzwonź po policję... telefonuj...

Potem, chwiejąc się na nogach jak pijak, znikła z pola widzenia Lou, wchodząc przez oszklone drzwi do salonu. W chwilę później Lou usłyszała brzęk rozbijanej porcelany i ciężki upadek, po czym nastąpiła cisza. Wyobraźnia pomogła jej odtworzyć scenę. Panna Greenshaw musiała, zataczając się, wpaść na mały stolik z zastawą do herbaty.

Zrozpaczona Lou waliła w drzwi, wołając i wrzeszcząc. Na zewnątrz okna nie było pnączy ani rynny, które mogłyby pomóc jej wydostać się tą drogą.

Zmęczona dobijaniem się wróciła do okna. W oknie swojej bawialni, położonej tuż obok, pojawiła się głowa gospodyni.

- Niech mnie pani wypuści, pani Oxley. Jestem zamknięta.

- Tak samo jak ja.

- O Boże, czy to nie straszne? Zadzwoiłam po policję. Mam tu aparat telefoniczny. Nie mogę zrozumieć naszego zamknięcia. Nie słyszałam przekręcania klucza, a pani?

- Nie. Nie słyszałam w ogóle niczego. O Boże, co zrobimy? Może Alfred nas usłyszy.

Lou wrzasnęła na całe gardło.

- Alfred, Alfred!

- Pewnie poszedł na obiad. Która godzina?

Lou spojrzała na zegarek.

- Dwadzieścia pięć po dwunastej.

- Nie powinien wychodzić przed pół do pierwszej, ale jak tylko może, wymyka się wcześniej.

- Myśli pani... myśli pani...

Lou zamierzała zapytać: „Myśli pani, że ona nie żyje?”, ale słowa ugrzęzły jej w gardle.

Nie można było zrobić nic, tylko czekać. Minęła chyba cała wieczność, zanim flegmatyczna postać policjanta w hełmie wyszła zza narożnika domu. Lou wychyliła się z okna, a on popatrzył, zasłaniając przed słońcem oczy ręką. Odezwał się z wyrzutem.

- Co się tu dzieje? - zapytał.

Z oddzielnych okien Lou i pani Cresswell zalały go falą podnieconych informacji.

Policjant wyciągnął notes i ołówek.

- Panie pobiegły na górę i zamknęły się? Mogą panie podać swoje nazwiska?

- Nie. Zamknął nas ktoś inny. Proszę nas wypuścić.

Policjant odparł z dezaprobatą:

- Wszystko w odpowiednim czasie - i zniknął w oknie na parterze.

Minęła chyba cała wieczność, kiedy Lou usłyszała odgłos przyjeżdżającego samochodu i, po czasie, który wydawał się godziną, a był zaledwie trzema minutami, najpierw pani Cresswell, a potem Lou zostały uwolnione przez sierżanta, bardziej zwawego niż pierwszy policjant.

- Panna Greenshaw? - spytała Lou łamiącym się głosem. - Co... co się stało?

Sierżant odchrząknął.

- Przykro mi powiedzieć pani, jak już przekazałem pani Cresswell, że panna Greenshaw nie żyje.

- Zamordowana - wtrąciła pani Cresswell. - To było właśnie to - morderstwo.

- Może to był wypadek - rzekł sierżant z powątpiewaniem. - Niektórzy chłopcy wiejscy strzelają z łuków.

Znowu słyhać było odgłos przyjeżdżającego samochodu.

- To będzie lekarz policyjny - powiedział sierżant i ruszył na dół.

Nie był to jednak lekarz. Kiedy Lou i pani Cresswell zeszły na dół, przez frontowe drzwi wszedł niepewnie młody człowiek i stanął, rozglądając się z pewnym zakłopotaniem.

Potem odezwał się przyjemnym głosem, który wydał się Lou znajomy - może przypominał głos



samej panny Greenshaw.

- Przepraszam, czy... ee... czy tu mieszka panna Greenshaw?

- Czy mogę prosić o pańskie nazwisko? - spytał sierżant, zbliżając się do niego.

- Fletcher - odparł młody człowiek. - Nat Fletcher. Jestem siostrzeńcem panny Greenshaw.

- Naprawdę, proszę pana... bardzo mi przykro... jestem pewien...

- Czy coś się stało? - zapytał Nat Fletcher.

- Zdarzył się... wypadek... pańska ciotka została zastrzelona z łuku... strzała przebiła żyłę szyjną...

Pani Cresswell przemówiła histerycznie i bez zwykłej wytworności.

- To się stało, że pańską ciotkę zamordowano. Pańska ciotka została zamordowana.

### III

Inspektor Welch przysunął swoje krzesło bliżej stołu i przyjrzał się czworgu ludziom zgromadzonym w pokoju. Był to wieczór tego samego dnia. Zajechał do domu Westów, żeby przesłuchać jeszcze raz Lou Oxley.

- Jest pani pewna, że tak dokładnie brzmiały słowa? „...zastrzelił... zastrzelił mnie... z łuku... pomocy...”?

Lou potwierdziła.

- A czas?

- Spojrzałam na zegarek minutę lub dwie później i wówczas była dwunasta dwadzieścia pięć.

- Pani zegarek chodzi dobrze?

- Popatrzyłam również na zegar ścienny.

Inspektor zwrócił się do Raymonda Westa.

- Okazało się, że mniej więcej tydzień temu był pan z panem Horace'em Bindlerem świadkiem testamentu panny Greenshaw?

Raymond krótko zrelacjonował zdarzenia w czasie popołudniowej wizyty, którą on i Horace Bindler złożyli w domu panny Greenshaw.

- Świadcstwo panów może być ważne - rzekł Welch. - Panna Greenshaw wyraźnie powiedziała panom, że spisała testament na korzyść pani Cresswell, gospodyni, że nie płaci pani Cresswell żadnej pensji ze względu na spodziewane korzyści po jej śmierci?

- Tak właśnie mi powiedziała.

- Mógłby pan stwierdzić, że pani Cresswell była zdecydowanie świadoma tego faktu?

- Powiedziałbym, że niewątpliwie tak. Panna Greenshaw zrobiła w mojej obecności uwagę, że spadkobierczyni nie może być świadkiem testamentu, a pani Cresswell wyraźnie rozumiała, o co chodzi. Co więcej, panna Greenshaw wyjaśniła mi, że zawarła taką umowę z panią Cresswell.

- A więc pani Cresswell miała powód uważać, że jest zainteresowaną stroną. Miała wyraźny motyw i śmiem twierdzić, że byłaby naszą główną podejrzaną, gdyby nie to, że została zamknięta na klucz w swoim pokoju, tak jak obecna tu pani Oxley, a także dlatego, że panna Greenshaw zdecydowanie twierdziła, iż zastrzelił ją mężczyzna.

- Na pewno była zamknięta w pokoju?

- O tak. Sierżant Cayley ją wypuścił. To jest wielki, stary zamek z wielkim starym kluczem. Klucz tkwił w dziurce i nie było szansy, by go przekręcić od środka lub uczynić to w jakiś inny sposób. Nie, może pan przyjąć zdecydowanie, że pani Cresswell była zamknięta w tym pokoju i nie mogła wyjść. I nie było tam łuku ani strzał, a panna Greenshaw nie mogła zostać zastrzelona z okna - kąt rany wyklucza to - nie, pani Cresswell została wykluczona.

- Czy panna Greenshaw lubiła według państwa robić kawały?

Panna Marple spojrzała bystrze ze swego miejsca.

- A więc testament nie był wcale na korzyść pani Cresswell?

Inspektor Welch popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Mądrze to pani wymyśliła, *madam*. Nie, pani Cresswell nie została wymieniona jako spadkobierczyni.

- Zupełnie jak pan Naysmith - rzekła panna Marple, kiwając głową. - Panna Greenshaw oznajmiła pani Cresswell, że zamierza zostawić jej wszystko i dlatego nie będzie płacić jej pensji, a potem zostawiła pieniądze komuś innemu. Niewątpliwie była niezmiernie z siebie zadowolona. Nic dziwnego, że rechotała, wkładając testament do „Tajemnicy lady Audley”.

- Szczęśliwie się złożyło, że pani Oxley mogła nam powiedzieć o testamencie i miejscu jego ukrycia - rzekł inspektor. - W przeciwnym razie moglibyśmy długo go szukać.

- Wiktoriańskie poczucie humoru - mruknął Raymond.

- Zatem mimo wszystko zostawiła pieniądze siostrzeńcowi - powiedziała Lou.

Inspektor potrząsnął głową.

- Nie - odparł. - Nie zostawiła ich Natowi Fletcherowi. W okolicy mówi się - oczywiście jestem tu nowy i znam tylko plotki z drugiej ręki - wydaje się jednak, że w przeszłości obie siostry Greenshaw napaliły się na przystojnego instruktora jazdy konnej, a jedna z nich go dostała. Nie, ona nie zostawiła pieniędzy siostrzeńcowi... - przerwał, pocierając podbródek. - Zostawiła je Alfredowi - dokończył.

- Alfredowi ogrodnikowi? - spytała Joan zdziwiona.

- Tak, pani West. Alfredowi Pollockowi.

Panna Marple zakaszłała i powiedziała cicho.

- Wyobrażam sobie - choć mogę się mylić - że musiały istnieć względy rodzinne.

- Może je pani tak nazwać - zgodził się inspektor. - W wiosce wiedzą, że Thomas Pollock, dziadek Alfreda, był jednym z nieślubnych synów starego pana Greenshawa.

- Oczywiście - krzyknęła Lou. - To podobieństwo! Spostrzegłam je dziś rano.

Przypomniała sobie, że minąwszy Alfreda, weszła do domu i spojrzała na portret starego Greenshawa.

- Ośmielę się powiedzieć - rzekła panna Marple - że ona uważała, iż Alfred Pollock mógł być dumny z tego domu, mógł w nim mieszkać, podczas gdy siostrzeniec na pewno nie używałby go i sprzedałby go jak najszybciej. Jest aktorem, prawda? W jakiej sztuce gra teraz?

Stara dama na pewno zoczy z tematu, pomyślał inspektor, ale odpowiedział uprzejmie.

- Wydaje mi się, proszę pani, że mają teraz sezon sztuk Jamesa Barriego.

- Barrie - rzekła panna Marple z namysłem.

- „Co wie każda kobieta” - rzucił inspektor i zaraz zaczerwienił się. - To tytuł sztuki - dodał szybko. - Nie jestem teatromanem, ale żona chodzi często i właśnie widziała to w zeszłym tygodniu. Mówiła, że dobrze wystawione.

- Barrie napisał kilka uroczych sztuk - rzekła panna Marple - choć muszę powiedzieć, że kiedy poszłam z moim starym przyjacielem, generałem Easterlym na „Małą Mary” Barriego - potrzęsła smutno głową - nie wiedzieliśmy, gdzie podziać oczy.

Inspektor, który zupełnie nie znał sztuki „Mała Mary”, wydawał się kompletnie zbity z tropu.

- Kiedy byłam dziewczynką, inspektorze - wyjaśniła panna Marple - nigdy nie używano słowa „żołądek”.

Inspektor był jeszcze bardziej zdezorientowany. Panna Marple mruzczała pod nosem tytuły.

- „Wspaniałe Crichton”. Bardzo zręczne. „Mary Rose” - urocza sztuka. Pamiętam, że płakałam. Wyższa sfera ulicy - nie podobała mi się tak bardzo. Potem był „Pocałunek dla Kopciuszka”. Och, naturalnie.

Inspektor Welch nie miał czasu na teatralne dyskusje. Wrócił do swojej sprawy.

- Problem polega na tym, czy Alfred Pollock wiedział, że stara dama zrobiła testament na jego korzyść? Czy mu powiedziała? Widzą państwo - w Boreham Lovell jest klub łuczniczy i Alfred Pollock jest jego członkiem. Naprawdę bardzo dobrze posługuje się łukiem i strzałami.

- Więc czy to nie wyjaśnia sprawy? - zapytał Raymond West. - Pasowałoby to do zamknięcia obu kobiet na klucz - wiedział dzięki temu, gdzie się znajdują.

Inspektor popatrzył na niego z głęboką melancholią.

- On ma alibi - oświadczył.

- Zawsze sądziłem, że mający alibi są najbardziej podejrzani.
- Może - odparł Welch. - Mówi pan jak pisarz.
- Nie pisuję kryminałów - odparł Raymond przerażony samą myślą.
- Łatwo powiedzieć, że alibi jest podejrzane, ale niestety musimy się liczyć z faktami.

Westchnął.

- Mamy troje dobrych podejrzanych - rzekł. - Troje ludzi, którzy przypadkiem byli w pobliżu sceny zbrodni. Jednak jest dziwne, że wygląda, jakby żadne z tej trójki nie mogło dokonać tego morderstwa. Gospodynią już się zajmowałem, siostrzeniec, Nat Fletcher, w chwili gdy panna Greenshaw została zastrzelona, znajdował się w odległości paru kilometrów, nabierając benzynę i pytając o drogę, zaś Alfred Pollock, jak może przysiąc sześć osób, wszedł dwadzieścia po dwunastej do Psa i Kaczki i pozostał tam przez godzinę przy swojej zwykłej kanapce z serem i piwie.

- Sfabrykowane alibi - powiedział z nadzieją Raymond West.
- Może - odparł inspektor West - ale nawet jeśli tak jest, to mu się udało.

Zapanowała długa cisza. Potem Raymond zwrócił się do panny Marple, która siedziała wyprostowana i zamyślona.

- Teraz wszystko zależy od ciebie, ciociu Jane. Inspektor jest zbity z tropu, ja jestem zbity z tropu, sierżant, Joan i Lou są zbici z tropu. Ale dla ciebie, ciociu Jane, wszystko jest jasne jak słońce. Mam rację?

- Nie powiedziałabym tak. Nie jest jasne jak słońce, a morderstwo, kochany Raymondzie, to nie zabawa. Nie sądzę, żeby biedna panna Greenshaw chciała umrzeć, a to było szczególnie brutalne morderstwo. Bardzo dobrze zaplanowane i popełnione z zimną krwią. To nie jest sprawa, z której można stroić sobie żarty!

- Przepraszam - powiedział Raymond zmieszany. - Naprawdę nie jestem tak gruboskórny, jak się wydaje. Traktuje się te sprawy lekko, aby uciec - uciec od ich okropności.

- Taka jest, jak sądzę, tendencja w dzisiejszych czasach - rzekła panna Marple. - Te wszystkie wojny i mówienie dowcipów o pogrzebach. Tak, może byłam bezmyślna, nazywając cię nieczułym.

- Nie znaliśmy jej dobrze - tłumaczyła się Joan.

- To prawda - odparła panna Marple. - Ty, kochana Joan, nie znałaś jej wcale. Ja jej nie znałam. Raymond zebrał swoje wrażenia podczas rozmowy w ciągu jednego popołudnia. Lou znała ją dwa dni.

- Dalej, ciociu Jane - zachęcił ją Raymond - przekaż nam swoją ocenę. Nie ma pan nic przeciwko temu, inspektorze?

- Ani trochę - odparł grzecznie inspektor.

- A więc, wygląda na to, że mamy trzy osoby, które miały lub mogły sądzić, że mają motyw, by zabić starą damę. I mamy trzy proste powody, dla których żadna z nich nie mogła tego zrobić. Gospodyni nie mogła, gdyż była zamknięta w pokoju, a panna Greenshaw zdecydowanie stwierdziła, że postrzelił ją mężczyzna. Ogrodnik nie mógł tego zrobić, ponieważ w chwili popełnienia zbrodni był w Psie i Kaczce, siostrzeniec nie mógł, gdyż znajdował się jeszcze w pewnej odległości, w samochodzie.

- Bardzo jasno to pani przedstawiła - wtrącił inspektor.

- A ponieważ wydaje się nieprawdopodobne, by mógł to zrobić ktoś obcy, to gdzie jesteśmy?

- To właśnie chciałby wiedzieć inspektor - rzekł Raymond West.

- Często patrzy się na rzecz z niewłaściwej strony - powiedziała panna Marple przepraszająco. - Jeżeli nie możemy zmienić ruchów ani miejsca pobytu tych osób, może potrafimy zmienić czas popełnienia zbrodni?

- Uważasz, że zarówno mój zegarek, jak zegar ścienny chodziły źle? - spytała Lou.

- Nie, kochanie. Wcale tak nie uważam. Sądzę, że to morderstwo mogło zostać popełnione nie wtedy, kiedy ci się wydawało.

- Ależ ja to widziałam - krzyknęła Lou.

- Cóż, moja droga, jestem ciekawa, czy to, co widziałaś, nie było czasem tym, co ci się wydawało, że widzisz. Zapytywałam siebie, czy nie było to powodem, dla którego dostałaś tę pracę.

- Co masz na myśli, ciociu Jane?

- No cóż, to wydaje się dziwne. Panna Greenshaw nie lubiła wydawać pieniędzy, a jednak zatrudniła cię i zgodziła się chętnie na podane przez ciebie warunki. Uważam, że chodziło o to, byś była w tej bibliotece, wyglądając przez okno, tak byś mogła stać się ważnym świadkiem - jako ktoś z zewnątrz, niewątpliwie wiarygodny - czasu i miejsca popełnienia zbrodni.

- Ale nie chcesz chyba powiedzieć, że panna Greenshaw zamierzała zostać zamordowana - rzekła niedowierzająco Lou.

- Chcę powiedzieć, że nie znałaś naprawdę panny Greenshaw. Nie ma powodu przypuszczać, że panna Greenshaw, którą ujrzałaś, przyszedłszy do tego domu, jest tą samą panną Greenshaw, którą widział Raymond parę dni wcześniej. O tak - ciągnęła, uprzedzając protest Lou - wiem, że miała na sobie tę szczególną staroświecką sukienkę z drukowanego perkalu, dziwny, słomkowy kapelusz i była rozczochrana. Odpowiadała dokładnie opisowi, który dał nam Raymond podczas ostatniego weekendu. Ale te dwie kobiety są w podobnym wieku, podobnej tuszy i wzrostu. Mam na myśli gospodynię i pannę Greenshaw.

- Ależ gospodyni jest gruba! - wykrzyknęła Lou. - Ma ogromne piersi.

Panna Marple zakaszłała.

- Moja droga, w dzisiejszych czasach sama widziałam... te... ee... w sklepach, bardzo niedelikatnie wyeksponowane. Więc bardzo łatwo jest każdemu mieć... biust... każdego rozmiaru.

- Co próbujesz powiedzieć? - dopytywał się Raymond.

- Myślę po prostu, że w ciągu tych dwóch czy trzech dni, kiedy Lou tam pracowała, jedna kobieta mogła grać obie role. Powiedziałaś, że prawie nie widziałaś gospodyni, oprócz momentów, kiedy rano przynosiła tacę z kawą. Widuje się na scenie zdolne aktorki, które grają różne postacie, mając na zamianę zaledwie minutę czy dwie, i jestem pewna, że zamiana mogła być dokonana bardzo łatwo. Ta fryzura markizy mogła być po prostu peruką.

- Ciociu Jane! Myślisz, że panna Greenshaw już nie żyła, kiedy zaczęłam tam pracować?

- Nie to, że nie żyła. Raczej była trzymana pod wpływem narkotyków. Bardzo łatwa sprawa dla pozbawionej skrupułów kobiety, takiej jak ta gospodyni. Umówiła się z tobą i zmusiła cię do zatelefonowania do siostrzeńca i zaproszenia go na lunch o określonej porze. Jediną osobą, która wiedziała, że panna Greenshaw nie jest panną Greenshaw, mógł być Alfred. Jak pamiętacie, w ciągu pierwszych dwóch dni twojej pracy było mokro i panna Greenshaw została w domu. Alfred nigdy nie wchodził do domu z powodu swojej wojny z gospodynią. A ostatniego ranka Alfred był na podjeździe, podczas gdy panna Greenshaw pracowała w ogródku skalnym - chciałabym rzucić okiem na ten ogródek.

- Uważasz, że to pani Cresswell zabiła pannę Greenshaw?

- Sądzę, że po przyniesieniu kawy ta kobieta zamknęła cię na klucz, zaniosiła nieprzytomną pannę Greenshaw do salonu, potem przebrała się i wyszła pracować w ogródku, gdzie mogłaś ją widzieć z okna. W odpowiednim czasie zaczęła krzyczeć i poszła, chwiejąc się, do domu, ściskając strzałę tak, jakby przebiła jej gardło. Wzywała pomocy i była dość ostrożna, wołając „on mnie zastrzelił”, by odwrócić podejrzenia od gospodyni. Wołała też w stronę okna gospodyni, jakby ją tam widziała. Potem, zaraz po wejściu do salonu, przewróciła stół z porcelaną, popędziła na górę, włożyła swoją perukę markizy i chwilę później mogła wychylić się z okna i powiedzieć ci, że jest również zamknięta.

- Ale ona była zamknięta,

- Wiem. Tu właśnie wchodzi policjant.

- Jaki policjant?

- Właśnie - jaki policjant? Jestem ciekawa, inspektorze, czy mógłby mi pan opowiedzieć, jak i kiedy pojawił się pan na scenie?

Inspektor wydawał się nieco zdziwiony.

- O dwunastej dwadzieścia dziewięć odebraliśmy telefon od pani Cresswell, gospodyni panny Greenshaw, stwierdzający, że jej pani została zastrzelona. Sierżant Cayley i ja wyjechaliśmy natychmiast samochodem i przybyliśmy do tego domu o dwunastej trzydzieści pięć. Znaleźliśmy martwą pannę Greenshaw i dwie panie, zamknięte w swoich pokojach.

- Widzisz więc, moja droga - zwróciła się panna Marple do Lou - że ten policjant nie był prawdziwy. Nigdy o nim nie pomyślałaś - nikt nie myślał. Zobaczyliście mundur i myślicie, że to przedstawiciel prawa.

- Ale kto i po co?

- Jeżeli chodzi o to, kto - cóż, jeżeli grają „Pocałunek dla Kopciuszka”, głównym bohaterem jest tam policjant. Nat Fletcher mógł skorzystać z kostiumu, który nosił na scenie. Musiał jedynie zapytać o drogę na stacji benzynowej, zwrócić uwagę na czas - dwunasta dwadzieścia pięć, pojechać szybko, zostawić samochód za rogiem, włożyć policyjny uniform i odegrać swoją rolę.

- Ale dlaczego? Dlaczego?

- Ktoś musiał zamknąć drzwi pokoju gospodyni z zewnątrz, a także przebić strzałą gardło panny Greenshaw. Można człowieka przebić strzałą tak samo jak strzelić z łuku, ale to wymaga siły.

- Myślisz, że zrobili to razem?

- O tak, właśnie tak myślę. Najpewniej to matka i syn.

- Ależ siostra panny Greenshaw zmarła już dawno.

- Tak, ale niewątpliwie pan Fletcher ożenił się ponownie. Sądzę, że to był mężczyzna tego rodzaju. Myślę też, że dziecko zmarło również i że tak zwany siostrzeniec był tylko dzieckiem drugiej żony, a nie krewnym. Kobieta przyjęła stanowisko gospodyni i badała teren. Potem Fletcher napisał jako siostrzeniec i zaproponował, że odwiedzi ciotkę - mógł też zrobić żartobliwą uwagę, że przyjedzie w mundurze policyjnym - albo zaprosił ją, żeby obejrzała sztukę. Panna Greenshaw podejrzewała jednak prawdę i odmówiła spotkania się z nim. Fletcher mógł zostać spadkobiercą, gdyby zmarła bez testamentu - ale oczywiście skoro spisała kiedyś ostatnią wolę na rzecz gospodyni (jak sądzili), wszystko układało się gładko.

- Dlaczego jednak użyli strzały? - zastanowiła się Joan. - To bardzo naciągane.

- Wcale nie naciągane, moja droga. Alfred należał do klubu łuczniczego - i to on miał ponieść odpowiedzialność. To, że znalazł się w pubie już o dwunastej dwadzieścia, było z ich punktu widzenia bardzo niefortunne. Zawsze wychodził trochę przed właściwą porą i to im odpowiadało - potrząsnęła głową. - To naprawdę wydaje się niemoralne, że lenistwo Alfreda ocaliło mu życie.

Inspektor odchrząknął.

- Pani sugestie są bardzo ciekawe. Teraz, oczywiście, będę musiał przeprowadzić śledztwo...



## IV

Panna Marple i Raymond West stali przy skalnym ogródku i patrzyli na ogrodowy koszyk pełen zwiędłych roślin.

- Smagliczka, skalnica, żarnowiec, dzwonek... Oto dowód, którego potrzebowałam. Ktokolwiek pełł tutaj wczoraj rano, nie był ogrodnikiem - wrywał zarówno sadzonki, jak i chwasty. Więc teraz wiem, że mam rację. Dziękuję ci, kochany Raymondzie, że mnie tu przywiozłeś. Chciałam zobaczyć to miejsce osobiście.

Popatrzyli na odrażającą bryłę Szaleństwa Greenshawa.

Kaszel zwrócił ich uwagę. Przystojny młody człowiek także przyglądał się domowi.

- Piekielnie duży dom - powiedział. - Za duży na dzisiejsze czasy, przynajmniej tak mówią. Ja tam nie wiem. Gdybym wygrał w totolotka i dostał mnóstwo pieniędzy, taki właśnie dom chciałbym wybudować.

Uśmiechnął się do nich nieśmiało.

- Uważam, że mogę się teraz przyznać - ten dom wybudował mój pradziadek - rzekł Alfred Pollock. - To piękny dom, mimo że nazwali go Szaleństwo Greenshawa!

---

\* Angielski deser złożony z nasączonych winem biszkoptów, kremu z żółtek, bitej śmietanki i kandyzowanych owoców.

*\*fr.* Pełny nowoczesny komfort.

*\*fr.* Dobrze.

*\*fr.* To wszystko jest naturalne.

*\*fr.* Kto tam?

*\*fr.* Oto panna Bridget.

*\*fr.* Zapalenie płuc.

*\*fr.* Ziołowa herbatka.

*\*fr.* Moje dziecko.

*\*fr.* Ten drogi.

*\*fr.* Ależ tak.

*\*fr.* Wielki świat.

*\*fr.* Pasztet z gęskiej wątróbki.

*\*fr.* Szukajcie kobiety.

*\*fr.* Kobieta fatalna.

*\*fr.* Bardzo dobrze.

*\*fr.* Tego się nie robi.

*\*fr.* To prawda.

*\*fr.* Właśnie.

*\*fr.* W porządku.

*\*fr.* Bardzo dobrze.

*\*fr.* Doprawdy.

*\*fr.* Wykwintna.

*\*fr.* Dziękuję ci.

*\*fr.* Następnym razem.

*\*fr.* To działa.

*\*fr.* To okropne.

*\*fr.* Mimo wszystko.

*\*fr.* W całości i w szczegółach.

*\*fr.* Dzieła sztuki.

*\*fr.* Wielki Boże.

*\*fr.* Moi przyjaciele.

*\*fr.* Na tapecie.